BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE		Z przesyłką pocztową:	
Rocznie . (52 tomy).	rs. 10	Rocznie. . (52 tomy)	rs. 12
Półrocznie (26 tomów)	„ 5	Półrocznie (26 tomów)	„ 6
Kwartalnie (13 tomów)	„ 2 kop. 50	Kwartalnie (13 tomów)	„ 3
Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart.			

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop

DOPŁATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy)	rs. 6	kop. —
Półrocznie. (za 26 tomów). . .	„ 3	„ —
Kwartalnie (za 13 tomów). . .	„ 1	„ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

Główni współpracownicy:

Dr. Piotr Chmielowski,
Teodor Jeske-Choiński,
Dr. Julian Ochorowicz,
Julian Adolf Święcicki.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.

Redakcya i Administracya: Warszawa, Nowy-Świat 47. — Telefonu 656
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki l. 4

Drukarnia „Biblioteki Dzieł Wyborowych," Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 104.

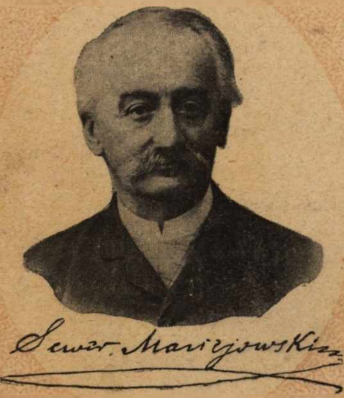
Wśród pokus.

POWIEŚĆ

SEWERA,

przedmową

Teodora Jeske-Choińskiego.



Cena 40 kop.

W prenumeracie 30 k.

WARSZAWA.

Redakcya i Administracya:

47. Nowy-Świat 47.

1899

Sewer.

Wśród pokus.

POWIEŚĆ.

Z PRZEDMOWĄ

Teodora Jeske-Choińskiego.

WARSZAWA.
DRUKARNIA
Granowskiego i Sikorskiego
47. Nowy-Świat 47.

1899 Warto czytać.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Сентября 1899 года.

SEWER.

(Ignacy Maciejowski).

Nie wszystkim prawdopodobnie wiadomo, że Sewer (Ignacy Maciejowski), znany dziś zaszczytnie komedyo- i powieściopisarz, rozpoczął zawód autorski rozprawką o burakach. Kształcąc się pierwotnie na rolnika, napisał on w r. 1858 książeczkę p. t. „O plantacyach buraków.”

Rzucony okolicznościami na ziemię angielską, mieszkał Sewer czas dłuższy w kraju wiecznej mgły i przypatrzył się mu bardzo uważnie. Co widział w Anglii, nad czem myślał, to zebrał w „Szkicach z Anglii,“ wydanych nasamprzód częściowo w „Tygodniku Lwowskim“ (1875 r.), a następnie w całości w Warszawie (1882 r.).

Szkicom tym zawdzięcza Sewer pierwszy swój rozgłos, jako pisarz utalentowany.

Nie jest rzeczą łatwą zwrócić na siebie uwagi szkicami, kartkami z podróży. Tyle tych szkiców i kartek sypie się na czytelnika z różnych czasopism, iż mogą mu obrzydnąć. Pierwszy lepszy dyletant

który wybrał się w jakąś bliższą lub dalszą drogę, uważa sobie za obowiązek dzielić się ze światem swojemi pospolitemi wrażeniami.

Sewer umiał ożywić niewdzięczny rodzaj „szkiców z podróży.“ Odmalował on nadzwyczaj żywo, barwnie, z temperamentem współczesną Anglię, złocąc swoje spostrzeżenia szczerym humorem.

Bezpośrednio po „Szkicach z Anglii" napisał Sewer komedyę czteroaktową p. t. „Pojedynek szlachetnych“ (1876 r.), która cieszyła się w swoim czasie takim rozgłosem, że do walca, śpiewanego przez jedną z jej postaci niewieścich, przez Lidyę, dorobiono w Warszawie muzykę (1877 r.).

Po tak szczęśliwych debiutach stała droga do szybkiej sławy przed Sewerem otwarta. Tymczasem przybladło w dalszych latach jego świetne odrazu imię autorskie, poszło prawie w zapomnienie, chociaż autor „Szkiców z Anglii“ nie próżnował. W r. 1876 wydał powieść p. t. „Wydziedziczone,“ w r. 1877 opowiadanie p. t. „Na pobojowisku," w r. 1881 „Bratnie dusze.“ Żadne z tych dzieł nie miało takiego powodzenia, jak dwa pierwsze, i nie zasługiwało w istocie na rozgłos szerszy.

Dopiero w obrazkach ludowych zabłysnął znów w całej pełni wdzięczny talent autora „Pojedynku szlachetnych.“

Osiadłszy na roli, w Galicyi, nasamprzód we wsi Szczurowej, potem w Dołędze, w końcu w Braciejowej, pracując razem z ludem, miał Sewer sposobność przypatrzeć się z blizka naszemu chłopu, jego podejrzliwej naturze, jego bólom i smutkom.

Owocem tego nowego zakresu obserwacyi jest

cały szereg obrazków ludowych, większych i mniejszych, z których kilka można nazwać arcydziełami. W „Łusi Burłak” (1878 r.), w „Franusiu Walczaku“ (1883 roku), w „Kasi,” w „Hance,“ w „Zalotnicy“ (1891 r.), w „Przybłędach“ i t. d. odtworzył Sewer bogatą galeryę typów wiejskich, począwszy od skąpca-bogacza, aż do ubożuchnej dziewczyny.

Jako nowelista i powieściopisarz wiejski wniósł Sewer do naszej literatury pierwiastek nowy.

Kiedyś, za czasów pańszczyźnianych, roztkliwiali nas słusznie Kraszewski, Jeż, Gregorowicz i inni niedolą chłopa, wydziedziczonego przez prawo. Później, gdy się stosunki zmieniły, roztkliwiali nas znów autorowie młodsi, czasami słusznie, a czasami niesłusznie, rzeczywistemi lab urojonemi nędzami różnych maluczkich.

Cały legion efemeryd literackich rozwadniał serdeczność Prusa, zalewając felietony czasopism t. zw. nowelami, z których sączyły się sztuczne, nieodczute łzy. „Obrazkarze“ chcieli w nas koniecznie wmówić, że smutek nawiedza tylko ludzi, ubierających się w siermięgi i jedzących chleb razowy. Gdybyśmy tym psychologom ludowym, którzy nigdy ludu nie widzieli, uwierzyli, byłyby nasze wioski istnym padołem płaczu, owianym ustawicznym jękiem i stłumioną klątwą.

A tymczasem rozbrzmiewają nasze sioła wiosną i latem pieśnią i śmiechem, w karczmach rżnie muzyka, aż się szyby trzęsą, podczas żniw, po kilkonastogodzinnej pracy na skwarze słońca, hasa młodzież wieczorami na łące, na ściernisku, gdzie dopadnie.

Niezadowolenie nie czepia się bynajmniej siermięgi, chleba razowego, nizkiej chaty, bosych nóg, słowem, ubóstwa, lecz takiej lub innej indywidualności. Kto nie przywykł do wygodnych łóżek, wykwintnych potraw, eleganckich apartamentów i miękkich sukien, ten nie czuje ich braku i potrzeby. Jakiś chłop, zapytany raz, coby robił, gdyby się nagle zbogacił, odpowiedział: piłbym cały dzień gorzałkę i zagryzał słoniną. Nauczyłby się on z czasem niezawodnie cenić wytwory cywilizacyi, ale musiałby się tej sztuki dopiero nauczyć.

Sewer nie jest „psychologiem ludu“ z książek. Patrzył on zblizka i przez czas dłuższy na chłopa i dlatego niema w jego powieściach i nowelach ludowych ani sztucznych łez, ani robionej litości. Tętni w nich życie, drga prawda, na prawdę zaś i życie składają się nietylko łzy, lecz także uśmiechy, zachwyty i radości.

Repertuar chłopski Sewera jest bardzo rozległy. Ogarnia on prawie wszystkie typy ludowe, nie pomijając najbrutalniejszych. Lecz prawdziwym mistrzem, rzeźbiarzem prześlicznych cacek, jest tylko wtedy, kiedy „maluje w słońcu,“ kiedy chwyta i uwypukla rysy dodatnie, charaktery jasne, chwile szczęścia i radości. Z „Łusi Burłak“ i z „Wiosny“ bije blask słoneczny, wieje woń natchnienia. Czuć, że autor radował się sam naiwną radością swoich tworów, że mu „malowanie w słońcu“ sprawia przyjemność, że jego żywiołem jest głównie ciepło, dobroć, uśmiech serdeczny. Nawet nieszlachetność natury prostaczej umie on tak przedstawić, że grube pojęcia etyczne ludu nie rażą.

Maryna („Zalotnica“), najładniejsza dziewczyna we wsi, sprytna i kokietka, kocha Błażka, biednego chłopaka. Żeby mieć choć krowę i cielę, toby się reszta jakoś sama złożyła.

Ale zkąd ubogiej wyrobnicy marzyć o takim dostatku, jak krowa? Na taki zbytek trzeba pracować całe lata.

Maryna podoba się paniczowi, który przybył na wakacye do domu. Sprytna dziewczyna postanowiła wyzyskać to „szczęście.“ Ja mam urodę, on pieniądze, więc będzie krowa—wykalkulowała. Paniczowi pozwoliła się ściskać, całować na przynętę, a kiedy otrzymała za obietnicę miłości ową upragnioną krowę, pokazała mu figę.

Grube zaloty Maryny odtworzył Sewer z taką swobodą i ustawił w świetle tak jasnem, iż wiejska kokietka nie traci sympatyi czytelnika.

Ta swoboda i ten koloryt są głównemi cechami talentu Sewera. Jego prześliczna, promienna „Wiosna“ jest dowodem, iż same barwy jasne mogą się złożyć na dzieło pierwszorzędnej wartości.

Obszerniejsza powieść ludowa Sewera p. t. „Biedronie,“ nie należy do obrazków, malowanych w słońcu. Przeważa w niej koloryt ponury.

Biedroń zgarniał grosz do grosza, a gdy zebrał sumkę większą, dokupywał ziemi. Całą swoją duszę i pracę włożył chłop w ukochany grunt. A orał sam od świtu do rana, napędzał do roboty żonę, służbę, dziecko nawet jedyne. Na myśl, że jego dziedzic mógłby stracić krwawy trud jego życia, odchodził od przytomności.

Takiemu to chciwcowi dał los syna, który nie

zapowiadał wcale, że będzie dalszym ciągiem rodziców. Mały Jaś miał miękkie, litościwe serce, garnął się do ludzi i świata, wybiegał myślą daleko po za kopce graniczne wioski rodzinnej, lubił poezyę żywą i drukowaną, naturę i książkę.

Na różnicy charakterów ojca i syna osnuł Sewer swoją tragedyę.

Sewer nie ma w swoim talencie tonów minorowych. Łzy nie płyną z jego pióra z taką łatwością i prawdą, jak swobodny, przyjemny śmiech. Brak ten sprawia, że jego obrazy tragiczne nie wywołują takiego wrażenia, jakie autor prawdopodobnie zamierzał.

Wyborny obserwator zwyczajów i obyczajów angielskich i doskonały malarz wsi, napisał także cały szereg powieści, osnutych na tle stosunków żydowskich, artystycznych i ziemiańskich.

Nowela „Nad brzegiem Rudawy" i powieść „Zyzma" (1884 r.) ilustrują poglądy Sewera na kwestyę żydowską; w powieściach: „Za kulisami" (1887 r.), „Konkurs," „Dzielna kobieta," „U progu sztuki" (1897 r.) przedstawił on świat artystyczny; przedmiotem „Walki o byt" (1882 r.) jest sprawa utrzymania się większej własności ziemskiej; w „Słowach a czynach" (1890 r.) odtworzył autor „Wiosny" stosunki autonomiczne współczesnej Galicyi.

Oprócz „Pojedynku szlachetnych", napisał jeszcze Sewer kilka dzieł scenicznych: „Zabiegi," „Marszałek powiatowy," „Marcin Łuba," z których ostatnie (dramat ludowy) cieszyło się w Warszawie zasłużonem powodzeniem.

Teodor Jeske-Choiński.

I.

Islington, dzielnica Londynu, pełna zieloności i wody, ciszy i ogrodów, zamieszkana przeważnie przez ludzi pracujących na City — gościła u siebie i młodego Polaka, zajmującego się sprzedażą róż i kwiatów, robionych przez jego rodaczki w Paryżu. Polki w odtwarzaniu specyalnie róż prześcignęły paryżanki! Róże z ich pracowni były poszukiwane na Piccadylli w najarystokratyczniejszych magazynach.

Młody człowiek w pokoju swego mieszkania układał do pudełka próbki najpiękniejszych, w których biało-różowe dla angielskich blondynek, miłosiernie patrząc, zdawały się szeptać: kochaj i bierz.

— Zaczekajcie — mówił młody człowiek do białych róż, kryjących w zwojach swych listków dziewiczą różowość — zaczekajcie, będziecie wymowniejsze, patrząc na świat i młodych ludzi z popielatych lub złotych włosów, wpięte w staniku, w przedziale wychylających się białych, dziewiczych piersi. Wtedy będziecie walczyć o pierwszeństwo co do delikatności, tylko że mnie tam nie będzie, nie spojrzycie na mnie z po za upięć stanika i z wysokości ukoronowanych głów. Piękne róże, żegnam was. Idźcie rozgrzewać lodowate serca Anglików i ostrzyć ich stalowe spojrzenia.

Rad z mówki (lubił sam z sobą rozmawiać), zamknął trzy długie, wązkie pudełka, zacisnął je pasem, ubrał się, spojrzał w lustro, wdział okrągły, nizki kapelusz — wobec *biznesu* nie chciał cylindrem odgrywać roli dżentlemana — zarzucił letni paltot, między pudełka a pas wsunął rękę i tak obładowany wyszedł

Na schodach spotkał dobrej tuszy, naiwnie patrzącą, trzydziestopięcioletnią gospodynię domu, narzeczoną jednego z kaznodziei nowo powstałej sekty, odrywającej się od kościoła metodystów. Sara — takie nosiła imię—życzyła mu szczęścia w *biznesie.*

— Bądź dobrej myśli, ser, za tydzień wielkie przyjęcie w Buginham-palace, księżna Walii zastępuje królowę. Tysiąc nowych sukien dostawi Londyn, tysiące twych róż będą wyglądać z pięknych gorsów naszych pań... Z obiadem czekam punkt o 6-tej— bądź dobrej myśli. Bóg położył promień swej źrenicy na twem czole...

Młodzieniec wysłuchał z nabożeństwem potoku słów twardych, szumiących, zapadających w otchłań gardła i potężnych piersi trzydziestopięcioletniej wdowy Sary, rygorystki, biegłej w Biblii i sprawach nowego kościoła. Gdy skończyła, uśmiechnął się, dotknął ręką kapelusza, i powiedziawszy sakramentalne *gud baj*, wyszedł na ulicę.

Dwupiętrowe, wązkie, o dwóch lub trzech oknach, domy, oddzielone żelaznemi sztachetami, kąpały się w zieloności trawników, drzew, dzikiego wina i bluszczów, pnących się po sztachetach.

Przeszedł po kamiennej ścieżce na ulicę i udał się na lewo do wielkiej arteryi Islingtonu Upper-street, jednej z najszerszych ulic Londynu, pełnej ludzi, sklepów, powozów, przepełnionej gwarem i nawoływaniami przechodniów. Manewrował pudłami, zwieszonemi na ręku, kierując się do najbliższej stacyi omnibusów...

Nadjechał—chłopcy stajenni maczanemi w occie gąbkami wytarli koniom nozdrza, na kozioł wsiadł nowy, o granatowej twarzy woźnica, podano mu bat, cmoknął na konie, ruszyły z miejsca, pędząc wyciągniętym kłusem. Omnibus drżał, podskakując, jak piłka po bruku. Jednokonne *keby*, jak natrętne muchy, snuły się obok niego, ekwipaże uciekały z drogi, on mijał wszystkich z wytworną łatwością, wciskając się

szalonym pędem w tę natłoczoną masę, widzialna zdaleka i z góry.

Po półgodzinnej dzielnej jeździe omnibus zatrzymał się przed stacyą podziemnej kolei żelaznej młody człowiek zsunął się z pudłami na ulicę, przebiegł, lecąc na dół, szerokie kamienne schody, kupil bilet do Piccadylli, wskoczył do nadbiegającego pociągu i pomknął w ciemną czeluść podziemi. W pędzie pociąg z ciemności wpadał na rozjaśniające się stacye, zatrzymywał się pół minuty, służba otwierała i zamykała wagony—i dalej—i dalej. Na piątej stacyi zajaśniał napis *Piccadylli;* młody człowiek wyskoczył z wagonu, po schodach w górę wydrapal się na ulicę i odetchnął świeżem powietrzem. Arystokratyczna część miasta nęciła wzrok wytwornością i niesłychaną skromnością wystaw sklepowych. Złotemi literami wyryta firma, w oknie za witryną, obitą zielonem suknem, rzucona w fałdach jedna materya jedwabna i na niej pęk kwiatów. Wchodził do suteren, stukał do bocznych drzwi, prowadzących do pracowni, kłaniał się, uśmiechał, sklepowe miss witały go łagodnemi spojrzeniami. Starsze oglądały kwiaty, dając rozkazy, jak należy je *umontować* (upiąć), jakiemi liśmi przybrać. Młodzieniec znaczył, zapisywał, kłaniał się i odchodził.

— Dobrze idzie — szeptał rozradowany powodzeniem.

Stanął przed bramą największego i najarystokratyczniejszego magazynu w Londynie, uchylił drzwi prowadzące do pracowni. W przedpokoju, oświetlonym gazem, tłok komisantów z prośbami i interesantów. Młodzieniec oparł się o ścianę, postawił pudełka obok siebie i marzył, cierpliwie czekając na swoją kolej.

Raptem zaszeleściała jedwabna suknia we framudze, zasłoniętej do połowy portyerą, stanęła młoda miss o matowej cerze, czarnych jak węgiel oczach, wązkich, małych ustach, w czarnej sukni

i białym kołnierzyku, spojrzała po tłumie, uśmiechnęła się do młodzieńca i skinęła na niego zręcznym ruchem głowy.

Drgnął, pochwycił gorączkowo pudełka i poszedł za promieniami czarnych oczu. Zgromadzeni, zazdroszcząc mu protekcyi pięknej miss, pomrukiwali wzruszając gniewnie ramionami.

Po za portyerą znajdowała się druga sala, również oświetlona gazem. Wązkie, długie stoły przy ścianach służyły do rozkładania próbek materyi i kwiatów.

Miss wyciągnęła rękę na przywitanie.

— Dzień dobry—szczebiotała wesoło.—Dziś dobry, dla ciebie, ser; zamówień będzie bardzo dużo, bylebyś tylko podołał...

Młodzieniec spojrzał w czarne oczy ciepło i serdecznie i tak się jakoś uśmiechnął, że za skórą matowej twarzy dziewczyny przemknął różowy odblask.

— Dziękuję ci, miss, za pamięć o mnie i dobre twoje serce.

— Ależ wy, Polacy, nawet do *biznesu* serce mieszacie. Gdybyście nie mieli zamówień, coby tu serce pomogło?

— Pamiętałaś o biednym kwiaciarzu, to już bardzo dużo.

— A czy ty, ser, będziesz pamiętał o mnie, gdy przestaniesz zajmować się kwiatami?

— Całe życie!

— Całe życie — powtórzyła, popatrzyła mu w oczy, zaśmiała się filuternie i zawoławszy:

— Mister Clark zaraz przyjdzie—wybiegła.

— Angielki o czarnych, jak węgiel, oczach, a matowych cerach, mają zwykle prześliczne linie w swej budowie — rozmyślał młodzieniec.—Lgnę do czarnych oczu i do rzeźby, zakutej czarną sukienką...

Wszedł mister Clark, blady, ponury, milczący.

Za nim chłopiec sklepowy przyniósł jedwabne materye i rozłożył je na stole. Młodzieniec, wzruszony, otworzył pudełko; mister Clark wyjmował automatycznie kwiaty i rzucał na jedwabne materye, przykładał, przymierzał, patrzył, dumał. Młodzieniec wyjął pugilares, ołówek—czekał.

— Dwa tuziny — zaczął Clark — corsage'ów upięć do staników na piersiach.

Młodzieńcowi ręce drżały. Dwa tuziny, powtarzał w duchu, dwa tuziny—Boże!

— Dwa tuziny upięć do spodnic sukien i dwa tuziny do włosów. Tuzin tych — rzucił dwie róże do pudełka — tuzin tych do upięć sukien, cztery po pięć róż i po parę pączków. Do corsage jedna róża pełna, dwa pączki, lub druga do połowy rozwinięta. Rozmaitość musi być nadzwyczajna — oświadczył spokojnie i obojętnie. Przywieźć wszystko jutro o 6-ej w wieczór.

— Czyż to podobna? — szepnął młodzieniec cicho.

— Wy, Francuzi, macie do tego głowę i dlatego nas wyzyskujecie. — Clark machnął niedbale ręką i wyszedł, chłopiec zabrał za nim materye.

— Dwadzieścia cztery upięć tego samego prawie koloru róż, a każde odmienne. Siedemdziesiąt dwie sztuki umontować na jutro wieczór, czyś ty oszalała, angielska mumio!

Układał róże, notując kolory.

Do sali weszła cicho miss, suknia ją zdradziła miękkim chrzęstem jedwabiu.

— Cóż, jesteś, ser, zadowolony?

Młodzieniec potrząsnął rozpaczliwie głową.

— Nic sobie nie rób z polecenia, aby każde upięcie było odmienne, tak się tylko mówi. Bylebyś wydążył na termin.

— Siedemdziesiąt dwie sztuki w trzydzieści godzin!...

— Zapłaci, ile chcesz, lecz nie wolno ci się

spóźnić nawet dziesięciu minut.—Wyciągnęła na pożegnanie rękę—Jutro ja zamówię dla siostry z pół tuzina upięć i corsage'y, tylko dla nas będziesz ser wyrozumialszy!?...

Wybiegła.

Młodzieniec gorączkowo notował szczegóły, układając w pudełkach kwiaty. Przez sale przelatywały sklepowe missy, chłopcy z pudłami. W salonach panował przyciszony, dystyngowany szept, z pracowni wylatywał gwar za każdem uchyleniem drzwi. Róże napowrót ułożył, pudła zacisnął szerokim pasem, wyszedł, dumny i uśmiechnięty, jakby z audyencyi u ministra, na której przyrzeczono mu order. Komisanci, robiąc mu miejsce, przeszywali go wzrokiem zawiści i zazdrości.

— *Frenczman* (Francuz)—szeptali —jak każdy cudzoziemiec ma szczęście do naszych kobiet. Frenczmenów biorą sobie za kochanków, a potem nas głupców za mężów—*goddem!*...

Frenczman nie słyszał zaklęcia, stał na ulicy, serce mu biło z radości, oczy świeciły, oddychał ze wzruszenia gwałtownie. Podniecony układał plany, rachował czas. Przejeżdzał *keb*, wskoczył do niego.

— *Strand*—zawołał na woźnicę — *Fleet street*, dwadzieścia pięć.

Woźnica, siedzący w skórzanym koszyku na górze, z tyłu keba, świsnął batem, koń poskoczył, unosząc młodzieńca, jego kwiaty, nadzieje i losy.

Niema czasu na omnibusy i koleje żelazne. Zarobku muszę mieć dwadzieścia pięć funtów, czyli pięćset szylingów, odrazu, od jednego zamachu, z jednego domu! Pojadę na wakacye do Jerssey—książki, literatura, wolność, swoboda! Pióro do garści i jazda! — ulży się natłoczonym myślom i świdrującym mózg ideom. Będę żył z naturą i sztuką — to jedynie życiem nazywam.

Marzył rozkosznie, keb stanął przed wielką czteropiętrową kamienicą, przeznaczoną na fabrykę

kwiatów, głównie liści, gałązek, pączków, prętów. Na dole mieściły się sklepy.

Wpadł do działu liści, nabrał ich tuzinami wiosennych i jesiennych, powoi i bluszczów. Tłusty, o świecącej, wygolonej twarzy Anglik, uśmiechał się do niego głupkowato, lecz liście dobierał świetnie. Przy pożegnaniu szepnął:

— Chciałbyś pewno całować biusta, których będą dotykać te liście?

— Chciałbym—odparł młodzieniec—więc cóż?

— A nic, tylko że nie dla kota sadło—i zaczął cicho płakać ze śmiechu. Był to objaw angielskiego uwielbienia dla własnego dowcipu.

— Dlaczego my nie mamy tego naiwnego humoru Anglików — pomyślał młodzieniec, westchnął, zapłacił, zabrał do pudła kupione liście i wprost ruszył na Islington, do swej monterki. Wyniósł pudła z keba i stukał, jak to jest pozwolone dżentlemenom, bijąc młotkiem, póki mu nie otworzono.

Drzwi gwałtownie otworzyła Francuzka.

— A to pan, myślałam, że bydlę angielskie tak się gwałtownie dobija. Poczęstowałabym je.

— Zabierajmy pudła, siedemdziesiąt dwie sztuki upięć i *corsage'y* na jutro na szóstą!...

Francuzka pochwyciła pudło wyładowane liśćmi, młodzieniec czarne pudełka, drzwi zatrzasnęła. Znaleźli się w dużej izbie o wielkim okrągłym stole na środku.

— A cóż za idyoci i gbury, ci Anglicy! jak mogą dawać takie rozkazy?!...

Otwierała pudła, młodzieniec dał jej notatkę, pisaną po francusku specyalnie dla niej.

— Liści wystarczy—zawołała — lecz róż odrobina.

— Przywiozę natychmiast.

— Wpierw przyślij mi Matyldę, a przedewszystkiem Zini do *corsage'y*, ona jedna je świetnie montuje. Spiesz się, ja biorę na siebie upięcia.

Starła stół serwetą, wysypała liście, rozdzielając je nerwowo... — To bydlę angielskie niema pojęcia o czasie, o możności, o sile ludzkiej, gdyby termin odłożył do pojutrza, zrobiłabym sama wszystko.

— Pani—przerwał młodzieniec—za godzinę będą Matylda i Zini, wyprawię je kebem, za dwie godziny róże...

Wybiegł, Francuzka otworzyła okno.

— Panie Władysławie, pamiętaj o paru butelkach wina i flaszeczce koniaku do czarnej kawy. Dziś nie będziemy spać dłużej nad trzy godziny!

— Dobrze, będziemy pić wino, koniak z kawą i śpiewać!...

— Mój stary gra na gitarze! Matyldę i Zini zastaniesz na Farington w fabryce. Od południa czekam na nie.

Stało się, jak sobie życzyła Zenobia, sławna paryzka monterka, która z miłości dla swego *starego* emigrowała z ukochanego Paryża, mimo, że nie cierpiała Anglików i gardziła nimi całą siłą szowinizmu francuskiego. Dwie najlepsze robotnice stawiły się o drugiej, róż dostarczył Władysław, z niemi wina i koniaku.

Do wieczora zeszło mu na bieganiu po najrozmaitsze przybory do montowania. Spryt, gust Francuski wysilał się, aby uwydatnić rozmaitość. Do róż dodawano po kilka konwalii, po garstce zielonej lub płowej trawki, listki zmieniano, układając je w najrozmaitszy sposób.

Wieczorem wrócił trzydziestopięcioletni „stary“ z księgarni, w której prowadził dział francuski, uparty radykał, po raz drugi uciekający z Paryża. Po obiedzie, winie i czarnej kawie z koniakiem zaczęły się wesołe śpiewy przy akompaniamencie gitary. Mimo to robota szła z impetem. Stosy upięć do sukien i róż do włosów zwiększały się co chwila.

O drugiej w nocy Władysław wrócił do siebie, przejrzał odebrane wieczorem dzienniki z kraju, zmę-

czony rzucił się na łóżko. Śnił, że jego róże całują białe biusty Angielek i pieszczą je swemi delikatnemi listkami, że wszystkie Angielki nosiły jego róże, a on, jak wielki bogacz, wrócił do kraju dźwigać sztukę i przemysł.

Rano zbudziła go narzeczona kaznodziei ze śniadaniem.

— Nie byłeś wczoraj, ser, na obiedzie, wróciłeś późno, jakże *biznes*? — Usiadła na fotelu z miną protektorki, odwiązała wstążki czepka, odrzucając je na ramiona.

Młody człowiek opowiadał przygody wczorajszego dnia, opuszczając wesołą zabawę, nieprzyjemną dla ucha metodystki.

— Winszuję, przeczułam, że tak będzie. Czy nie przeczułam, powiedz sam?

— Przeczułaś — oświadczył młodzian poważnie.

— Co myślisz dziś robić?

— Odpocząć do 4-ej i zawieźć obstalunek na Piccadylli.

Sara załamała ręce.

— Ależ wy, cudzoziemcy, nie macie pojęcia o *biznesie*, nie umiecie go wyzyskać, wyciągnąć do ostatniej kropli. Czy wiesz, ser, jakie mogą przybyć od wczoraj zamówienia? Nie przyjdziesz dziś — dadzą innym. Czyś zapomniał, że sezon kończy się za dwa tygodnie? A kto wie, czy cię i dziś nie czeka taki sam połów? Nie macie pojęcia o handlu i wytrwałości. Pomyśl tylko, że za tydzień dwa tysiące kobiet z naszej arystokracyi przejdzie przez salony pałacu Bukingham. Oj, wy cudzoziemcy!...

— Jesteśmy idyoci w *biznesie*. Mistres Saro, litości!... Wypijam duszkiem herbatę i pędzę. Oblecę całe Piccadylli, cały Strand, cały Londyn, lecz przebacz mi moją głupotę.

— Przebaczam — rzekła Sara poważnie — oby ci tylko Bóg tak przebaczył grzechy twoje i znajo-

mości z dyablicami francuskiemi, noszącemi piekło we wnętrznościach swoich.

Sara zawsze na zakończenie, żeby nie wyjść z wprawy, darzyla swych lokatorów jakimś biblijnym frazesem.

Władysław wyskoczył z łóżka, ubrał się, wydobył z framugi stos pudeł z kwiatami, wybierając najpiękniejsze.

— Prawda, my jesteśmy w handlu idyoci, jako ludzie lekkomyślni i leniwi. Sara ma racyę! Anglik, Francuz, Niemiec, od godziny staliby pod edrzwiami sklepów!.. Mało mamy w sobie na kupców wytrwałości i energii, które dla zamaskowania bezczelnością nazywamy.

Czarne pudla narzucił na plecy, wyszedł. W sieni czekała na niego Sara.

— Ser, będziesz mi wdzięczny i Bóg cię wynagrodzi, żeś usłuchał dobrej rady. Tylko jak od piekielnego ognia strzeż się...

Młody człowiek był już za drzwiami.

Sara, jako urodzona Angielka, odgadywała tajemnice handlu. Zamówienia sypały się, jak z rogu obfitości.

— Dwa tysiące strojnych kobiet przejdzie przez salony pałacu Bukingham — powtarzał slowa Sary— dwa tysiące, to dwa pułki kawaleryi i świetnych tualet. — Dziś nie miał żadnej nadziei, aby u pięknej o czarnych oczach miss i u pana Clarka zyskać za mówienia, jednak poszedł, przecisnął się przez tłum, stanął w swojem miejscu i, oparłszy się o framugę komina, czekał z wlepionemi oczyma w portyerę.

Zadrżała, odchyliła się, czarne oczy spojrzały, młodzieniec się skłonił, miss uśmiechnęła się na jego widok, wzywając go skinieniem palca. Poskoczył uradowany.

— Dobrze, żeś się zjawił, traciłam nadzieję. zaglądałam trzy razy. Mister Clark już chciał zawezwać do siebie tego grubego, zatrzymałam go.

Młodzieniec w imię galanteryi polskiej ujął rękę Angielki i poniósł do ust.

— Ach, ser — szepnęła cała w płomieniach — u nas tylko narzeczoną całuje się w rękę.

Zrozumiał zapytanie, lecz z całą przytomnością odpowiedział:

— A u nas wszystkie, które się szanuje i którym się jest wdzięcznym.

Wszedł w samą porę Clark.

— Dobrze, żeś przyszedł — powiedział protekcyonalnie—o 6-ej byłoby za późno.

Władysław otworzył szybko pudła.

— Dostaniesz dziś zamówienie z terminem dwóch dni.

— Dziękuję—szepnął.—Monterki moje całą noc nie spały.

W doborze róż i kwiatów pomagała Clarkowi czarnooka miss, rzucając ciepłe spojrzenia na młodzieńca. Zamówienie nie było tak wielkie, jak poprzednim razem, lecz zawsze przechodziło dwadzieścia funtów

Mister Clark wyszedł, młodzi zostali.

— Ser, nie dziw się memu wzruszeniu, pierwszy raz usta mężczyzny dotknęły się mej ręki! Umiesz całować—rozśmiała się.

— Nabyłem wprawy w mym kraju.

— Cóż za przyjemny zwyczaj — szepnęła. — W waszym kraju kobiety muszą być traktowane, jak królowe.

— W niewoli, gdy tu panują.

— Prawda, i nam tu wiele wolno, i byle wystrzegać się szokingów, być *respectable*...

— Można panować.

— Można—poświadczyła.—Do widzenia o 6-ej.

Wyciągnął rękę, podała mu, lecz zarumieniona w tej chwili ją wysunęła, szepcąc:

—Jeszczeby kto zobaczył. Jestem najładniejszą w magazynie, zazdroszczą mi,

Nie czekając na odpowiedź, wybiegła.

— Jeżeli tak dalej pójdzie, zabraknie mi róż. Muszę dziś telegrafować do Paryża o świeży transport.

U monterek zjawił się obładowany butelkami wina i szynką. Siedemdziesiąt dwie sztuki były na ukończeniu. Obliczono pudła, potrzeba ich było dwanaście.

Przy śniadaniu wesołość tryskała dowcipem i humorem. Nowe zamówienia, nadzieje dobrego zarobku, wino, pogoda — do soboty (dzień zapłaty) tylko trzy dni. Małoż to powodów do radości i szczęścia, gdy się ma dwadzieścia pięć lat, zdrowie, siły, chęć do życia i jego uciech.

Na dziesięć minut przed 6-tą czterokołowa karetka, z wypakowanemi na wierzchu pudłami, stanęła na Piccadylli. Wysiadł z niej nasz znajomy, woźnica podawał mu pudła. Nie mógł ich wszystkich zabrać, lecz w tej chwili znalazło się trzech londyńskich boysów. Jeden drugiemu kładł pudła na głowę, ostatniemu położył Władysław i w uroczystym pochodzie weszli na dziedzińczyk i z niego do pustych w tej chwili biznesowych sal.

— Ach, jak to dobrze — zawołała czarnooka miss — że jesteś. Ladies przymierzają suknie i pragną widzieć kwiaty.

Mister Clark przejrzał szczegółowo dwa pudła, wstrząsnął zadawalniająco głową, młody człowiek dał mu rachunek na 75 funtów, strącił pięć i wystawił czek na 70.

— Lubię punktualność, dobry gust i tę waszą francuską pomysłowość, tę waszą rozmaitość.

Młodzieniec skłonił się, robiąc skromną minę.

— Nasi — ciągnął dalej mister — wystawią dwa tysiące *corsage'y*, podobne jeden do drugiego, jak dwie krople wody.

Powiedziawszy to odszedł. Pochwała z ust kwiatowego dygnitarza magazynu, od którego zależała

egzystencya młodego człowieka, pochlebiała mu. Chowając czek do pugilaresu, wpatrywał się w cyfrę wypisaną niedbale na świstku papieru.

Dwadzieścia pięć funtów odeślę do Paryża za kwiaty i róże, pięć dostaną monterki, mnie zostanie się czterdzieści, czyli tysiąc franków...

Wpadła czarnooka miss.

— Ser, ciesz się, kwiaty twoje wprowadzają nasze ladies w zachwyt. Proszę cię o pół tuzina *corsage*'*y* i upięć dla nas, lecz pamiętaj, że moja siostra początkująca.

— Za połowę ceny—zawołał.

— To znów ustępstwo zbyt wielkie. Chcesz mi płacić za protekcyę do pana Clark.

— Za połowę ceny — powtórzył z patosem— lecz nie wcześniej, niż za tydzień i pochwycił białą rękę.

Miss obejrzała się trwożliwie, szepcąc:

— Mister Clark.

— Narzeczony?

— Nie, lecz prezbiteryanin i kwakier, nie chcę, żeby widział. Domyśliłby się, dlaczego cię forytuję.

— Gdzie odnieść umontowane upięcia?

— Do pracowni mej siostry—*Barensburg Street* N. 12, przyjdź wieczorem, będziemy cię czekały.

Zawołana—uciekła.

— Dobrze się składa — pomyślał. — Trzymam czarnooką miss, ona pana Clarka.

Wyszedł na ulicę, niosąc na piersiach czek siedemdziesięciu funtów. Cały świat śmiał się do niego, on do całego świata. Kobiety wszystkie stały się dla niego prześliczne. Pewny był, że gdy na którą skinie, wpadnie w jego objęcia. Gwar i turkot uliczny wydały mu się bardzo przyjemne, głos katarynki rozczulał go. Pragnął pić wszystkie rozkosze i rozkoszować się wszystkiem.

W pracowni u monterek wycałował młode dyablice—nie broniły się.

— Zarobiłyście — zawołał — pani trzy funty, to znaczy siedemdziesiąt pięć franków, panie po dwadzieścia pięć na dobę.

— Do soboty zarobię sto dwadzieścia pięć franków—oświadczyła Zenobia.

— A my po siedemdziesiąt pięć!

— A co będziemy robić z pieniędzmi? W poniedziałek bankiet, święto narodowe—zapytał młody człowiek.

— *Partie de plaisir!*—zawołały dziewczyny. — Do morza, do Brajton.

— Wystrojone jedziemy do morza kąpać się, barką o wielkim żaglu płynąć i patrzeć na zamglone brzegi kochanej naszej Francyi.

— Niech żyje Francya!—zawołały chórem.

— Niech żyje!—powtórzyła Zenobia—a tymczasem leć, ser, po róże, kwiaty, trawy, liście. Patrz, nie próżnujemy, róż za godzinę zabraknie.

— Młode dyablice są ponętne i ta różnica pomiędzy Angielkami a niemi, że gdy tamta myśli o *biznesie*, pójściu za mąż, o utrwaleniu losu, to Francuzka jedynie o zabawie, rozrywce, *partie de plaisir* wszelkiego rodzaju. Mąż nie postoi jej w głowie. Marzy o kochanku! Wesołe córy tej ziemi, ukochanej Francyi, przychodzą na świat ze sprytem, wdziękiem, gustem i szaleństwem zabawy...

W sobotę młodzieniec nasz odebrał w sześciu kasach sto pięćdziesiąt funtów, z tych osiemdziesiąt oddał Paryżowi za kwiaty i modniarkom, dwa tysiące franków zostało mu na czysto, dla niego samego. Był bogaty, zadowolony i dumny. Sześćdziesiąt funtów schował w kasie pocztowej, przeznaczając je na wycieczkę na Jersey, resztę na potrzeby życia i przyjemności. Pierwszy raz od czasu, jak zajmował się kwiatami, tyle w tak krótkim czasie zarobił.

II.

— Brajton — zawołała pierwsza Zini, wychylając się z wagonu — Brajton, Brajton — powtarzano radosnym szeptem. Naprzód zerwała się Zenobia, podając swemu staremu kosz wiktuałów, które były przeznaczone do zjedzenia nad brzegiem morza, lub w barce o wielkim żaglu. Dziewczęta poprawiły sukienki, Władysław rzucił na ramiona paletot, pociąg stanął—wysiedli.

— Ach, jak tu rozkosznie! — wołała rozpromieniona gromadka.

Las masztów i białych żagli, w górze różnobarwne flagi furczały targane wiatrem. Za niemi morze, poruszające się majestatycznie, jak gdyby chciało masy swych wód ukołysać do snu delikatnie pluszczącemi falami. Na ziemi zieloność, skąpane w niej wille odbijały się czerwienią swych dachów i ścian. Ciepły wiatr pociągał z południa od ukochanej Francyi.

Stali oniemieli, wciągając w płuca powietrze; wierzyli, że to powietrze przepełnione zapachami łąk i winnic francuskich.

— Tam — zawołał Władysław, pokazując widniejący zdaleka zrąb podniesionego gruntu, wrzynający się w morze — Tam wolni od ludzi, skąpani w zieleni, morze będzie nam śpiewać rytmicznym szumem pieśń powitania!...

— Tam, tam — szeptały zachwycone dziewczęta.

— Nie dalej, niż pół godziny drogi—chodźmy!...

Naprzód kroczyły rozradowane, strzelające oczyma dziewczęta, obok nich Władysław. Angielskie *ladies* wystrojone przechadzały się wśród klombów róż i jaśminów, przy nich dżentlemeni ubrani biało. Ladies znudzone przykładały lornetki do oczu, patrząc z politowaniem na naszą gromadkę, dżentlemeni z pewnem zaciekawieniem na młode dyablice,

zgrabnie i ponętnie utoczone. Zini prażyła ich spojrzeniami naiwności i zaciekawienia. Wzrok dziecka, kipiącego zalotnością. A że była zgrabna, dobrze ubrana, dżentlemeni gonili ją wzrokiem, majestatyczne ladies wzruszały ramionami. Dziewczęta, idąc naprzód, śmiały się i szczebiotały, szczęśliwe młodością.

Minęli las masztów i rozrzucone w symetrycznych grupach wille, parki, stawy słodkiej wody. Przed nimi roztaczała się kwitnąca łąka, nie dotykana jeszcze kosą. Wśród niej wiła się ścieżka, przywilej rybaków i zbieraczy ostryg i tego, co morze daje — dziś pusta. Nią poszli w nadziei, że brzegiem morza dostaną się do zielonego zrębu skały.

Koniki polne na przywitanie brzęczały, czasem dzwoniec zaświergotał, skowronek wzbił się w górę, szczebiocząc wesoło; zdala fale morskie nieustannie kołysały olbrzyma do snu, po niebie płynęły małe oderwane chmurki, rzucając przelatujące cienie po zieleni łąk, przetykanej złotem.

Dla tych, którzy przeżyli zimę w mgle londyńskiej—słońce, jasność, wielkie horyzonty i w oddali błyszczące jak stal morze robiły wrażenie radości do zapierania oddechu.

W dziewczętach grała młodość i życie i w tem życiu odrobina szczęścia dziecięcego. Jakaś siła popchnęła je, pobiegły naprzód, lecąc podwajały szybkość biegu, młoda krew paliła je. Za niemi popędził Władysław, chcąc jak najprędzej dopaść do morza, chłonąć je wzrokiem, myślą i nieokreślonemi pragnieniami...

Dopadli do skały, okrytej aksamitami mchów i staczającej się powolną pochyłością w morze.

— Rozkosznie!—zawołał Władysław.

Przypływ się rozpoczął. Daleko na widnokręgu niewidzialną siłą wznosiła się powoli szeroka fala, pędziła naprzód, uderzała o nadbrzeżny piasek i zalewała go. Fala za falą powstawały coraz szyb-

ciej i coraz szybciej pędziły naprzód. Morze rosło, żyło, mówiło, gniewało się, piasek pod uderzeniami wody wydawał głuchy jęk.

Młodzieniec stał zapatrzony, zasłuchany. Wielka gra na wielkich przestrzeniach, zbudzonego przy ciszy w powietrzu morza zachwycała go. Młode dyablice nie śmiały go budzić, czekając cierpliwie na Zenobię.

— Żagle — odezwała się Matylda, przykładając dłoń do czoła.

— Żagle!—powtórzyła Zini—jeden, dwa, trzy, pięć, dziesięć..

Na niebieskawem tle nieba, połyskującem jak stal od promieni słońca, wysuwały się czarne punkciki z białemi pióropuszami. Kołysały się rozkosznie, żyły i ożywiały zielonawy, bezmierny płat wody.

— Lecą jak stada mew — szepnął—i jak urzeczywistnienie nadziei.

Czarne punkciki rosły, pióropusze zwiększały się co chwila, fale je niosły, jakby w powietrzu.

— Wracają z połowu ryb, roi się od łodzi. Cóż za rozkoszne życie!

Nadciągnęła Zenobia ze starym.

— Kupimy wielką rybę i upieczemy ją przy ogniu—zawołała radośnie Zini.

— Zobaczymy, gdzie przybiją łodzie rybaków, poszukamy ich chat i tam u tych poczciwych ludzi zrobimy sobie bal — oświadczył stary, stawiając koszyk na skale.

— Dobra myśl—zawołały dziewczęta.—W chacie znajdziemy ogień.

— Nowy świat, nowe horyzonty, rybacy to dzielny lud, odważny, wesoły—szeptał Władysław.

Gromadka rozłożyła się na skale, goniąc wzrokiem mknące łodzie. Fale uderzały o brzegi skały, śmiejąc się wesoło; słońce grzało; cienie chmurek, przelatujących nizko, przesuwały się po falach świe-

cącego morza i skale, ubranej w zielony aksamit. Mewy towarzyszyły statkom. Zdaleka zdawało się, że części żagli odrywają się i niecierpliwie lecą naprzód.

Pierwsza łódź dwużaglowa przepłynęła niedaleko skały. Dziewczęta witały ją radosnym śmiechem i powiewem chustek, Władysław i stary kapeluszami. Z łodzi odpowiedziano wesołym szmerem, przygłuszonym jękiem fal, bijących o skałę.

Za pierwszą łodzią przeszła druga, trzecia, czwarta, z równym zapałem witane. Patrzono ciekawie, w którym punkcie przybiją do brzegu, gdyż w wielkim porcie nie było dla nich miejsca.

Władysław zszedł na sam brzeg skały. Łódź za łodzią okrążały kawał lądu, wsuniętego półkolem w morze, i raptem skręcały w lewo ku północy i znikały z horyzontu.

— Domyślam się, gdzie się schowali — zawołał uradowany — idźmy tam; świeże ryby prosto z morza; towarzystwo rybaków w ich siedzibach; chodźmy, chodźmy! Za mną!

Usłuchano komendy z radością. Stary pochwycił kosz, dziewczęta popodnosiły jasne sukienki i brzegiem po wilgotnym piasku, gdzie jeszcze przypływ morza nie sięgał, biegły żywo za Władysławem. Fale wytężały siły, aby ich dosięgnąć i pochwycić.

— Cóż to za łajdaczki—wołała Zenobia—radeby nas jak Anglicy porwać i potopić.

Śmiech Władysława i jęk morza zagłuszyły słowa Zenobii.

— Niema rady — odezwał się — trzeba uciekać. Za piętnaście minut przyjdą tu.

— A taki kawał drogi — wołały śmiejąc się dziewczęta.

— Ależ to dopiero rozkosz mieć przygody w podróży—wołała Zini.

Fale wyskakiwały w górę, jęcząc jak żywe po-

twory, i kładły się u stóp ciche, wylęknione. Widok walki bezmiaru z atomami, przedstawiającemi ludzi—elektryzował.

Atomy wychodziły zwycięzko.

Kamienna grobla, szeroka i mocna, u boków zarosła morskiemi trawami, śmiało stawiała opór bijącym o nią falom. Na jej grzbiecie bawiły się dzieci rybaków, bratających się z morzem. Po za groblą z po za ciemnych skał wychylały się szare, murowane domki; dachy ich, okryte ciemną dachówką, smutno patrzały. Obejście każdego domku omurowane było kamiennym wałem—pozostałość z czasów rozbójnictwa morskiego. W przystani ruch i życie, z łodzi kobiety zabierały w okrągłe, wielkie kosze ryby, wynosiły je na brzeg, jedna drugiej pomagały.

Władysław, mówiący po angielsku, przysunął się do trzech, widocznie matki i dwóch córek, pytając się o cenę jednej ryby.

Zaśmiały się wesoło.

— Już zakupione przez *sosajty*, lecz podzielimy się z wami tem, co dla nas przypadnie. Zkąd przychodzicie?

— Z Londynu—odpowiedział.

Pokręciły głowami na znak podziwu i pewnego niedowierzania.

— Dziękujemy paniom za nadzieję, a zarazem prosimy o zrobienie w domu ogniska, aby można było ugotować rybę i zjeść ją.

— U nas ognisko nie wygasa — odpowiedziała starsza, kładąc na głowę kosz wypełniony po brzegi rybami. Podbite gwoździami wielkie jej ciżmy uderzały o kamienną posadzkę. Niebieską spódnicę miała podniesioną do kolan, nogi jej były czerwone i grube, silnie zbudowane. Rękę również obnażoną, również grubą i czerwoną, oparła o wystające, muskularne biodro. Przechodząc obok Władysława, powiedziała:

— *Gu baj ser!* trzeci dom na lewo od drogi; przyjdźcie, miejsca dosyć.—Uśmiechnęła się, pokazując z po za czerwonych, zdrowych warg, szereg białych zębów. Młodzieniec ukłonił się kapeluszem. Hołdem tym zdobył sobie odrazu sympatyę.

Dziewczęta z Zenobią stanęły na grobli, zapatrzone w niezwykły, pełen życia i ruchu obraz. W łodziach wrzało i na brzegu wrzało. Hałas, śmiechy, nawoływania, zagłuszały łoskot przypływu morza. Na łodziach ładowano ryby, na brzegu roztrącano się w natłoku. Rybacy mocowali kotwice, zwijali żagle, mniejsze maszty spuszczali. Przekleństwa, zaklęcia, śmiechy, krzyżowały się. Niewielki tłum ludzi łączył się, skupiał i rozdzielał, nad nim świeciło słońce, jasne, ciepłe, białe, migotliwe.

Młodsza siostra poprzedniej rybaczki, o bielszych rękach, przechodząc ze swym koszem ryb na głowie, pociągnęła za sobą Władysława.

— Chodźcie, panie—zawołał na zapatrzoną gromadkę—jesteśmy zaproszeni.

Dziewczęta z niechęcią zeszły z grobli, rade zostać dłużej.

Władysław dogonił młodszą siostrę.

— A więc nam nie odmawiacie gościnności? — odezwał się.

Dziewczyna spojrzała na niego wielkiemi, podobnemi do koloru morza oczyma.

— Nie odmawiamy?... Rybackie Brajton znane jest z gościnności na całym południowym brzegu Anglii.

— W takim razie przepraszam, pójdziemy do siebie.

To wyrażenie podobało się młodej Maud, skinęła potakująco głową.

— Pozwolisz miss, abym cię wyręczył i poniósł kosz ryb. Ciężar ten gniecie twoją głowę.

Maud roześmiała się wesoło.

— Musiałbyś, ser, na zawsze zostać tu, jeżeli nie chcesz, aby kosze ryb gniotły mi głowę.

— Zostanę—odrzekł spokojnie.

— I zmienisz się w rybaka?

— Zmienię.

— Codzień o północy będziesz musiał wyjeżdżać na pełne morze, a wracać w południe lub wieczorem.

— Zgoda.

— I być pożartym przez morze?

— To samo, co przez czas. Czas wszystkich pożera.

— Tak, ale ty sobie żartujesz z biednej Maud—rzekła smutno.

— O tyle, o ile Maud żartuje sobie ze mnie, gdyż Maud może jechać do Londynu, a wtedy nie będzie potrzebowała nosić na głowie koszów ryb.

— I rzucić morze? i rzucić chatę, matkę, siostrę i moje zajęcie? Jakże jabym wytrzymała bez morza? Budzę się rano, siadam na łóżku i patrzę, słońce je złoci, mgły uciekają, będzie pogoda. Zrywam się, biegnę, patrzę—przypływ się cofa, zbieram, co morze dało. Morze, to moje życie, morze, to ja, umarłabym bez niego. A więc dalej, będę nosiła kosze ryb na głowie, jak dziś.

— A jeżeli pokochasz młodzieńca?

— Ależ to będzie rybak—kochanek morza.

— Za innego nie wyjdziesz?

— Nie mogę.

— A gdybyś pokochała nie rybaka?

— Tobym musiała przestać kochać morze. To przecie niepodobna, raptem przestać kochać, jeżeli się kochało lat dziewiętnaście.

— Masz już tyle?

— Skończę za dwa miesiące, Nie miałam roku, a już wynoszono mnie nad morze, ręce do niego wyciągałam. Później morze mnie piastowało, jak wszystkie dzieci rybaków. Kocha się swoją pia-

stunkę i karmicielkę. Gruntu nie mamy—skały i piasek—morze nas żywi.

Odwróciła się w stronę morza, spojrzała i zaśmiała się wesoło, jak do kochanka.

— Dwa trzymasztowce, pewno z Cherbourga, płyną do nas w gościnę—dodała po chwili.

Władysław wytężył wzrok.

— Nie zobaczysz ich, ser, aż za dobrą chwilę, na to trzeba mieć wzrok rybaczki, wychowanej nad morzem.

Stanęli przed ciemnym, długim budynkiem.

— Pomóż mi, ser, zdjąć kosz.

Z postawionego wyjęła potężnych rozmiarów rybę i podała ją młodzieńcowi.

— Wystarczy—rzekła.—Zaczekaj; oddam ładunek, pójdziemy razem do domu, rybę wezmę w fartuch.

Władysław położył rybę na ziemi, Maud uklękła, podźwignęła kosz, podał rękę dziewczynie, wstała i poszła, niknąc w ciemnym otworze budynku. Nadbiegły dziewczęta i Zenobia ze starym.

— Całą tę rybę mamy zjeść?—pytała Zini.

— Pomogą nam matka i dwie jej córki.

— Jak to dobrze, że zapakowałam do kosza masło! Co za ryba, co za ryba! — szeptała Zenobia w zachwycie.

Maud wróciła, wzięła w fartuch rybę i idąc naprzód, zapraszała gości.

Za kamiennym wałem leżała przewrócona łódź, do połowy zrąbana. Jakim się sposobem tu dostała, nikt nie wiedział. Rozciągnięte sieci wzdłuż domu suszyły się na słońcu. W rogu kamiennego domu, osłonione daszkiem, czerniały węgle.

— Proszę—wołała Maud, otwierając hałaśliwie drzwi wielkiej, odymionej izby. Panował w niej półmrok. Z dwóch małych zakratowanych okien biły światła jasnemi smugami. Przy kominie stała silnie zbudowaną rybaczka; starszą siostrą odpoczywała,

siedząc na ławie. Maud oddała matce rybę i teraz dopiero uczuła wzrok młodego człowieka na swej opalonej od słońca twarzy; zarumieniła się i pędem zniknęła za drzwiami komory.

— Rozgośćcie się—odezwała się starsza, wskazując w rogu stół, okryty czerwoną serwetą, ławę przy ścianie i cztery krzesła po bokach. Część tej izby była *respectable* i stanowiła salon domu.

— Dziękujemy — odezwał się Władysław, kładac kosz wiktuałów na stole.

Zenobia i dziewczęta rozglądały się nieśmiało po ciemnej izbie.

Stary wydobył flaszkę angielskiej, mocnej *brendy*, przyjętej z powagą, jaką wzbudza wśród ludów północy ta pani.

— Do was, matko — rzekł, nalewając do różowego kubka wódkę.

— Niech ci będzie na zdrowie, ser — odrzekła stara, otarła fartuchem usta, wzięła kieliszek i, zwracając się do Władysława, wypiła.

Kubek poszedł koleją, kończąc się na Zini, wszędzie z jednakowem współczuciem witany.

— Gdzie Maud?—zapytał Władysław.

— Stroi się na dziesiejsze święto—odpowiedziała starsza.

W tej chwili ukazała się Maud w wiśniowej, ciemnej sukni, w której prawdopodobnie brała ślub jej babka, o krótkim, bardzo krótkim staniku i bufiastych rękawach; na głowie miała biały, tiulowy, wykrochmalony czepeczek, kształtem i rozmiarami przypominający Bretonię.

Zarumieniona stanęła, czekając na podziw i wykrzykniki z piersi Władysława.

— Prześlicznie!—zawołał.

Dziewczęta poskoczyły do niej, przypatrując się sukni. Wyglądała jak żywa postać, wycięta z flamandzkiego obrazką. Rumiana, blond włosy, wypeł-

złe od słońca i wiatru, jakoś dziwnie harmonizowały z białością czepka, unoszącego się na głowie.

Maud zawstydzona usiadła, a matka jej, aby oblać zimną wodą młodzieńca, powiedziała:

— Dziś kolej na Maud. Jedzie na wielkie kazanie ministra, który z Ameryki przyjechał wprost do Brigthon.

— A na nas kolej zabrać się do obiadu!

To mówiąc, Zenobia pochwyciła rybę i położyła ją na kuchennym stole. Matka i starsza córka pomagały jej. Woda w wielkim saganie zaczęła wrzeć. Dziewczęta rozmawiały z Maud, pomagając sobie ruchami rąk. Władysław został tłómaczem, rozmowa płynęła wesoło.

Maud opowiadała prace, zajęcia, uciechy swe. I dziś będzie tańczyła do północy.

— Panie Władysławie, biegnij pan po piwo, przynieś najmniej butelkę na głowę! — dała rozkaz Zenobia.

Władysław zwrócił się z prośbą do Maud.

Poszli razem; Maud niosła koszyk, dumna, że do swego domu odrazu zapotrzebuje dziesięciu butelek!

— Ser, zaczekaj tu; gdyby cię majtkowie zobaczyli, mogliby...

— Co?—zapytał, stając.

— Mogliby mnie brać na języki, a tobie grozić... Bardzo są zazdrośni o swoje.

— Boisz się zazdrości.

— Dla świętego spokoju, i tylko dla świętego spokoju, proszę cię, ser, czekaj tu na mnie; zaraz wrócę. Chociażbym chciała pochwalić się takim dżentlemanem, ale się boję, boję!

Oblała go gorącem spojrzeniem i uciekła.

— Córki Ewy wszędzie są jedne i te same — w salonie i w chacie rybaka. Różnią je tylko malutkie zmiany otoczenia Gdyby się Maud nie bała, weszłaby wspartą na mojem ramieniu i powiedziała:

— Patrzcie! ten przyjechał do mnie z Londynu. Londyn działałby na zazdrosnych majtków piorunująco.

Tymczasem Maud przybiegła z koszem, wypełnionym butelkami.

— Dobrze się stało, żeś ser nie poszedł ze mną. Widzieli nas razem, gdym odnosiła ryby.

— I co powiedzieli?

— Odgrażali się!

Odgrażanie się chwytało za serce Maud, rozkoszowała się odgrażaniem. Był to dowód, o ile jest wśród rybackiej drużyny ceniona. Zrozumiał młodzieniec dumę Maud na tym punkcie.

— Musisz być szczęśliwą, nie daliby ci uciec.

— Z pewnością—odpowiedziała dumnie.—I dobrze się stało, że nie było Patryka; wściekle zazdrosny.

— Patryk jest rybakiem?

— A czemżeby był? Dzierżawi naszą łódź po śmierci mego ojca, płaci żywym towarem. Łódź, z której wynosiłam ryby, jest naszą.

— A Maud czyją jest?

— Należę do Boga, a potem będzie, co ma być.

Zaśmiała się, pokazując białe, duże zęby z po za ciemnych spalonych warg. Śliczna była tym uśmiechem szczerości i zadowolenia, siły i zdrowia.

Tymczasem w izbie ogień buchał, ryba się dogotowywała, dziewczęta wyjmowały z kosza zapasy, układały na talerzach, rozstawiały na stole. Ziemniaki gotowały się w małym garnuszku, masło topniało powoli w tygielku. Zapach świeżej ryby łechtał podniebienia.

— Całowałeś pan Maud?—rzuciła pytanie Zini, przypatrując się rozradowanej dziewczynie.

— Wiatr i promienie słońca ją całowały.

— Rybaczki są łatwe do zdobycia?

— A ty jakie masz prawo wtrącać się do te-

go—zawołała Matylda. — Nie jesteś narzeczoną pana Władysława.

— Nie jesteś—zawołała od kanapy Zenobia. — Co tobie do tego?...

Tak nazwany „stary“ śmiechem przytakiwał kobietom. Zini, zbita z tropu, zamilkła; Maud zapytała Władysława, o co się kłócą.

— Przy kim podczas obiadu wolno mi będzie usiąść—odparł Władysław.

— Siadaj przy mnie—zdecydowała poważnie.— Tym sposobem kwestya się załagodzi.

Zenobia, wyjąwszy rybę z żelaznego garnka, położyła ją na cynowym półmisku, podtrzymywanym przez matkę. Stara postawiła półmisek przed pierwszem miejscem. Wtedy spuściła spódnicę, starsza córka uczyniła to samo, matka zbliżyła się do stołu, wyciągnęła ręce nad rybą, odmawiając głośną modlitwę. Słuchały jej w skupieniu ducha córki. Gdy skończyła, zajęła pierwsze miejsce. Stary puścił w kolejkę brendę, przyjmowaną z powagą, wypijaną cicho. Matka rozdzielała rybę na talerze, Maud zajęła miejsce przy Władysławie, starsza jej siostra przy starym. Tak zwyczaj każe.

Porcye były olbrzymie, ale i głód wielki. Jedzono w milczeniu, patrząc na siebie. Stary rozlał piwo, po rybie trącono się szklankami, zabierając się do mięsiw, przywiezionych z Londynu.

Zaczęła się ogólna rozmowa w dwóch językach; tłómaczami byli: stary między starszą siostrą i Zenobią i Władysław między dziewczętami.

Przy czarnej kawie Maud zaczęła śpiewać; pomagała jej siostra, matka i dziewczęta. Pieśń była monotonna, jak plusk fal, tęskna i rzewna.

„Ukochany odjechał na dziesiąte morze, na koniec świata, po perły dla narzeczonej...“

Do izby wsunął się nieśmiało młody rybak, ubrany świątecznie w granatową, obcisłą kurtę, zapiętą na cynowe guziki. Czerwony, silny, odsłonio-

ny kark zdobił wielki niebieski kołnierz z białą obwódką. Biodra miał przepasane czerwonym wełnianym szalikiem, związanym z fantazyą, w ręku trzymał książkę do nabożeństwa. Stanął, spojrzał zdziwiony, zarumienił się mocno i siadł na pace przy drzwiach. Maud nie przestawała śpiewać; Władysław nalał do kubka brendy i podał go chłopcu. Wypił i chuchnął cicho. Szklankę piwa również przyjął, dziękując skinieniem głowy.

Maud skończyła śpiewać—powstała.

— Patryk, już czas?—spytała rybaka.

— Łódź czeka—odpowiedział nieśmiało.

Maud pochwyciła książkę.

— Odprowadzimy cię, Maud — rzekł Władysław — przez drogę zrobimy znajomość z twoim narzeczonym, Patrykiem.

— A my po obiedzie pójdziemy szukać, co morze dało—rzekła starsza siostra.

— I my i my! — wołały dziewczęta, ściągając trzewiki i pończochy. — I my pójdziemy zbierać, co morze dało; to rozkosz chodzić po mokrym piasku i szukać krewetów.

— Życie jest rozkoszą, gdy jest dobry zarobek — szczebiotała Zini z miną dziecka, a blaskami w oczach kokietki.

Matka, starsza córka i dziewczęta podkasały spódniczki. Zenobia towarzyszyła im. Radość była wielka, śmiechy i koncepty wypełniały izbę. Maud zdawało się, że miała wielką ochotę polecieć również do morza, lecz jej strój świąteczny, przy boku młody, uśmiechnięty chłopak i nadzieja przyszłej zabawy—zatrzymywały ją.

Wyszły, lecz okazało się, że dziewczęta nie mogły chodzić po piasku i ostrych, twardych kamieniach. Szczęściem dla nich, znalazły się w izbie stare ciżmy i te wdziały. Chude ich nogi wyglądały jak maszty w łodziach, które zaledwo mogły udźwignąć, lecz odwagi i humoru nie straciły. Z koszem

w ręku szły odważnie, byle jak najprędzej dostać się na brzeg, na mokry piasek, po ustąpieniu morza.

W przystani wielka łódź z rozpiętemi żaglami roiła się od dziewcząt, świątecznie przybranych, i młodych rybaków w strojach majtków, ze spalonemi na bronzowo od wiatru karkami. Szkockie czapeczki z czarnemi wstęgami, osadzonemi na tyłach głów, odkrywały szerokie czoła i oczy głęboko osadzone, patrzące na świat odważnie.

Okrzyki radości powitały Maud. Patryk na ziemi nieśmiały i zawstydzony, o chodzie kaczki, wskoczył do łodzi jak wiewiórka, podał rękę Maud, wprowadził ją na pokład do grona towarzyszek. Ściągnięto kotwicę, wiosłami odepchnięto łódź, nastawiono żagle. Zakołysała się, jak gdyby posyłała ukłony. Żegnano ją radośnie z brzegu, wykrzykniki „do widzenia" rozchodziły się z pokładu.

Starsze kobiety przyzwały mężów, otworzyły książki, zapanował uroczysty nastrój. Z pokładu łodzi rozlegał się psalm, przy akompaniamencie fal morskich, bijących o kamienny wał przystani. Łódź płynęła cicho, jak gdyby szła za uroczystym głosem psalmu. Zdaleka zdawało się, że dusze odpływają w ciemność, śpiewając hymn Panu.

Łódź malała, głos cichł, nad powierzchnią morza świeciły żagle, błyszczące srebrem słońca. Władysław z kamiennego wału zatoki spojrzał na ciągnący się długą, szeroką ławą mokry piasek, aż do krawędzi odbiegającego morza. Na piasku tym rojno było. Przy samej zielonawej wstędze wody uwijały się z oddalenia drobne, malutkie postacie. Mijały się, przesuwały, łączyły i rozdzielały. Morze się cofało, postacie się zmniejszały, w końcu podobne stawały się do mrówek w tęczowych barwach, kręcących się nad morzem.

Młodzieniec patrzył oczyma artysty na przyrodę i wielkie morze. Przejmowało go wzruszenie nieokreślonej zgrozy przed tym bezmiarem, tłoczącym

mu do mózgu nieskończoność. Zaczął przeklinać swój zawód, kwiaty, kwiaciarki, wszystkie robione róże, Paryż, Londyn, cały świat kramarski... Pragnął być wolnym, swobodnym, pochwycić pędzel lub pióro—i tworzyć, uwieczniać wrażenia, uwalniać się z tłoczących go myśli.

— Świat ten jest przecie rozkoszny—zwrócił się do Francuza. — I gdyby w ludziach miłość wzajemna więcej się rozrosła... — zawołał.

— A mnie się zdaje — odpowiedział Francuz — że walka i strach o byt coraz więcej z serc ludzkich miłość wygryzają i niezadługo ludzie, jak dziś narody, będą się mordować.

— A mimo to, mój drogi, idziemy ciągle naprzód. Gdy spojrzymy po za siebie w przestrzeń lat stu, zrozumiemy, że wtedy byliśmy barbarzyńcami w porównaniu z tem, czem jesteśmy dziś.

— Przynajmniej jesteśmy rozumniejsi. Jużby nas dziś nikt nie wziął na frazesa konwentu, wypowiadane przed wiekiem.

— A jednak w imię tych frazesów, ludzie szli na śmierć z piosenką na ustach.

— Zawsze w tych frazesach były wielkie hasła i w imię tych tylko haseł ludzie umierali z piosenką na ustach. Jesteśmy dziećmi przeszłości i jej spadkobiercami.

— A tymczasem nasze dzieci, bo kobiety są dziećmi, wracają.

Kobiety wracały długim łańcuchem, znanemi sobie oddawna ścieżkami twardego piasku, mijając kałuże słonej wody. Każda z nich niosła na głowie, lub ramieniu to, co morze dało: kraby, raki, krewetki i muszle, małe rybki, rzucone falą na piasek.

Zenobia, Matylda i Zini niewiele niosły, lecz były pijane wrażeniami, radością, oróżowione wiatrem, spalone od słońca.

— Ach! to morze, to morze! — wołała Zini — ono żyje, mówi, przychodzi i wraca, skarży się

i szepce miłośnie. Ja nie wiem, co będę robiła, gdy wrócę do tego ponurego, ciemnego Londynu; oszaleję z tęsknoty za morzem.

— Rozkosz, rozkosz! — powtarzały Zenobia i Matylda.

Zatrzymali się na kamiennym wale tamy, zagłębiając wzrok w zielonawe kręgi morza... Nad powierzchnią zaświecił biały maszt, kołysał się jak białopióry o wielkich skrzydłach ptak i zniknął W niebieskawem przezroczu wielka kita czarnego dymu odcięła się ponad zielonawą smugą i rozwiała w powietrzu. Morze drgało życiem, przykuwając wzrok, myśli pędząc w nieskończoność.

— Chodźmy się przebrać — przerwała zadumę Zenobia — i napić czarnej kawy z koniakiem.

— A potem na łódź o wielkim maszcie, do brzegów kochanej Francyi — dokończyła Zini.

— Do brzegów Francyi, do brzegów Francyi! — wołały wszystkie razem.

Dziewczęta w jasnych, świeżych sukienkach, rozbawione, śmiejące się, nalewały czarną kawę do grubych, fajansowych garnuszków.

— Idziemy na bal rybaków — zawołała Zini — musimy.

— Czy nas tylko zaproszą?

— Wezmę was z sobą — oświadczyła poważnie matka Maud.

— Przed balem barka o wielkim maszcie i brzegi Francyi.

Właściciel łodzi zgodził się za pięć szylingów popłynąć w stronę najwięcej zwężonego kanału i wrócić o zachodzie słońca.

Zenobia, wchodząc do łodzi, przeżegnała się, za nią dziewczęta. Łódź była silna, maszt wysoki, lecz gdy odbili od przystani, malała, morze rosło. Wiatr, ciągnąc z zachodu, wydymał żagiel, fale biły o burty, łódź mknęła, brzegi niknęły. Płynącym zdawało się, że na małej łupinie orzecha lecą w otchłań po bez-

miarze wody. Strach ich ogarnął, dziewczęta zbladły, serca im biły, Francuz i Zenobia wytężyli wzrok na południe.

Wiatr szarpał żaglem, fale kołysały łodzią, zaglądając, co się w łodzi dzieje.

— Już jesteśmy na pełnem morzu — oświadczył z uśmiechem zadowolenia rybak. — W kanale zawsze się gotuje i wre, morze francuskie wdziera się do angielskiego i biorą się za łeb

Łódź się zakołysała, żagiel się przechylił, kobiety chwyciły się rękami za burtę, krew uciekała im do serc, rybak się śmiał, Francuz i Władysław nadrabiali minami, lecz i ich łupina orzecha, którą bawiło się morze, a fale groziły zalaniem, przerażała. Zenobia miała ochotę wracać, lecz wstydzila się powiedzieć tego głośno.

Łódź kołysała się, fale nią ciskały, dokoła nic nie było widać, tylko morze, bezmiar wody, a w łupinie orzecha bijących pięć serc. Wytwarzał się dramat narażających życie, aby zobaczyć brzegi Francyi.

— Trzymać się — krzyknął majtek — uciekamy! — Pochwycił sznury, zmienił raptownie pozycyę żagla, łódź się zatrzęsła, przechyliła, bałwan wpadł w nią i zalał jej dno, dziewczęta przeraźliwie krzyczały.

— Nic — zawołał rybak — jesteśmy uratowani. — Kierował żaglem, łódź się cofała, przecinając zukosa fale morza.

Kobietom szczęki latały.

— Patrzcie! — mówił rybak, pokazując ręką.

Spojrzeli. Na łupinę naszą leciał czarny potwór, jęcząc i sapiąc. Okropny widok zagłady zaparł oddech w piersiach patrzących. Dogoni, dosięże i zgniecie!

— Nic nam nie zrobi — pocieszał rybak — usunęliśmy mu się z drogi. Wyskoczył jakby z pod morza i mógłby nas zdławić.

Potwór był czarny, wielki, dym buchał z dwóch

kominów, jęczał i sapał, pędząc na zachód z jakąś wściekłą siłą.

Zrównał się z łodzią, na pokładzie jak mrówki roili się ludzie, morze więcej się zakołysało, odpychając łódź.

Przeszedł; rybak powoli zmieniał kierunek żagla, łódź nieznacznie zwróciła się na południe.

Odetchnęli, morze się uciszyło, łódź zręcznie przeskakiwała z fali na falę.

— Ja widzę, a wy wkrótce zobaczycie — odezwał się rybak do Władysława.

Wyciągnął rękę na południo-wschód. Morze w nieskończoności i mgła. Powoli po za mgłami zaczęło się stężać, czernieć i raptem wyskoczył, jak czarny smok, cypel lądu, za nim cały brzeg wychylał się z niebieskawej mgły

— Francya! moja ukochana Francya!

Zenobia wyciągnęła ręce i rozpłakała się. Jej stary stał uroczysty, poważny.

— Kiedyż ty będziesz tak potężna, wielka i tak odważna i uczciwa, że wszystkie swe dzieci przygarniesz do swego łona!

Biedna Francyo, mieszczaństwo poniewiera tobą i urąga ci.

— Nasz kochany Paryż — szeptały wzruszone dziewczęta.

— Przysięgnijmy — zawołała Zenobia — że wrócimy do Francyi tą samą drogą, łodzią z Brighton.

— Przysięgamy! — rzekły poważnie, wznosząc ręce w górę.

Brzegi zarysowały się wyraźnie, widać było białe domki celników, chaty rybaków, z głębi ukazywały się wieżyczki kościołów i ciemne smugi lasów.

— Nasze kochane lasy! — szeptała Zenobia — nasze wiejskie kościołki, nasze chaty, nasza ziemia, nasze powietrze! Czujecie powietrze francuskie, prze-

sycone wonią kwitnących jabłoni! Ach, jakbym się napiła jabłeczniku! — rozpłakała się.

— Łzy to ostatnia uciecha, trzeba wracać — odezwał się wzruszony rybak.

Nic mu nie odpowiedziano. Skierował żagle, łódź zręcznie zawrócił i pomknął z powrotem.

— Będzie nam ciężej — mówił — trzeba wiatr kraść i pchać go na żagiel. Lecz jest nadzieja, że zmieni swój kierunek przy zachodzie słońca, wtedy będziemy gnać, że nas żaden parowiec nie dogoni.

Powrócili na pełne morze. Ocean pchał się na wschód, gniótł fale Niemieckiego morza i zalewał je. Walka Francyi z Niemcami trwa wiecznie, wzmaga się do szaleństwa i znów przycicha, lecz nie ustaje ani na chwilę.

Słońce, staczając się do morza, olbrzymiało, kładąc czerwone blaski krwi na niebo i morze. Groza szła, strugi krwi rozlały się po morzu, od nich zafarbowało się niebo. Fale przelewały się na wschód, łódź płynęła na północo-zachód, drżała od uderzeń, czuło się, że jest zmęczona i skołatana. Rybak z natężoną uwagą, stojąc przy rudlu, kierował sznurami żagla, przecinał z ukosa fale i tym sposobem chronił od zalania.

Kroplisty pot strachu występował na czoło gromadki stojącej w łodzi. Rozlana krew na morzu, rozhulane fale i płonące czerwienią niebo. Wśród tego bezmiaru wody i nieba malutkie atomy, rzucone w przestrzeń, podobne mrówkom na słomce, płynęły, lecz kierował niemi rozum i nim zwyciężali.

— Wiatr zabiega od południa — zawołał rybak — za pięć minut zmieni się, polecimy. Patrzcie tylko na wschód i zachód, aby nas znów jaki nie zaskoczył potwór; ja muszę mieć wytężony wzrok na fale i żagiel.

Minuty przedłużały się w wieczność. Zenobia pochwycila rękę starego i ściskala ją, dziewczęta

przysunęły się do siebie. Władysław stał sam, podwójny sierota...

Dmuchnął czysto południowy wiatr, rybak ściągnął sznury masztu i rudlem zakręcił. Łódź szła prosto na fale, kołysała się, lecz leciała jak ptak, zdawało się, że skrzydłami muska wodę, tak ją na grzbiety swe dźwigały fale i niosły.

Rybak się głośno zaśmiał, zaśmiały się za nim nerwowo dziewczęta.

Jazda była szalona, lecz w serca wstępowała otucha. Wiatr dął wprost na żagiel i wydymał go w półkole, pchał łódź i leciał z nią do brzegów Anglii.

Fale się zmniejszały, morze cichło, rybak obcierał rękawem koszuli pot z czoła i uśmiechał się.

— Spojrzyjcie teraz przed siebie — odezwał się.

— Ziemia! — zawołały dziewczęta.

Za purpurą mgły rysowały się ciemne brzegi Anglii.

— Jesteśmy w domu, już nas nie przewrócą ani fale, ani żaden potwór. Naprzód śmiało. — Za kwadrans przybili do przystani, ostatnie promienie słońca utonęły w morzu.

Stojąc twardo na ziemi, odetchnęli i rozśmiali się. Nerwowa kąpiel była ciężka, trwała długo, lecz młodość nerwy ma, jak wyciągnięte struny, milkną i odpoczywają, gdy się na nich grać przestaje.

Światełka z okien chat, czerwone ogniki z brzegu i morza oświetlały drogę.

Sala karczmy, stojącej na środku wsi przy bitym trakcie, jaśniała. Przez otwarte okna wydobywała się wesoła muzyka kobzy, flotrowersu i fletu. Skoczne tańce i melancholijne pieśni, śpiewane przez rybaków i rybaczki.

Matka pięknej Maud ze starszą córką, otoczona gośćmi z Londynu, weszła do sali. Majtkowie, naśladując co do elegancyi dżentlemenów, robili miejsca przybyłym. Maud, zarumieniona tańcem, przybiegła,

witając Francuski, jak stare przyjaciółki, Władysławowi podała do uścisku rękę. Patryk po paru kieliszkach brendy był śmielszy i rozmowniejszy. Młode rybaczki chodziły parami, wachlując się chusteczkami, otaczała je młodzież. Skromność i szlachetność w obejściu panowały.

— Co za olbrzymia różnica między zabawą ludu angielskiego a u nas — szeptał do Władysława Francuz.

— Po północy różnice się zatrą.

— Nie, nie, matki zabiorą córki do domu i wszystko będzie *respectable.* U nas inaczej, młode rybaczki przychodzą do karczmy bez matek.

Muzyka kilku akordami wezwała pary do porządku. Maud stanęła przed Władysławem, Patryk przed Zini.

— Cóż rybacy na to powiedzą? — spytał Władysław.

— Są gościnni, tylko, ser, zbyt mocno mnie nie ściskaj, bo cię gotowi wyzwać i zboksować, podejrzliwi i...

— Wojowniczo po brendy usposobieni.

— Zawsze!

— Gdzie idzie o ciebie, piękna Maud.

Kobza zajęczała, za nią klarnet podrapał po skórze, cienki głos fleciku zaczął wygrywać melodyę podobną do walca, więcej tylko skoczną i urywaną. Pary poszły w tan, rybacy, kołysząc się na nogach, zgiętych w kolanach, trzymali takt, pozwalając towarzyszkom swym tańczyć całą duszą i energią młodości. Francuski po paru próbach wpadły w rytm muzyki, nogi poszły same.

Za stołami, ustawionemi przy ścianie, siedziały matki i starsi rybacy z żonami, krzepiąc się z blaszanych kubków porterem. Zabawa szła wesoło, towarzyszyły jej śmiechy i żarty. Kobiety pieszczotliwie biły mężczyzn, a w tem wszystkiem panowała

jakaś dobroduszność i przyzwoitość. Nie poznawałeś w rybakach sławnych wilków morskich.

Władysław w duchu dośpiewywał sobie: jeszcze nie wybiła dwunasta.

Po skończeniu tańca młodzież częstowała damy porterem. Maud żartowała wesoło, kokietując na swój sposób Władysława; Patryk, pomagając sobie na migi, zabawiał Zini; Francuzka prażyła go wzrokiem, a uśmiechem nęciła Maud; odwzajemniała się, szczerząc białe zęby do Polaka.

Przygrywka do *dżiga* rozentuzyazmowała młodzież. Patryk zaczął uczyć Zini tańca marynarzy; pokazując, przytupywał i twarz swoją przysuwał do twarzy dziewczyny.

Maud spojrzała, błyskawica zaświeciła w jej oczach, zwróciła się szybko do Władysława. Odmówił, *dżigu* nie umiał tańczyć. Wzburzona szukała oczyma tancerzy i znalazła go w krępym, silnym majtku, niedawno zmienionym w rybaka; stanęła przed nim, dygnęła ponętnie, majtek zasalutował i zaśmiał się dziko. Pary stanęły, ujęły się pod boki, kobza zajęczała, flotrowers wrzasnął, flecik zaczął świdrować powietrze. Dziewczęta przebierały drobno nogami, mężczyźni przytupywali przecinając w połowie takt tupnięciem całą stopą trzewika, podobnem do trzasku z bicza. Po tem tupnięciu znów szedł drobniutki taniec w nieznacznych podskokach. Młodzież się cofała, dziewczęta do niej zbliżały. Od szybkiego ruchu i muzyki, drażniącej nerwy, krew przypływała do serc, paliła, młodzież puściła się sama, skacząc jak opętana. Przysiadywała do ziemi, wysuwając w takt nogi, naśladowała zwijanie lin na okrętach. Muzyka przyspieszała tempa, ochota rybaków rosła, szał tańca upajał. Krępy, tańcujący z Maud, podstawił nogę Patrykowi, chłopak runął na ziemię. Zini poskoczyła i podniosła go. Chłopak się zerwał, Maud zbladła, chciała iść do Francuzki, lecz w tej chwili Patryk rzucił się na krępego. Rybaczka z bły-

skawicami w oczach patrzyła na walkę, póki nie rozbrojono zapaśników. Patryk wzruszony ujął rękę Zini i na podziękowanie pocałował ją. Maud uważała to za obelgę sobie wyrządzoną i uderzyła go w twarz tak silnie, że się zatoczył na stół, lecz się w porę opamiętał i broniąc swego honoru, poskoczył, schwycił Maud i pocałował. Na pomoc dziewczynie stanął krępy, lecz Maud się rozśmiała, to znaczy przebaczyła, nie było punktu spornego do walki.

Stary rybak, dawniej mąjtek, bywalec na wszystkich morzach świata, uderzył po trzykroć kubkiem w stół. Zrobiła się cisza, zbiły się w jedną gromadkę dziewczęta, w drugą młodzież, rybaczki nastroiły poważną minę, rybak zaczął poważną „spicz" na temat powaśnionych kochanków, kończąc: „Zawsze nam Francuz i, jak dziś ta mała włażą w drogę, lecz Anglicy się godzą i pokazują zęby Francuzom".

— Patryk je przez dwie godziny pokazywał Francuzce, musiałam mu gębę zamknąć — przerwała Maud. Śmiechy zagłuszyły dalsze wyrazy mówcy, mimo, że bił blaszanym kubkiem o stół.

— Zaśpiewajmy na zgodę — zawołano z tłumu młodzieży.

— Zaśpiewajmy naszą starą, rybacką pieśń.

Orkiestra zaintonowała, mówca, podnosząc rękę w górę, zaczął śpiewać. Muzyka swoją drogą, dziewczęta swoją, rybacy swoją, śpiewali smutną pieśń, podobną do jęku wiatru i plusku fal. Młode rybaczki upajały się własnym śpiewem, ciągnęły długo i monotonnie, rybacy starali się im pomagać basem.

„Młody rybak zostawił młodą żonę i dziecko w kołysce — popłynął na morze — burza roztrzaskała łódź — duch rybaka przyszedł pożegnać żonę i dziecko!..."

Maud rozpłakała się, Patryk przybiegł do niej, oparła głowę na jego ramieniu, cicho łkając, objął ją w pół i tulił. Zrobiło się cicho i poważnie, nikt nie

śmiał przerywać, wszyscy uszanowali boleść, a może przeczucia dziewczyny. Zini podeszła do Maud i pocałowała ją, uściskały się.

— Zobaczycie, że jak te dwie dziewczyny, tak i Francya z Anglią przeproszą się i zbratają — zawołał mówca, wznosząc kubek w górę.

— Niech się tak stanie — przyświadczyli starsi.

— Hura! — krzyknął mówca, zwracając się do naszej gromadki.

— Hura! — powtórzyli rybacy.

Entuzyazm rósł i wzajemne uściski; Władysław kazał postawić beczułkę porteru, kolej szła szybko, muzyka ucięła *dżiga.*

Tańczono z wściekłością, Patryk z Maud, Zini z krępym, Zenobia z mówcą, Matylda znalazła dzielnego majtka... Przecinano takt, że aż podłoga jęczała. Zaczęły się prysiudy, zwijanie lin, bicie rękami o uda, śmiech, wrzawa, pulsa bily, a krew paliła, jak wiatr południa.

Muzyka ustawała.

— Jeszcze!—wołano—jeszcze!

Mężczyźni pochwycili tancerki wpół, muzyka zmieniła takt, szalona galopada opanowała młodych i starych. Matka Maud puściła się z sześćdziesięcioletnim majtkiem. Oczy błyszczały, na twarzach majtków purpura, twarze dziewczyn blade, lecz namiętne, podłoga uginała się w takt, cicho jęcząc: Władysław, Francuz i służba nalewali do kubków porter. Muzyka raptem na dany znak urwała; tancerze stanęli jak wryci.

— Niech żyje Anglia! — zawołał Władysław, wznosząc kubek w górę—jej wielka flota, jej dzielni marynarze, jej morza i wszyscy ci, co z nich żyją!...

— Hura! — Młodzież wypiła porter duszkiem, muzyka zagrała narodowy hymn angielski—śpiewano chórem.

Władysław szepnął do Zenobii.

— Uciekajmy pocichu, bo może być źle. Z czupryn się kurzy, a w oczach świecą żółtawe płomyki. Północ się zbliża.

— I gdzież się podziejemy?

— Drogą do Brajton i na stacyę. Pociągi do Londynu odchodzą co godzina.

— Dobrze; drogą do Brajton.

— Naprzód trzeba szepnąć Zini i Matyldzie, aby się pierwsze wysunęły, ja za niemi, potem stary, pani pójdziesz go szukać, punkt zborny — bity gościniec.

Skinęła głową.

Rozbawione dziewczęta nie chciały odejść. Zini groziła Władysławowi, będąc pewna, że tylko ją przez zazdrość wyciąga. Matylda patrzyła ponuro...

— Dobrze, zostańcie, zostawiam was na pastwę rozbrykanych humorów majtków...

Wyszły za Władysławem, niebawem nadeszli Francuz i Zenobia.

Swieże powietrze i chłodny, przesycony wilgocią morską, wietrzyk, ciągnący od morza, otrzeźwił dziewczęta. Zini wsunęła rękę pod ramię Władysława; zaczęła marzyć na temat, dlaczego Pan Bóg nie pozwolił jej przyjść na świat rybaczką, lecz kazał jej być kwiaciarką. Zazdrościła Maud jej swobody, biegania po mokrym piasku i Patryka.

— A jednak Maud na samo przypomnienie ciężkiego losu rybaczki—płakała.

— Ale jaka teraz szczęśliwa, w tej chwili...

— Zazdrościsz jej Patryka?

Zini uderzyła Władysława w ramię.

— Zazdroszczę jej szczęścia i takiej rozkosznej młodości, jaką ma. A dla mnie od rana do późna w noc praca w zamkniętej izbie i myśl, czy mimo to, nie przyjdzie mi za tydzień lub miesiąc umrzeć z głodu. Dziś wśród tych rybaków, na mokrym piasku morza, w karczmie, czułam się szczęśliwą,

czułam, że wśród nich nie umarłabym głodową śmiercią. Nakarmiliby mnie i pracyby mi nie zabrakło. Jest różnica pozycyi na świecie między mną a Maud.

— Jest—pomyślał Władysław—biedna niewolnico losu, kaprysu mody i twego pana fabrykanta. Kwiaty wyjdą z mody, i co się z tobą stanie i z fabryką... I co się ze mną stanie? — dokończył.

— Nie wpadajmy po tak przyjemnie spędzonym dniu w smutny ton — przerwała Zini. — Życie jest jedno, a w niem i młodość jedna. Nie dręczmy się widmami, kiedy możemy oddychać całą piersią. Patrzmy w przyszlość śmiało. A jeśli przyjdzie umrzeć, umrzemy z uśmiechem na ustach, wiesz pan, z tym naszym francuskim uśmiechem przebaczenia, litości i tej odrobiny pogardy, która się będzie należeć naszym katom.

— Komu?

— Alboż ja wiem? modzie, najprędzej modzie, ona jest podła i głupia, jak ci, którzy nią kierują. Wie pan, czem zostanę, gdy moda wyrzuci kwiaty?

— Rybaczką!

— Tak, rybaczką, ale w moim kraju, w Bretanii, nad oceanem, od Brest do Nantes, kawał brzegu i kawał morza! Dziękuję panu za dzisiejszą wycieczkę, pokochałam morze, będę tęskniła za niem i marzyła o niem. A jak to smutno przy robocie nie mieć o czem marzyć i tęsknić za kim...

— Za Patrykiem—dokończył Władysław.

Zaśmiała się wesoło.

— Ale jakże biednego chłopca Maud lunęła w pysk! Będzie miał pamiątkę! Muszę być raz jeszcze w Brajton na ślubie i weselu Maud. Na ślub pojedziemy do kościoła łodzią o trzech żaglach. Dziękuję panu za Brajton, jako za jedną z przyjemniejszych chwil mego życia. A tak ich mało!

Dworzec był oświetlony, sygnały dźwięczały

w powietrzu, pociąg nadchodził. Zaledwie zdołano kupić bilety i wsiąść. Dopiero w wagonie przyszło wyczerpanie i zmęczenie. Zenobia oparła głowę na ramieniu swego starego, Matylda na ramieniu towarzyszki. Zini, udając że zasypia, pochyliła swoją ku Władysławowi. Młody człowiek zniósł ten ciężar, zamknął oczy i zasnął...

III.

Słońce rozbijało poranne mgły, gdy po cichu otwierał drzwi swego mieszkania. Na stole zastał list, w nim rozkaz pana Clarka o cztery tuziny upięć *corsage* i u spodu kilkanaście wyrazów dopisanych ołówkiem przez czarnooką miss.

— Właśnie teraz — zawołał — rozbawionym, a prawie nieżywym ze zmęczenia Francuzkom kazać montować upięcia. Głupi kwakrze, tyś oszalał!

Rozebrał się i rzucił na łóżko i okrył się białą cienką kołdrą. Jakże mu było przyjemnie, rozkosznie! z jaką lubością tulił się do poduszki i na miękkim materacu układał zmęczone ciało.

— Jeżeli jest rozkosz na świecie, to po wielkiem całodziennem zmęczeniu znaleźć się w wygodnem łóżku, w czystym pokoju, w chłodzie świeżego powietrza i przysłoniętych storach w oknach.— Zasnął.

Śniło mu się morze ze swemi falami, czerwone słońce, czarny potwór o dwóch kominach, Maud, Zini, tańce. Uśmiechał się we śnie do odbitych w mózgu wrażeń.

O godzinie ósmej rano weszła Sara z herbatą przeczytała porzucony list na stole i w imię uszanowania dla biznesu zaczęła budzić młodzieńca.

Roztworzył oczy, usiadł na łóżku, szybkim ru-

chem ręki objął za szyję Sarę, pociągnął, pocałował, padł na łóżko, obrócił się do ściany i zasnął.

Płomień oburzenia rozlał się na okrągłej twarzy Sary. Szukała w myśli odpowiedniego ustępu z Biblii, młodzieniec zachrapał. Roześmiała się do swych myśli i westchnęła.

— To był pocałunek syna z prośbą, aby mu darować jeszcze dwie godziny. W imię macierzyństwa przebaczam ci. — Otuliła go kołdrą, poprawiła poduszkę i wyszła, powtarzając:

— Gdybyś był Anglikiem, jużbyś był w tej chwili na Piccadylli. Ale cóż, ty jesteś Polakiem, zdaje mi się podobno hrabią—i dlatego tak głupi, że o biznesie nie można z tobą mówić.

Po dwóch godzinach młody człowiek siedział na łóżku, trzymając w ręku filiżankę mocnej, czarnej herbaty—w fotelu siedziała Sara.

— Gdybyś pani wiedziała, co to za rozkosz spać dla tego, kto wczoraj pół dnia żeglował łódką po rozhukanem morzu.

— Na kanale? To szaleństwo!...

— Tak, to było szaleństwo, ale jakież rozkoszne szaleństwo! Mam ochotę zerwać się, chwycić pióro i opisać moje wrażenia... Lecz cóż, nie jestem literatem! Co za szkoda!?

Sara pokazała mu list.

— Przekleństwo! — zawołał — jak ja nie cierpię robionych róż, upięć, corsaży, wszystkich fałszywych kwiatów.

— Jakto? nie lubisz swego fachu i biznesu?...

— Nie cierpię fabryk, sprzedaży, kupna, handlu, zdzierstwa.

— Więc cóż ty lubisz?

— Sztukę i piękno. Pomyśl tylko, kochana mistres: leżę w łóżku i czytam dzienniki, potem wstaję, otwieram okno, siadam przy sztalugach i maluję...

Sara wstała oburzona,

— Ależ na to trzeba być lordem!

— Albo mieć talent i trochę czasu.

Sara wpatrywała się w niego zdziwiona. Narzeczony jej, Cook, miał talent do wygłaszania banalnych kazań na ulicach Londynu. W inne talenty nie wierzyła i nie uznawała ich potrzeby i użyteczności.

— Jak mi herbata smakuje, jak mi się wydaje miłym pokoik, w którym mieszkam. Na ulicy ogródki, pełne zieloności i kwiatów, i ty, mistres, jakaż jesteś sympatyczna i dobra, nawet ładna ze swoją miłą tuszą.

Sara lekko się zarumieniła.

— Pewno nie wiesz o tem, lecz dziś rano, gdym cię obudziła, objąłeś mnie za szyję i pocałowałeś. Gdyby mister Cook o tem wiedział...

— Przepraszam was oboje—zawołał.

— Przebaczyłam ci, gdyż we śnie byłeś pewny, że stoi przed tobą jedna z francuskich dyablic.

— Nie, mistres — jedna z rybaczek z pod Brajton.

— Rybaczek!?... Majtkowie, rybacy, rybaczki, cały ten tłum żyjący z morza — po śmierci, w szalonym tempie *dżiga* leci prosto w piekielny ogień.

— Pani! uczciwi, odważni, pobożni!

Sara zaśmiała się sucho.

— Ser, jesteś skromny i naiwny, jak dziecko, nic nie widzisz. A ktoby zgorszył jedno z tych dzieci...

— Mistres!...

— No dosyć, jeśli za półtorej godziny nie będziesz na Piccadylli, stracisz pięćdziesiąt funtów. Lecz wy i więcej potraficie składać na ołtarzach waszego lenistwa, deklamując o jakimś talencie, jak gdyby było potrzeba jakiegoś innego talentu, prócz do wygłaszania kazań.

Wyszła, Władysław jednym susem wyskoczył z łóżka,

— Przekleństwo! — szeptał — latać jak chart za nędznym groszem, wystawać jak podły komisant po sieniach i przedpokojach wielkich magazynów, kłaniać się, żebrać...

Zaczął się myć.

— Nie żebrzesz przecie, głupcze, uczciwie zarabiasz, zbywając ciężką pracę swych przyjaciół w Paryżu, a tu dajesz dobry zarobek trzem biednym robotnicom bez ojczyzny i rodziny... Widzisz, nie tak jest źle, jak myślisz. Jesteś użytecznym pośrednikiem i nie narzekaj na swój los, bo los mściwa bestya, zemścić się może na tobie. Jesteś leń i basta, Sara ma racyę!

Mimo tych refleksyj, z pewnym wstrętem wsuwał rękę za pas, podtrzymujący czarne pudełka, wyładowane różami.

— Spiesz się, ser—wołała za nim Sara.

— Jeśli mam się spieszyć, to trzeba wziąć *keba* i nim polecieć. Stać mnie na dwa szylingi, do stu kartaczy...

Pobiegł na stacyę, siadł, za pół godziny był na Piccadylli, leciał jak wiatr. I znów Sara się nie omyliła; dostał zamówień na kilkadziesiąt funtów; rozpromieniony stanął w pracowni Zenobii. Zastał je przy robocie, stos upięć i corsaży leżał przed niemi.

— Widzisz, nie próżnujemy -- mówiły dziewczęta — przespałyśmy się w wagonie, godzinę w domu. Idąc, wzięłyśmy kąpiel w zimnej wodzie i dalej do pracy.

— Nowe zamówienia — wołał, podając notatkę.

— Nowe! co za szczęście, co za radość!—szczebiotały.—Na przyszłą niedzielę do Brajton, do Maud, zbierać co morze dało.

— Do Patryka — dokończył Władysław — lecz cóż? Maud bije.

— Ale Patryka—dokończyła, śmiejąc się, Zini.,,

— Rozwieziesz umontowane kwiaty i kupisz liści; dziewczęta zatrzymuję u siebie na noc; idziemy spać o ósmej, wstajemy o czwartej rano i do roboty.

— My umiemy pracować, my się nie lenimy, dajcie robotę, niechaj nam tylko jej nie zbraknie.

— Przez ten tydzień, mam nadzieję — rzekł Władysław—zarobicie po sto pięćdziesiąt franków.

— A po tygodniu?

— Trzeba będzie żyć z oszczędności, lub iść nad morze zbierać, co ono da.

— Nad morze—zawołała Zini—pojadę do Bretanii, nad ocean i zostanę rybaczką. Dosyć mam w mieście tej walki z nędzą, głodem, z konkurencyą. Wolę tam czarny kawałek chleba i ciżmy podbite gwoździami. Morze wielkie, wspaniałe, ciągnie do siebie, pieści, śpiewa, gwarzy...

— Rybacy — mówił dalej Władysław — dzielni chłopcy, patrzą nieśmiało, lecz w oczach ich siedzi cała dusza, poczciwa i szczera.

— Prawda, poczciwa dusza wygląda z uśmiechów.

— A pani? — zwrócił się z zapytaniem do Zenobii.

— Mnie się jeszcze pan pytasz? Moim światem jest Paryż Czy go kiedy zobaczę? A jak tęsknię za nim, to jeżeli się uda w tym tygodniu zarobić paręset franków, połowę odkładam na podróż do Paryża!...

Westchnęła.

— Mój drogi, kochany Paryż! Na samą myśl, że mogę go zobaczyć drżę, ręce mi się trzęsą, nie będę mogła spać.

— I ja z tobą do Paryża—zawołała Matylda.— W Paryżu raj! Nie oddam go za wszystkie morza i skarby świata.

Zini wzruszyła ramionami.

IV.

W tydzień później gromadka naszych znajomych, kobiety w wiosennych, słomianych kapeluszach i perkalowych sukienkach, Władysław w cylindrze, umieściła się na stopniach pomnika Nelsona. Wielki, wysoki słup z korynckim kapitelem, a na nim marynarz, pierwszy, który zwyciężył wielkiego wodza i świata pogromcę!...

Stali zwróceni twarzą do Tamizy, Parlamentu i Westminsteru, szeroka droga wśród wspaniałych gmachów odrodzenia wiodła do Bukingham pałacu, podobnego do greckiej świątyni. Tłumy ludu patrzyły w zwartych szeregach, środkiem ciągnęły w dwóch rzędach powozy, konie przepyszne, na kozłach liberya w białych perukach, w powozach kobiety starsze i młode — te drugie najpiękniejsze na świecie. Zwycięztwo odnosiły rude, białe jak alabastry, o czarnych oczach, ciemnych brwiach i śmiałem, dumnem spojrzeniu.

Władysław i Zenobia poznawali swoje róże, wychylające się z po za alabastrowych biustów i ramion.

— Nasze róże, nasze róże — szeptał Władysław—jakże są piękne.

— Bo i ramiona Angielek są śliczne. Te dumne, zimne jak stal, mają najpiękniejsze ciała na świecie, podobne do sinawego marmuru, a jak utoczone! wykute!... Szczęśliwe! wszystko mają: pieniądze, piękność i młodość...

Zini i Matylda westchnęły.

Powozy, jadąc noga za nogą, zatrzymywały się. Służba zeskakiwała z kozłów i razem ze służbą z hoteli i klubów wynosiła nakrycia i śniadania. Piękne zjadały rostbify z ciekącą krwią i popijały piwem angielskiem, mocnem jak piekło.

— Piją, jak smoki — odezwała się Zenobia — a tak przejrzyście białe.

— Chodźmy pod same wrota pałacu — zawołał Władysław — nogi bolą stać w miejscu.

Wysunęli się z tłoku i poszli środkiem ulicy.

— Teraz to już możemy przysiądz, że nasze róże, nasze kwiaty i nasze upięcia są najpiękniejsze — chwaliła się Zenobia.

Na placu, przed pałacem Bukingham, powozy stanęły w dwanaście rzędów. Wśród nich uwijali się młodzi ludzie, zbudowani jak młode lwy, o szerokich piersiach i muskularnych rękach. Czuć było pod ubraniami siłę, a pod wrodzoną nieśmiałością synów Albionu — energię. Piękne panie w powozach przyzywały ich do siebie, śmiały się do nich, szczebiotały, dokazywały jak rozpieszczone dzieci, które za karę muszą długo stać na jednem miejscu.

Panowała wrzawa i wesołość młodości.

— Dalej, dalej! — wołała Zenobia — do samego pałacu.

Biegli, lecz pałac był odgrodzony żelaznemi sztachetami, u wrót stali konni konstablowie, nikogo nie puszczali.

— Chciałam zobaczyć cały strój, suknie, jak wyglądają nasze upięcia, a te łajdaki Angliki trzymają nas tu.

Powóz za powozem zajeżdżał — damy wyskakiwały i nikły za słupami portyku.

— Chodźmy — nalegał Władysław. — Jeszcze raz rzucimy okiem na tę piękne i brzydkie — i...

— Na te śliczne ciała. Paryżanki mogą im zazdrościć i pewno zazdroszczą. — Zenobia westchnęła, rzucając z ciemnych oczu gniewne spojrzenia. Dziewczęta zapatrzone, oniemiałe, pełne żalu i nieokreślonej zazdrości, szły automatycznie za swą przewodniczką. Zini zapomniała prażyć Anglików swym wzrokiem. Czuła, że na nicby jej to się nie przydało — nie patrzyli na nią.

— Kobiety w powozach pobiły nas — szepnęła Matylda.

— Do morza, do morza!—odpowiedziała wzruszona Zini.

Wydobyli się z tłoku powozów i koni, wspaniałych strojów, białych biustów, brylantów i patrzących się tłumów, skręcając w boczną pustą uliczkę. Odetchnęli.

— Nareszcie—szepnęła Zenobia—oddycham.

Stanęły zmęczone.

— Zapraszam panie na śniadanie, złożone z kotletów baranich, sałaty, sera. Po drodze wezmę parę butelek dobrego bordeaux. I my miejmy swoją uciechę, uroczyście zakończmy nasz sezon.

Z butelkami wina weszli do skromnej, małej, o jednym pokoju restauracyi. Stoły, przy nich ławki, były odgrodzone wysokiemi przepierzeniami. Roztasowali się w jednem, płacąc korkowego po dwa penny od butelki.

Przy baranich kotletach i winie rozmowa się ożywiła, Francuzki odzyskały swobodę, wesołość i tę energię życia, która je zawsze dźwiga i trzyma na wysokościach.

— Bukingham dobrze nam zrobił — zabrał głos Władysław

— Dobrze, zarobiłyśmy po czterysta franków.

— I cóż panie z temi kapitałami myślicie robić?

— Jadę do Paryża—zawołała Matylda—dosyć mam tych Anglików.

— Jeżeli mi mój stary pozwoli, odprowadzę Matyldę i zabawię choćby ze dwa lub trzy tygodnie.

— A pani, panno Zini?

— Ja nad ocean, do morza, do moich drogich rybaków. Jestem Bretonką wychowaną w Paryżu i gdym znów morze zobaczyła w Brajton, tęsknota we mnie odżyła. Czuję, że bez morza wyżyć nie mogę. Oddaję wam Paryż za moje ukochane morze.

Powstała, chwyciła kieliszek i, podnosząc go w górę, zawołała:

— Na cześć wielkiego morza i moich dzielnych Bretończyków, których kości po wszystkich morzach i lądach spoczywają, których humor raduje niebo, a odwaga świat zadziwia!—Trąciła o kieliszek Władysława, wypiła odrazu duszkiem, odetchnęła i rozśmiała się serdecznie i głośno.

— Niech żyje morze! do morza! — powtórzył Władysław.—Jadę do Jersey!

— Zobaczymy się na Jersey! Rozkocham cię i musisz zostać rybakiem.

— Żebyś mnie potem dla pierwszego lepszego Patryka, a u was w Bretanii Iwona, zdradziła—*merci*.

— Zdradzi cię w pół roku—dodała Zenobia.—Nie byłaby Bretonką wychowaną w Paryżu, nie byłaby kwiaciarką, nie byłaby monterką, nie byłaby sobą!

— Nie byłaby Francuzką — oświadczyła Matylda.

— A gdybym go kochała, szalenie kochała?

— Moja droga—przerwała Matylda—my szalenie kochamy najdłużej trzy miesiące i wtedy stajemy się zazdrosne, że trudno z nami wytrzymać.

— Nieprawda! — zawołała Zini. — My, gdy kochamy, jesteśmy niewolnice!

— Prawda, ale ponieważ kochamy najdłużej trzy miesiące!

— To może wy, ale nie ja — broniła się Zini...

— Ty?—zawołała Matylda—ty? ha-ha! Nikt inny, tylko ty!

Zini rozpłakała się serdecznie, przyjaciółki nie mogły jej uciszyć.

— Panno Zini, poznamy się na Jersey — szepnął jej Władysław.

Dziewczę otarło oczy chustką i rozśmiało się

wesoło, wpatrując się wielkiemi oczyma we Władysława.

— Tak samo patrzy, jak w Patryka—szepnęła Matylda.

Rozśmieli się, jak gdyby na komendę, Zini za nimi.

W dobrych humorach wyszli. Zini wsunęła rękę pod ramię Władysława.

— Przejdźmy się—rzekła.—Na Strandzie wsiądziemy do omnibusu.

W drugą parę postępowały za nimi Matylda i Zenobia.

— Długo cierpiałam i milczałam—mówiła cicho wzruszona Zini. — Nie widziałeś moich spojrzeń, nie rozumiałeś uśmiechów, z rozkoszą oddałabym ci życie, a ty — tyś się umizgał do Maud, wytrzeszczałeś oczy na Angielki w powozach. Spojrzyj na mnie i pomyśl, że gdybym była panią, jak one, i ubraną, jak one, nie byłabym od nich brzydsza.

Władysław spojrzał i przekonał się, że dziewczyna miała śliczne oczy, nosek prosty, czoło wązkie, owal twarzy uroczy i usteczka może zbyt silnie wycięte, lecz zgrabne i małe. W ruchach zręczna. Włosy przepysznie nosiła uczesane z finezyą francuską.

— Za długo się patrzysz—rzekła wesoło—lecz nie boję się porównań.

— Zini, daję słowo, że nie jesteś od nich brzydszą.

— Nareszcie znalazłeś! Myślę o tobie po całych dniach, śnię w nocy, gdy wchodzisz ognie występują mi na twarz, gdy cię nierna tęsknota mnie obejmuje i dusi. Cóż ja pocznę, jestem szczera, nie umiem udawać i co czuję, muszę powiedzieć. Już i tak cały długi miesiąc milczałam. Lecz myślę sobie, jeżeli jeszcze dziś nie powiem, może wyjedzie, może go nie zobaczę i co się wtedy stanie z mojem biednem sercem?

Spojrzała Władysławowi figlarnie w oczy. Uśmiechał się, dziewczynie się zdawało, że był wzruszony i rozpromieniony.

— No widzisz, myśl moja podoba ci się, uczucie moje szczere i serdeczne bierze cię.

Przysunęła się do niego i jakimś omdlewającym szeptem mówiła:

— Weźmiemy sobie domek piętrowy za dwadzieścia funtów rocznie, z dwoma ogródkami, blizko tramwaju. W ogródku od frontu będę hodowała kwiaty najpiękniejsze na całej ulicy. W suterenach kuchenka, na dole pokój dla ciebie i dla naszych gości—na górze...

Nie dokończywszy, zapłoniła się, ręka jej zadrżała.

— Nie będzie ci się chciało latać z pudlami, to sama polecę, tylko się poduczę po angielsku. Żebym przebyła dwa miesiące z Angielkami, mówiłabym dobrze.—Zniżyła głos.—Zenobia zazdrości i boi się, aby nie straciła zarobku, bo czuje, że i ja również dobrze, jak ona, potrafię montować.

Władysław szedł zamyślony. Podobała mu się ładna, zgrabna dziewczyna, jej wesołość, odwaga życia, nadzieje. Miłość jej! — któryż mężczyzna nie wierzy w przywiązanie dziewczyny, jeśli sama o niem mówi? brało go...

— Dosyć tych romansów—odezwała się Zenobia, przysuwając się z Matyldą do Władysława. — Wstąpimy na czarną kawę, a potem wsiądziemy do omnibusu. Prowadź pan mnie, gdyż ja tu jestem najstarszą.

Zini zbliżyła się do Matyldy i szepnęła jej.

— Już go mam!

— Wszystko to byłoby dobrze—mówiła Zenobia do Władysława—gdyby...

— Gdyby co?—pochwycił.

— Gdyby w miesiąc nie uciekła od ciebie. Dziewczyna wrażliwa, rozbawiona, chciwa zmian,

znudzi się w miesiąc i drapnie. Inaczej Zini nie byłaby paryżanką. Trzeba znać paryżanki; to są zupełnie odrębne od reszty kobiet natury.

— Proszę mnie nie obgadywać — wołała Zini.

— Boisz się?

— Nic nie zawinilam, mam czyste sumienie, a więc i bać się nie mam potrzeby. Tylko, że znam języki kobiet. — Zrobiła minkę, z której jednocześnie rozśmieli się Zenobia i Władysław.

Weszli do kawiarni na czarną kawę. Zini z przyzwyczajenia i zapomnienia prażyła wzrokiem przechodniów. Zenobia pod stołem trącała nogą Władysława, zwracając jego uwagę.

W pół godziny później wsiedli do omnibusu. Władysław odprowadził damy i wrócił poważny, uroczysty do siebie. Obliczył pieniądze: miał zarobionych trzy tysiące dwieście pięćdziesiąt franków. Tak się skończył ostatni dzień wiosenno-karnawałowego sezonu w Londynie.

V.

Nazajutrz dzień był prześliczny, północny wiaterek przeciągał od morza, słońce wesoło świeciło.

Władysław siedział na kanapie, obstawiony książkami, rysował zamyślony, lecz widać, że był rad z siebie. Dobrze mu było, z oczu jego wyglądało zadowolenie, z uśmiechu—rozkosz; tworzył.

Często się zrywał, rzucał ołówek, chodził po małym pokoju, stawał w oknie, patrzył w przestrzeń i uśmiechał się do własnych myśli, łapał je, wracał do stolika i rysował.

Zastukano cicho, drzwi się odchyliły, weszla Sara z miną uroczystą. Władysław podniósł głowę.

— Jedna z młodych dyablic, szatynka z niebieskiemi oczyma, pragnie się z tobą widzieć, ser; nie wpuściłam jej do salonu, czeka na korytarzu. Po-

wiem, że jesteś w łóżku. Sezon się skończył, więc czego tu chce?

— Prawda, sezon się skończył, lecz rachunek z nią nie załatwiony. Droga pani, poproś ją do salonu, przyjdę w tej chwili.

Sara, wychodząc, wzruszyła ramionami.

Za chwilę w saloniku do przyjmowania gości stała przed Władysławem Zini w nowym wiosennym kapeluszu, z pękiem kwiatów u ronda.

— Mam wielką myśl—szczebiotała, podając mu rękę na przywitanie—wielką myśl, jedyną, wyborną! znalazłam w tej dzielnicy, niedaleko ztąd, tylko głębiej o parę ulic, prześliczny domek piętrowy odosobniony, drzewa, cisza, rozkosz — widok na ogrody i park, wielki park, słychać szum drzew i szmer płynącej wody.

Spuściła oczy, strojąc skromną minkę.

Potem ujęła go za ręce i patrzyła mu w oczy serdecznie.

— Bóg wie, co się może stać? żal jakiś mnie bierze, tęsknota szarpie, nie mogę miejsca sobie znaleźć, ciągle myślę o tobie... I gdybym straciła ten domek, byłabym niepocieszona...

Zaczęła cicho płakać, kładąc głowę na piersi młodzieńca. Mimowoli objął ją wpół, jakiś czas zostali w tej pozycyi, ona płacząca, on wzruszony.

Zastukano do drzwi i w tej chwili za stukiem płynął barytonowy głos Sary.

— Mister Władysław, krawiec przyniósł nowe ubranie—czeka.

Młoda para zerwała się, Zini obtarła oczy chusteczką.

— No i cóż—szeptała—wynająć domek i dać zadatek?

— Muszę go zobaczyć.

— Prawda, a więc dziś o piątej czekam pana na Essex road, w tej małej ciastkarni na rogu, zaprowadzę cię.

Stanęła przed lustrem, chuchnęła na chusteczkę i przytknęła ją do oczu, aby szybciej wyschły, poprawiła włosy, wdziała kapelusz, uśmiechnęła się, wyciągnęła do uścisku rękę i wybiegła.

Sara nie kłamała, krawiec z gotowem ubraniem czekał w kuchni.

Władysław wrócił do siebie, stanął w oknie wzruszony. Łzy młodej, ładnej dziewczyny brały go — wspólne pożycie w cichym, prawie własnym domku, wśród drzew i kwiatów, uśmiechało się do niego. Młodziutka kobieta sama jeżdżąca z modelami po obstalunki, gdy on mógłby oddawać się swej ukochanej pracy...

Stał zasłuchany we własne myśli — raptem żal go opanował. Żal mu się zrobiło samego siebie... odcięty od kraju, garstki przyjaciół, rodziny... Zimno go przeszło.

— Gdy szały młodości ustaną, co zostanie? Czem ja będę, mając lat czterdzieści, pięćdziesiąt?... Bez przyjaciół, rodziny; bez kraju—atom rzucony na powierzchnię świata, nie przylgnie do mnie fala, ani ja do fali. Nie będę odczuwał cierpień, lecz i radości drugich. Wśród milionów obcych ludzi, rzucony na pustynię sam, zawsze sam...

Zacisnął pięście i podniósł je w górę.

— Nie chcę być egoistą, nie chcę być jednostką wyrzuconą za nawias stosunków ludzkich, nie chcę! Niewola się moja skończy i wrócę do swoich, do kraju, pracować, żyć, cierpieć, cieszyć się—tu gałęź odcięta od pnia — usycham! Najpiękniejsze w uśmiechu wiosny kobiety nie zatrzymają mnie. Trzeba umieć być sobą i zostać do śmierci sobą, ratować swoje, swoją jednostkę, swoją indywidualność, jaką ona jest.

Wrócił do pracy, rad, że się potrafił zwyciężyć, lecz gdy się chwila schadzki z Zini zbliżała, wstawał, myśli jego rozstrzelały się, nerwy burzyły; położył ołówek, ubrał się w nowy garnitur i, cicho

schodząc ze schodów, aby nie widziala Sara, poszedł na Essex road do ciastkarni, gdzie go miało czekać zakochane w nim dziewczę.

Nikogo nie zastał, poprosił o kawę i dzienniki...

Czekał pół godziny, wpadła zmęczona i wystraszona Zini.

— Przepraszam — mówiła szybko — spóźniłam się. Wyobraź sobie, jakiś nieznany facet idzie za mną, od kiedy wyszłam z domu Umyślnie skręcałam w prawo i w lewo, ażeby raz się przekonać, czy istotnie za mną idzie, a potem, ażeby mu zejść z oczu; nic nie pomogło, szedł wciąż. Z pewnością wszedłby tu za mną, gdybym się z tobą nie przywitała.

Władysław się roześmiał, zaśmiała się Zini.

Dziewczę szybko wypiło kawę.

— Chodźmy — szepnęła nerwowo.—Dajmy pokój wszystkim facetom, żyjmy dla siebie, cieszmy się sobą!...

Wyszli, obejrzała się, czy facet czeka na ulicy na nią. Chciała widocznie pokazać mu, jakiego ma towarzysza, a zatem żadnego innego nie pragnie i nie chce...

Nikt nie czekał. Wsunęła pod ramię Władysława rękę i z wdziękiem szczęśliwej młodości, a kokieteryą Francuzki, szła obok niego dumna, pewna siebie.

— Mój drogi, ty nic nie patrzysz na mnie, nie tulisz mojej ręki, nie wzdychasz, nie uśmiechasz się do mnie, nie mówisz mi komplimentów? Ale to nic nie szkodzi, przebaczam ci dlatego, że jesteś dobry, dystyngowany, przyjemny. Mąż Zenobii mówi, żeś uczony. Nie znam się na tem, ale i to mi pochlebia. Zenobię żółć zaleje z zazdrości, gdy się dowie, że jesteśmy razem. Naturalnie, pójdziemy do niej z wizytą. Pewno na zimowy sezon wróci Matylda, moja przyjaciółka z fabryki kwiatów. Pojedziemy do

Paryża! Muszę się moim panem pochwalić przed całym światem, a cóż dopiero przed znajomymi w Paryżu.

Gwarzyła wesoło, wysuwając na pierwszy plan Władysława i swoją miłość dla niego. A któryż mężczyzna, młody i nieprzeżyty, może się tym czarom oprzeć? Słowa ładnej, młodej dziewczyny kołysały go i upajały...

— Patrz, jesteśmy na naszej ulicy. Nie byłeś nigdy w tym zakątku Londynu, jaki rozkoszny! Co tu zieloności, drzew, jaka cisza, kościołek na środku, z boku szkoła, a za nią czwarty domek, to nasz. Granicą ogródka naszego kanał, woda czysta, zimna, płynie szybko. Możemy ją czerpać do polewania kwiatów i jarzyn, a w nocy, gdy wszyscy będą spać, lub przed wschodem słońca kąpać się... Pomyśl, co za rozkosz?!...

— Będzie nam tu dobrze!—szepnęła Zini.

Władysław szedł oczarowany; rozumiał, że robi szaleństwo, lecz oprzeć się nie mógł, nie miał sił, i wiedząc z góry, że przegra, nie próbował się nawet opierać.

— Oto nasz domek. Patrz: kwiaty, wino, pnące się po żelaznych sztachetach, dwa okna inspektów, a tu sałata i rzodkiewka. Słyszysz szmer wody! to wszystko nasze i ta ławka nasza.

Pobiegła naprzód, ciągnąc za sobą Władysława, wpadła do suteren.

— Tu nasza kuchenka, a to skład na węgle. Chodź na drugą stronę; patrz, pokój jadalny, framuga zamykana, półki, ogródek prawie że w okno się ciśnie. Chodź na górę. Tu na parterze pokój mego pana, a zarazem salon do przyjmowania, jeśli się zdarzą, gości, a ten drugi to mój pokoik, a zarazem pracownia. Będziemy blizko siebie. Schodki żelazne prowadzą na pierwsze piętro, na górę.

Czułość tę przerwała mistres czarno ubrana,

okazała, z czarnemi, jak krucze pióra, lokami. Zobaczyła czulenie się Zini do Władysława.

— Oto mój mąż—rzekła po angielsku Zini.

Władysław się skłonił.

— Napróżno trudziłeś się, ser — rzekła dama o czarnych, jak kruk, lokach — mieszkanie przed godziną najęte.

— I nie da się odmienić? — spytał Władysław Żal mu się zrobiło.

— Kontrakt podpisany, zadatek wzięty.

Zini zrozumiała i zalała się łzami; po wązkich wargach mistres przemknął się uśmiech piekielny, krucze loki zadrżały.

— A zresztą—dodała—mój mąż, minister i kaznodzieja tutejszego kościoła, wymaga od młodych aktu ślubnego, jeżeli chcą mieszkać w domach parafii...

— Pani, my dostawimy akt — przerwał potok słów Władysław.

— Z jakiego kościoła?

— Katolickiego!

— Kupny, fałszowany? Wy odpuszczenie grzechów kupujecie.

— A pani — zawołał Władysław—z czego żyjesz i tak pięknie wyglądasz? a twój minister? Ssiecie poczciwych głupców. Im zaledwo wystarcza na kawałek chleba, gdy u was na stole codzień rostbify i plumpudingi. Tusza twoja mówi, że lubisz plumpudingi, a czerwony nos, że dużo lejesz do nich araku. Chodźmy! tu nie umieją uszanować cudzych przekonań i wierzeń, widać, że sami we własne nie wierzą, pasibrzuchy, darmozjady.

Podał rękę Zini, pogroził i wyszedł.

Mistres chciała wołać, lecz ją dławiło. Czekała, rychło dom runie na ich głowy—nie runął. Słońce świeciło, wietrzyk w górze pieścił liście drzew.

Mistres przyskoczyła do żelaznych krat i odetchnąwszy, zawołała:

— Przeklinam was! Niechaj Bóg...

— Wy umiecie tylko przeklinać—przerwał Władysław — palilibyście na stosach, tylko, że wam nie dadzą. Bądź zdrowa z uczernionemi piekielnym kamieniem lokami, dyablico.

Jakiś śmiech długi i przeciągły przeleciał nad ich głowami. Obejrzeli się, lecz nikogo nie zobaczyli, mistres zamilkła — odeszli, skręcając w boczną ulicę, szukać mieszkania, w nadziei, że władza ministra i jego połowy tam nie sięga.

Zini zaczęła wzdychać. Władysław, bojąc się, żeby się nie rozpłakała, pocieszał ją.

— Znajdziemy ładniejszy.

— Ale nigdy takiego, jak ten. Woda, powietrze, cztery ogródki i pięć minut do tramwaju.

Obeszli cały uroczy zakątek, z ulicy na ulicę, z mostu do mostu. Ani jednego domu, wszystko zajęte. Często się zatrzymywali, słuchając muzyki fortepianu, lub śpiewu.

— Czy to nie rozkosz—zawołała Zini—żyć sobie na wsi, gdy za dwadzieścia minut możemy być w środku pięciomilionowego miasta. Cóż, kiedy nas z tego raju wygnała czarownica o farbowanych lokach.

— Piekielnym kamieniem!

Odprowadziła go do rogu ulicy, przy której mieszkał.

— Twoja gospodyni tak strasznie patrzy na mnie, że więcej już do ciebie nie przyjdę. Jutro czekam cię na Oxford street w kawiarni pod Murzynem, pójdziemy razem do teatru. Jutro rano zarobię kilka szylingów, ubieram pannę młodą do ślubu.

Pożegnała go i skoczyła do przejeżdżającego na Essex road tramwaju. Władysław wrócił do siebie.

Był rozrzewniony; i on tęsknił za cichym dom-

kiem, w którym mógłby być absolutnym panem, za wodą i polewaniem kwiatów i za młodziutkiem, ładnem, wesołem dziewczęciem. Skrupuły zamilkły w nim pewno dlatego, że niebezpieczeństwo oddaliło się.

Nazajutrz spóźnił się na schadzkę, nie zastał Zini. Był zły, wyrzucał sobie brak serca. Błąkał się po wielkich i szerokich ulicach Strandu; znużony wrócił do domu.

Drugiego dnia w południe odebrał list.

„Nie przyszedłeś, nie kochasz, nie dbasz o mnie, już ci się sprzykrzyłam. Tyś mnie nigdy nie kochał. A możeś umyślnie zrobił awanturę kobiecie o czarnych lokach, aby mieć wymówkę nienajęcia domu. Możesz mnie oszukiwać, nie umiem po angielsku. Ani razu nie powiedziałeś, że mnie kochasz, ani razu, a ja tobie sto razy, niema proporcyi.

„Nie pojmuję, dlaczego nie byłeś szczery; należało mi odrazu prawdę powiedzieć. Zenobia ostrzegała mnie; myślałam, że z zazdrości. Szczerość jest dla mnie szczytem stosunków ludzkich. Pocóż się oszukiwać?...

„Jadę na Jersey; jeżeli za mną zatęsknisz, przyjeżdżaj, znajdziesz mnie łatwo, gdy zechcesz.

Zagniewana, ale dotąd jeszcze twoja

Zini."

P. S. Długo musisz przepraszać, zanim przebaczę...

Stał chwilę, ogłuszony potokiem słów listu.

— Francuzki są wymowne, energiczne, za energiczne i podejrzliwe. Zapalne, jak proch, gwałtowne i wybuchające. Zini moją towarzyszką! Dziękuję losowi, że mi rozkazał spóźnić się. Zostałem uratowany!

Uradowany chodził po pokoju, zacierał ręce i uśmiechał się. Siadł za stolikiem i rysował. Z po-

czątku żywo i energicznie, wkrótce jednak zapał ostygł, przyszła reakcya. Zaczął tęsknić za śliczną, żywą jak iskra dziewczyną, uczuł raptownie jakąś pustkę, nasłuchiwał, czy nie usłyszy młotka, bijącego o drzwi—wyjrzał na ulicę.

— A jeżeli ten, co za nią od dwóch dni chodzi, skorzystał z mej nieobecności, wszedł do kawiarni, poznali się i dziś razem pojechali na Jersey?

Uwierzył w to przypuszczenie, zerwał się na równe nogi.

— Nie, to byłoby nędzne z jej strony!—zawołał.

Ależ, głupcze, przed chwilą dziękowałeś losowi, że się tak stało. Egoisto! tyś tę dziewczynę odsunął od siebie, uciekłeś od niej rad. I gdy ona pogodziła się z tym, który za nią chodził i powiedział jej, że ją kocha, ty wpadasz w gniew, we wściekłość. Bądź szczery i otwarty, zaczynasz zazdrościć i tęsknić za nią.

Stanął i zamyślił się.

— A jeśli to jest gra z jej strony? To dobrze zagrała — zaśmiał się i zaczął szybko się ubierać. — Jeżeli to gra, to widać, że ma spryt, rozum, energię, a te zawsze w życiu zwyciężają. — Zaśmiał się, rad, że umiał sobie wytłómaczyć i usprawiedliwić dziewczynę.

Na ulicy wskoczył do keba, tak mu było pilno, i kazał się wieźć do mieszkania Zini.

W domu nie było nikogo, prócz młodego chłopca. Ten nic nie umiał powiedzieć. Zastukał do mieszkania dziewczęcia; drzwi były zamknięte, klucz wyjęty. Spojrzał przez dziurkę, nic nie zobaczył, zastukał, nie odpowiedziano mu.

Piechotą wolno poszedł do Zenobii. Przyjęła go serdecznie i ciepło. Wybierała się z Matyldą do Paryża. Zajęta była tym wielkim faktem, o nim tylko mówiła, nim żyła.

— Co mnie Anglicy obchodzą? Gdyby nie ty i twój spryt w dostaniu roboty, byłaby u nas nędza

o dwóch funtach na tydzień, które mój stary z księgarni przynosi. Mam wino, biszkopty. Siadaj, odpocznij sobie.

Zasiedli do śniadania, złożonego z wina i biszkoptów.

— Zini wyjechała na Jersey? — zaczął Władysław.

— Była dziś u mnie w kwestyi nowej sukni.

— A więc nie pojedzie tak prędko?

— To pewno dlatego, że chce być zupełnie swobodną.

— Co to znaczy?

— Nie wiem.

— W domu jej niema!

— Cóżby ona bez zajęcia w domu robiła?

— Wczoraj chciała nająć domek w górnym Islingtonie.

— Lecz ponieważ go nie najęła, dziś szuka czego innego.

— Może pani coś wiesz i tylko drażnisz się ze mną—przerwał zdenerwowany Władysław.

— Zini zanadto sprytna, aby się przedemną z czegolwiek zwierzyła. Gdybyś pan znał paryżanki, wiedziałbyś...

Młodzieniec się zerwał, jakby go kto szpilką ukłół.

— Dokuczasz mi pani tą nieznajomością, a Zini nie lubisz.

— Lubię, lecz pana więcej, i nawet we własnym interesie pragnę go widzieć szczęśliwym i wesołym.

— Zini nie da szczęścia i wesołości?

— Tydzień, a potem zacznie szarpać nerwy, rozszarpie i drapnie.

— Do widzenia!

— Przed obiadem przyjdziemy pożegnać się z panem. Stary mój bardzo pana ceni. Idziesz pan szukać Zini?

— Być może.

— Szybkiego znalezienia.

— Jest coś—mówił do siebie—jakaś tajemnica, czy mego serca, czy dziewczyny, czy Zenobii, lecz jest coś, co zaczyna mnie gniewać i dręczyć.

Zdaleka spostrzegł jasną sukienkę i zgrabną figurkę.

— Zini—szepnął, powodowany więcej przeczuciem, niż mógł sprawdzić wzrokiem; przyśpieszył kroku. Widocznie jasna sukienka spostrzegła go, zawróciła i mijając ludzi, uciekała.

— Jeżeli uciekasz, to cię właśnie złapię—zawołał w duchu i pomknął naprzód.

Lecz w Londynie trudno złapać, jeśli ci, co uciekają, są młodzi, zwinni i przytomni. Fala ludzi zatrzymywała nieustannie Władysława, a widocznie dziewczyna przesuwała się wśród nich szybko i zręcznie. Wbiegła do pasażu, przeleciała go i zniknęła, jak kamień w wodzie. Władysław, jak chart przed lasem, stał i patrzył.

— Dlaczego ucieka dziś przedemną, a wczoraj płakała z miłości na mojem ramieniu?

Dlatego, że dzisiejszy dzień niepodobny do wczorajszego. Odetchnął, lżej mu się zrobiło, przestał pragnąć zobaczenia Zini, zemszczenia się, ukarania jej.

Coś go pchało do domu; skoczył do omnibusu, pędzącego na Islington, i w pół godziny siedział przy biurku i otwartem oknie. Ta sama cisza, ten sam zapach kwiatów, lewkonii i jaśminów, niebo błękitne i zieleń.

Rysował, myśl go pochłonęła; nastrój tęsknoty za czemś, co tkwiło w głębiach jego duszy i serca, a czego na jaw z siłą prawdy nie mógł wydobyć, opanował go.

Po godzinie przypatrywał się dokonanej pracy i radość go brała. Czuł w niej świeżość, oryginal-

ność i tę ukrytą wewnętrzną prawdę, co zdradza talent. Zerwał się.

— Jakże mi dobrze — zawołał. — Zini zabrała wszelkie pokusy i znów jestem sam panem swej woli, swego czasu. Tylko w samotności dojrzewają zrodzone myśli, umysł się krystalizuje, jednostka się wyszlachetnia.

Pocieszony, zaczął chodzić po pokoju i uśmiechać się do swych myśli, które wysyłał na wschód.

— Wewnętrzne ciepło ogrzewa mi serce, a od mózgu płyną jakieś tajemnicze prądy i sprawiają mi nieznaną, lecz czuję, że lepszą, zdaje się, nie z tego świata radość.

Zini, uciekłaś i bądź błogosławiona Czuję, że jestem lepszy, i co za tem idzie—szczęśliwszy.

Cień tęsknoty za Zini przesunął się po jego sercu.

— Czem ona mnie wzięła? Zdradą?... Gdy jestem podniecony twórczością, dziekuję Bogu, że odeszła, lecz gdy wracam na ziemię i staję na niej twardo, czuję, że mi brak jej uśmiechu, jej szczebiotu, jej wesołości, a nawet filuterstwa i zdrady, która wygląda z jej oczu. Biedne nasze życie, czego my chcemy od niego? my wydziedziczeni, a jednak dziedzice najlepszej jego cząstki, twórczości. Nie możemy żyć sami, potrzebujemy podzielania się skarbami swych uczuć, drżeniami serca i wyskokami myśli.

Rozśmiał się głośno.

— Właśnie Francuska do tego rodzaju zwierzeń! Dobrzem się wybrał. Lecz my, marzyciele, pierwszym lepszym spotkanym dziewczynom kładziemy na głowy korony i gotowiśmy wierzyć, że jesteśmy kochankami królewiąt ducha, uczuć, artystycznych przeczuć, gdy tymczasem są to małe zwierzątka, wesołe, łaszące się, lecz przebiegłe. A jednak między zdrową miss z pięciu tysiącami funtów renty a paryżanką Zini, wolę tę ostatnią, i basta...

— A jeżeli w złotowłosej miss mieszka zaklęta

dusza artystki, tęsknoty do lepszego świata, jeżeli oprócz wszystkich delikatnych uczuć, łagodności, dobroci, przywiązania, rozwinie się w jej sercu, jak kwiat nenufaru od promieni słońca, kult dla sztuki? Boże, to przecie raj na ziemi żyć z taką kobietą, jak z dobrym geniuszem.

Zaczął marzyć o złotowłosej Angielce, białej jak śnieg na górach, uśmiechniętej jak wiosna, z głębiami artystycznemi w ciemnych, rozumnych oczach.

— Nauczyłbym ją mego ojczystego języka na poetach naszych. Mówiłaby językiem Słowackiego, miękkim, pieszczotliwym, wykwintnym! Silnym Mickiewicza, artystycznym Asnyka. Ach, jakby ona mówiła, a musiałaby mieć głos jak dzwonek. Gdyby taką znaleźć, gdyby ją znaleźć?!... Czemuż ludzie nie mają przeczuć wyszukiwania pokrewnych sobie dusz?... Coby to była za rozkosz zamknąć oczy i wysłać ducha swego na zwiady! Szukałby, patrzył, słuchał i wśród tysięcy znalazł jedną! Oczy otwieram i idę wprost do niej, do tej wyszukanej...

— Tyś moja! — wołam.

— Twoja — odpowiada mi cicho drżąca, bo i jej duch szukał.

— Dlaczego ludzie nie mają przeczuć jasnowidzenia?

Zamyślił się głęboko.

W poszukiwaniu tej pięknej, którą stroił we wszystkie tęcze swej promienistej fantazyi, wybiegł na miasto i najął konia w pierwszym napotkanym tattersalu.

— Pan umiesz jeździć? — spytał go właściciel.

— Jestem Polakiem — odpowiedział wesoło — a zatem od urodzenia umiem jeździć konno, a do tego jestem kawalerzystą!...

— To drugie więcej mnie przekonywa — odpowiedział z uśmiechem właściciel. — Dam panu młodego konia, którego moje groomy tylko dosiadają.

Siadaj śmiało, bylebyś tylko nie jechał na nim przez główne arterye ruchu. Jedna wada: młody i ochoczy.

Wyprowadzono skarogniadego, chrapy miał odchylone, łebek suchy, oko na wierzchu. Chwytał łakomie powietrze nozdrzami, jak gdyby chciał pytać, czy to pustynia, za którą tęsknił.

Młodzieńcowi cieplo się zrobiło na sercu, przypomniały mu się niedawne czasy, pełne niebezpieczeństw i chwilowych uniesień. Wskoczył lekko, koń dał dęba; pochylił się, poklepał go przyjacielsko po karku i przejechał truchtem, potem kłusa i małego galopa z lewej nogi. Groomy patrzyli na tę jazdę z szacunkiem. Gospodarz się przybliżył.

— Jeśli nie będziesz miał, ser, nic lepszego do roboty, płacę pół korony za godzinę trenowania moich koni. Zwierzęta szanują cię i słuchają.

— Dziękuję panu. Jeżeli będę musiał tym sposobem zarabiać, zgoda. Przyjemna to będzie dla mnie praca.

Wyjechał z maneżu, koń zarżał, arab i jego krew przeważały w nim. Chciał mknąć, rwał się, lecz go cugle zatrzymywały, gniewał się, irytował, młodość nim szarpała. Władysław kierował się ku Hyde-parkowi cichemi ulicami. Wpadł do Regent-parku i, tu mając wolne miejsce i piasek pod nogami, puścił koniowi cugle na wyciągniętego kłusa. Arab głową pokręcił i suche nogi zgrabnie wyrzucał, jak panna w tańcu, a na nozdrzach grał. Po kwadransie wpadł w dziedzinę Hyde-parku, wśród roju amazonek, jeźdźców i dzieci na koniach.

Wielka aleja, wysypana piaskiem, ze strzyżonemi po bokach drzewami, ginęła, a na niej rozrzucone gromadki pięknych koni, dźwigające na swych grzbietach zgrabne i śmiałe amazonki.

Młody człowiek, wpadłszy niespodzianie, został olśniony ilością i pięknością. Wszystkie młode, zdrowe i odważne. Zwolnił biegu, jechał stępa i patrzył smutny. Piękne missy patrzyły na niego, jak na rzecz

Nie był znany w ich towarzystwie, a więc nie należał do nich. A ponieważ one są światem, nie należał do świata, spadł z księżyca, był rzeczą, manekinem siedzącym na koniu. Lecz miał jeden przymiot w ich oczach, dobrze siedział na koniu, zgrabny był przyciągający, jak magnes.

Rozśmiał się smutno. Marzenia prysły.

— Gdybym nawet miał dar jasnowidzenia, odgadywania dusz tych dziewcząt, przebiegających obok mnie, nie szukałbym wśród nich. Tu nie znalazłbym żadnej, to nie mój świat, tu nie ma wybranych dusz przez geniusz świata...

W tej chwili dwudziestokilkoletnie dziewczę, na pięknym gniadym koniu przejechało zwolna obok niego i spojrzało ciepło, serdecznie, jak tylko oczy niebieskie umieją patrzeć, pełne usta, troszkę zgrymaszone, uśmiechać się. Nie był to grymas rozpieszczonego dziecka, lecz raczej zmęczenie, a może znudzenie...

Młodzieniec uczuł promienie oczu na swej twarzy i zarumienił się, nie wiedząc dlaczego. Rumieniec bywa sympatyczny. Twarz dziewczyny również oróżowiła się na jedną chwilkę i zgasła.

— Czyby to ona?... — pomyślał i jakoś ciepło mu się zrobiło koło serca.

Koń pięknej miss wielką stępią minął go, miss przysunęła się do ojca i widocznie coś mu powiedziała, gdyż ojciec odwrócił się i badawczo spojrzał.

Jakby pod wpływem uroków zmieszał się młodzieniec i konia swego zwolna zatrzymał.

Ojciec i córka oddalili się, miss już się nie odwróciła, zato młody człowiek mógł z całą swobodą śledzić jej ruchy i zgrabną figurę. Coraz więcej zwalniał, w nadziei, że gdy dojadą do bramy Welingtona, zawrócą i jeszcze raz będzie mógł ich zobaczyć.

Przypuszczenia sprawdziły się: piękna i okazała, w towarzystwie ojca zwróciła konia, jadąc wprost na młodzieńca. Ruch ten wywołał pewien niepokój

onieśmielający go. Gdy konie ich mijały się, zasłonił oczy i nie widział ciekawego wzroku Angielki i pewnej dumy z odniesionego tryumfu. Ojciec przejechał spokojny, zamyślony, poważny.

— Głupią odgrywam rolę, i to pierwszy raz w życiu — pomyślał Władysław. — Zkąd mi to przyszło? Niezawodnie niedorzeczne marzenia, w imię których tu przyjechałem, teraz się mszczą, ogłupiają mnie i robią śmiesznym wobec pierwszej spotkanej Angielki.

— Dlaczego tysiąc, które mnie minęły i patrzyły na mnie, nie robiły wrażenia. Ta jedna jedyna z całego tysiąca, a przejeżdżały piękniejsze? Jest w naturze jakaś tajemnica. Po promieniach jej oczu płynęły jakieś rozkoszne czary, działające na mnie jednego! Mnie jednego wzięły Dlaczego ja je odczułem? Tajemnica, bo pewno piękna miss ta podobna do tysiąca innych.. Egoistka, jeśli arystokratka, a tem większa egoistka, jeśli córka dorobkiewicza

W tej chwili dziewczę mijało go, wpatrując się ciekawie, lecz i jakoś serdecznie. I jeszcze większe buchnęły płomienie na jego twarz. Spojrzał, kąciki ust jej drżały radosnym uśmiechem Zkąd pochodziła ta radość?... Czy był to objaw tryumfu, czy też bawiły ją uroki, jakie rzucała na nieznajomego?...

Miss puściła się kłusem, niebieski welon od jej czarnego kapelusza gonił ją, jak obłoczek. Siedziała na koniu z wdziękiem. Nie wiedząc sam dlaczego puścił się za nią galopem. Młody koń rozpalił się biegiem i zaczął unosić. Przeleciał jak strzała obok konia Angielki. Amazonki zjeżdżały mu z drogi. Koń pędził jak wiatr, jęczał i nozdrzami chrapał. Zaledwo na samym końcu alei mógł go opanować i zatrzymać.

Zawrócił, o kilkadziesiąt kroków dostrzegł miss galopującą. Zrobiła w tej chwili duży krąg i odjechała.

— Jechała za mną, lecz gdy się przekonała

żem jest uratowany, nie chcąc się zdradzić, zawróciła.

Uczuł wdzięczność dla pięknej, jakby z bronzu odlanej. Przestraszyła się i to mówi o jej dobrem sercu. Zainteresowała się moim losem? Gdyby się jednak dowiedziała, że ten, który ją interesuje swemi rumieńcami, dostarcza jej róż i kwiatów do sukien balowych? Co byłoby wtedy? Gotowa podnieść na mnie pejcz, a przynajmniej pogrozić mi nim?

Chciał zawrócić tą samą drogą, którą przyjechał, lecz zrobiło mu się żal. Zapragnął ją raz jeszcze zobaczyć i pojechał szukać.

— Muszę się przypatrzyć jej dobrze, rysy zapamiętać, abym poznał, gdy ją gdziekolwiek zobaczę.

Jechał zamyślony, lecz pogodny. Naprzeciw niego leciała miss, kierując koniem, jak gdyby chciała zagrodzić mu drogę. Zmieszał się, lecz nie zmieniał kierunku. Minęli się prawie na pół kroku odległości. Uśmiechnęła się czarownie i nieznacznie głową skłoniła, lecz tak wyraźnie, że młody człowiek mimowoli chciał ręką sięgnąć do kapelusza, popełnić *shoking* i skompromitować się.

— Ukłon ten — pomyślał sobie — znaczy: do widzenia. Ach, gdybyś się piękna miss dowiedziała, że ten, któremuś powiedziała: „do widzenia“, jest najzwyklejszym komisantem kwiatów robionych i tym sposobem zarabia na życie! Biedna miss, płakałabyś długo i tupała ze złości i oburzenia.

— Teraz poznałbym ją wszędzie, ma bardzo delikatną skórę, niebieskie żyłki na skroniach, białe zęby, namiętne, szafirowe oczy

— Dosyć na dziś!—zawołał w duchu, rad z tej jednej chwili zwycięstwa. — Dosyć, komisancie kwiatów robionych Moje pewno róże zdobiły biały jej biust i dotykały delikatnego ciałka. Moje róże tkwiły w złotych zwojach jej włosów. Gdyby się domyślić mogła? Niepodobna! Zanadto dobrze siedzę na koniu, aby we mnie mogła odgadnąć *epissiera*, *calicota*,

komisanta. Młody koń uchronił mnie od podejrzeń i moja przytomność, gdy ponosił.. Śledziła moją energię, ciekawa, jak sobie dam radę. Angielki są ciekawe, lubią sięgać do dna rzeczy.

— Mister Władysław — zbudziło go z zadumy.

Wstrząsnął się, spojrzał, przy baryerze stała o kruczych włosach miss, protektorka kwiatowa z magazynu na Piccadylli. Zmieszał się z obawy, aby nieznajoma nie nadjechała i w młodej dziewczynie nie poznała sklepowej. Nie było jednak rady, ukłonił się i na nawoływanie musiał się zbliżyć do baryery i wyciągniętą rękę na powitanie uściskać.

— Dawno cię niewidziałam, ser — szczebiotała Angielka. — Nie wiedziałam, że tak ładnie siedzisz na koniu. Unosił cię, truchlałam! Teraz u nas pusto w magazynie, zaledwo mamy parę zamówień z *country* na wesela. Wprawdzie na prowincyę nie wysadzamy się, lecz jutro przyjdź, zawsze się i z tego pudła coś wybierze. Zapomniałeś już o nas — mówiła głośno.

Wystraszony obejrzał się. Szczęściem dla niego, nie było młodej miss.

— Przyjdziesz — nalegała — tylko wcześnie, najpóźniej o dziewiątej rano.

— Postaram się — odpowiedział, kłaniając się kapeluszem.

— O Barensburystreet zapomniałeś. Już nas widocznie nie potrzebujesz.

— Wyjeżdżałem — tłómaczył się — lecz przyjdę.

Koń się niecierpliwił i rwał z miejsca. Odjechał, uszczęśliwiony, że został uratowany. Z czego? przed kim? nie zdawał sobie sprawy. Pogalopował do bramy Wellingtona, aby raz jeszcze zobaczyć niebieskooką, lecz już jej nie było. Po pożegnaniu się z nim pewno zaraz odjechała, nie chcąc na nikogo więcej patrzeć. Przypuszczenie to napawało go dumą, rad był z siebie?

— Co za szczęście, że nie widziała mnie roz-

mawiającego z dziewczyną sklepową, że nie słyszała jej; umarłbym ze wstydu... Lecz powiedz, głupcze, do czego to prowadzi? Czego ty chcesz od świata, ludzi, Angielek i samego siebie.

— Chcę wrócić na swe dawne stanowisko, jakie miałem parę lat temu, chcę być tem, czem byłem dawniej; chcę wrócić w te koła, w których się wychowałem. — Siedząc na dzielnym, młodym koniu, zaczął w nim grać szlachcic utytułowany, uroszczenia i buta wracały. Wrażenie, jakie sobie wyobrażał, że zrobił na młodej miss, szarpało mu radością serce, młodość w nim grała i jej fantazye.

— A jeżeli się zakocha do szaleństwa — co?— puścił się wyciągniętym kłusem przez Regenstpark ku domowi.

— Jeżeli się zakocha do szaleństwa, powiem jej, że jestem takim samym szlachcicem, jak ona. Może lepszym, bo starszym. Z pewnością lepszym, czuję to przez skórę, a będąc biednym i wykolejonym, uczciwie zarabiałem na kawałek chleba i basta. I co mi zrobi, gdy ja z niej zrobię Polkę, mówiącą językiem Słowackiego.

Zaśmiał się, w połowie z własnej głupoty, w połowie z radości.

— Młodość ma swoje prawa—zawołał—prawa do radości i dzikich marzeń!

Konia oddał w tattersalu i gdy stanął na ziemi, otrzeźwiał.

—Niedorzecznem gadaniem Sary i spojrzeniami młodej Angielki dojdziesz do tego, że z głodu umrzesz. Lecz ponieważ jeszcze czas ratować się, jutro pudło na plecy i dalej na Piccadylli Dosyć zabaw, fanaberyi—do pracy, kochanku! Nie wstydź się uczciwego zarobku, który ci pozwala żyć i oprócz tego pracować nad sobą! Znajdź, głupcze, lepszy!

Z silnem postanowieniem wszedł do swego pokoju, za nim wsunęła się Sara.

— Jutro z pudłami wracam do mego biznesu.

— Jeżeli tylko jest, bardzo to chwalę — biznes przedewszystkiem, biznes to ojciec, on karmi i przyodziewa.

— Popchnięty namowami pani, jeździłem dziś konno do Hydeparku, poznałem śliczną miss dystyngowaną, na prześlicznym koniu, a ponieważ dobrze jeżdżę i jestem z konia, jak każdy szlachcic, śmiały...

— Podobałeś się jej, musiała cię pierwsza zaczepić, lub dała ci uczuć, że jest tobą zajęta. Angielki to potrafią, jeśli chcą.

— Przypuszczam, że tak, a gdy jutro zobaczy mnie z pudłami na plecach, wystającego w przedpokoju magazynu, lub na omnibusie, nie daruje mi!..

— Czego, ser, czego ci ma nie darować?

— Że będąc komisantem kwiatów robionych, śmiałem na nią patrzyć

— Prawda, gdybyś był tylko komisantem, ale jesteś jeszcze szlachcicem, a pewno hrabia, to co innego. Być w Anglii szlachcicem i jeździć konno, jak szlachcic, i mówić, jak szlachcic, i kłaniać się, jak szlachcic, to w oczach miss znaczy wszystko, prócz pieniędzy.

— Jeżeli mnie miss zobaczy z czarnemi pudłami, nie będzie w ten sposób rozumować, jak pani.

— To ją nauczymy, mój panie. Jako narzeczona drugiego kaznodziei nowego kościoła, mam prawo wszędzie iść i nauczać.

Władysław się rozśmiał.

— Przypuszczam, że panią wpuszczą do miss, rola twoja byłaby tam arcy wesoła.

— Poważna, albowiem przyjdę z Boga!

— I powiesz miss, że Bóg jej kazał, aby oddała mi swą rękę i pieniądze...

— Powiem, że Bóg wynagradza w tem lub przyszłem życiu tych, którzy wypełniają Jego wolę. A że natchnienie i pierwszy popęd zawsze pochodzą od Boga, a więc rozumiesz resztę.

— Co za szkoda, że nie wiem nazwiska miss ani jej adresu.

— Nie spytałeś się jej grooma?

— Nie było go, towarzyszył jej ojciec.

— Tem więcej mówi za nią. Pewno niema matki, sierota... Jakże ci, ser, dala poznać, że cię wyróżnia?

— Pożegnała się ze mną pochyleniem głowy, jak gdyby mi mówiła—„do widzenia.“

— Musisz pojechać drugi raz, ale ze mną, będę cię czekać przy bramie Wellingtona, pokażesz mi ją. Gdy będzie wracać z parku, siądę do keba, pogonię za nią i dowiem się, czego mi będzie potrzeba. Bądź dobrej myśli...

Młody człowiek na samą myśl interwencyi Sary u pięknej miss stał wystraszony.

— Metodystka staje przed nieznajomą i rżnie jej kazanie na temat: pierwsze natchnienia i popędy pochodzą od Boga. Dalej będzie wychwalać mój ród, moją skromność i uczciwość, mój rozum. Jeżeli nieznajoma wysłucha cierpliwie tej tyrady i nie wyprosi jej za drzwi?!...

Zamyślił się.

Chcąc ukołysać wrażenia, rzucił się do pracy.

Za chwilę zapomniał o całym świecie, zasłuchany we własne natchnienia. Majaczył mu w mózgu wynalazek, któremu się zupełnie oddał.

Późno się położył, spał smacznie, rano zbudziła go Sara, wchodząc z imbrykiem herbaty.

— Romanse romansami, a biznes biznesem — mówiła, śmiejąc się.

Władysław siadł na łóżku, mrowie go przeszło.

— A właśnie śniło mi się, żem tańczył z nieznajomą i całował jej usta...

— To swoją drogą, byle po ślubie, a biznes swoją, byle dziś. Korzystaj, ser, ze sposobności, dobrze zarobić choćby i parę funtów. Od przybytku głowa nigdy nie boli.

Pijąc herbatę, przemyśliwał, jakim sposobem ucharakteryzować się, aby nie być poznanym. Lecz cóż powie czarnooka miss w magazynie? Wyśmieje mnie. Trzeba się zdać na los.

Z obrzydzeniem i rozpaczą powrzucał róże do czarnych pudeł i poszedł z niemi. W omnibusie musiał usiąć na wierzchu z powodu swych pudeł. W wagonie kolei podziemnej odpoczął spokojny, przez Piccadylli leciał, jak szalony, zasłaniając oczy kapeluszem. Wpadł do bramy magazynu, na dziedzińcu odpoczął, uspokoił się, wrócił do równowagi—i strojąc usta w słodki uśmiech komisanta, wszedł do poczekalni Oprócz dwóch komiwojażerów—nikogo. Zostawił pudła na stole, siadł, zapalił papierosa i dumał.

Komiwojażerzy spoglądali na palącego papierosa z najwyższem zdumieniem W gmachu wielkiego magazynu palenie uważanem było za zbrodnię świętokradztwa.

Zaszeleściała portyera, wsunęła się czarnooka miss, zobaczyła dym, stanęła jak wryta

— Co to znaczy?—spytała.

Komisanci pokazali na Władysława.

— Ser, szukasz własnej zguby? Co za szczęście, żem wpadła, nie przebaczonoby ci nigdy.

Skoczyła do drzwi, otworzyła je i chusteczką zaczęła wypędzać z pokoju dym.

— Pomóżże mi pan, na Boga.

Komisanci pomagali jej kapeluszami, Władysław pochwycił wierzch pudła i nim wymachiwał.

Zaledwo drzwi zamknięto, wszedł poważny, jak mumia, mister Clark, schwycił nozdrzami powietrze widocznie poczuł resztki dymu i spojrzał złowrogo na komisantów. Chcieli palcami wskazać Władysława, lecz nie zrobili tego ze strachu przed czarnooka miss.

Władysław pośpiesznie rozstawiał pudła, zdejmując nakrycia.

Kwaker z oburzenia oniemiał, wybrawszy próbki róż, pokazał na palcach ilość tuzinów i odszedł, zostawiając miss szczegóły instrukcyi.

Zdrętwieli...

— Widziałaś, miss?—odezwał się jeden z nich.

— Widziałam, lecz wynagrodzę wasze milczenie.

Komisanci skłonili się, dziękując w duchu Opatrzności za tego nędznego papierosa, wypalonego w ich obecności przez młodego Francuza, którym się zajmuje miss.

— A teraz na mnie kolej —mówiła do Władysława czarnooka, przeszywając go wzrokiem — wyglądasz, ser, na koniu, jak młodszy syn lorda Myślałam, żeś wygrał na loteryi, lub z kraju przyszły ci pieniądze, że jesteś wielkim panem, że się będziesz starał o jedną z twych towarzyszek na koniu. Gdym się zaczepiła, zdawało mi się, że radbyś od nas uciec.

— Ależ bałem się o konia, niecierpliwił się.

— Dopiero gdy powiedziałeś, że dziś przyjdziesz, odetchnęłam i pomyślałam sobie: Przecież on się nas nie wstydzi.

— Dziękuję pani.

— A teraz słuchaj w kwestyi biznesu. Nie żałuj kwiatów, choćby starych, i liści. Róż i liści musi być dużo, bardzo dużo Rzeźniczka wydaje córkę za piekarza—domyślasz się.

— Domyślam się -- róże, jak krwawe wielkie plamy, będą ściekać po sukni pani rzeźniczki.

— Właśnie, odgadłeś moją myśl. Nie lubię rzeźników i tych wszystkich kramarzy...

Władysław spojrzał się na nią.

— Nie lubię — powtórzyła z mocą — i nie rób pan tak zdziwionej miny. Gdybym mogła dziś uciec od tego kramarstwa, oddałabym z rozkoszą połowę życia. Dusi mnie i dręczy, zacząwszy od tej poważnej, milczącej mumii, która kwiaty sprzedaje, a skoń-

czywszy na moich koleżankach. Wszystko to razem, mówię ci, ser, kamlot, kamlot, kamlot!...

— Zatem?—zapytał.

— Pragnę spokoju, ciszy, odpoczynku i szlachetnej pracy, pragnę, czego każda uczciwa kobieta pragnąć powinna, rodziny. A zatem — powtórzyła — rozumiesz teraz. My, Angielki, niech będzie co chce, jakiemi kolejami losy nasze idą, w głębi naszych serc pragniemy jednego — pójścia za mąż, rodziny, dzieci—dużo dzieci...

— I w tem jest wasza wielka siła i potęga waszego narodu. A że umiecie postawić na swojem, dlatego w Anglii rodzina kwitnie, dzieci huk, ludność wzrasta, naród potężnieje. Kobiety są siłą narodu i jego twórczością.

Pochwycił za rękę miss i poniósł do ust.

— Chcę znaleźć posłańca, któryby mi zaniósł pudła do domu—rzekł Władysław do komisantów.

— Za ileż?

— Chłopcu dałbym sikspensa, lecz panu ofiaruję szylinga.

— Kładź szylinga, napisz adres, pudła za trzy godziny będziesz miał w domu.

Oswobodzony, wybiegł na ulicę i nie zajmując się kwestyą, jak ma całować rękę czarnookiej miss, pobiegł żywo w górę Piccadylli, do bramy Welingtona i przez nią do Hydeparku.

Droga, przeznaczona dla konnych, była pusta. Oparł się o żelazną baryerę i patrzył na bitą drogę, po której przejeżdżały małe powoziki, ciągnione przez pony, a powożone przez miss, często przez dziewczynki.

— Było mu przyjemnie, lecz smutno, mimo, że słońce świeciło, zapach kwiatów upajał, a ciszę zaledwo przerywał delikatny odgłos małych kopyt.

Patrzył przed siebie uważnie, jakby na kogoś oczekiwał, kogoś się spodziewał, szukał—chociaż myśli jego błądziły daleko po za Londynem i Anglią.

Przez tarczę jego wzroku przesunął się powozik. Pony szły stępią, złotowłosa powoziła. Młody człowiek mimowoli zadrżał, wytężył wzrok, serce mu silnie biło. Jakąś utajoną siłą magnetyczną ściągnął wzrok dziewczęcia na siebie. Obejrzała się, ręka jej zadrżała, konie skoczyły, popędziła je — odjechała. Towarzyszka, młodziutkie dziewczę, obejrzała się.

— Dobre miałem przeczucie—pomyślał—byłem pewny, że ją zobaczę. Musi to być jednak bogaczka, wielka pani. Wszystko mi jedno, kto ona jest, absolutnie wszystko jedno. Przyszedłem tu, ciągniony jakąś siłą ciekawości. Czuję, że mnie zauważyła, że widok mój wzrusza ją, że zabawa ta w nieznajomego podoba się jej, a mnie zajmuje.

Mam prawo do flirtów, choćby na odległość dziesięciu kroków. Odległość ta daje mi wszelką swobodę i możność flirtowania z księżniczkami, które fantazya moja ubiera w najbogatsze blaski, w doskonałości, pełne tajemnic i uroków. Niezadługo, gdy ją sobie wymarzę, ustroję we wszelkie barwy świateł, będę się bał zbliżyć, choćbym mógł, wymarzona nie dorówna rzeczywistej. Lecz o to niema obawy. Wymarzona zostanie uwięzioną w mej wyobraźni; rzeczywista, nieznana odejdzie, zniknie, widok jej nawet rychło zatrze się w mej pamięci.

— Taka i tyle korzyści dla mnie, a dla niej? Dla niej przyjemna rozrywka i zabicie czasu.

Ten sam powozik, pleciony na wzór koszyka, zbliżał się do niego. Mimowoli i chęci był wzruszony i zaniepokojony. Pony szły stępia, lecz tak blizko, jak gdyby na niego miały wjechać; nie cofał się. Zbliżyły się na odległość jednego kroku; nie spuszczał z oczu powożącej. Była piękna, miała uroki w niebieskich oczach, w proporcyi rysów, w silnie wykrojonych ustach.

Miss mówiła wyraźnie i wolno do młodego dziewczęcia:

— A więc dziś w operze. Nie zapomnisz? szó-

sty numer, loża parterowa. Ach, jak pragnę dziś jeszcze cię zobaczyć...

Mówiąc to, zwróciła się do Władysława, prażąc go siłą promieni niebieskich oczu. Zawróciła ku bramie i znikła za portykiem.

— Jest ładna; przy delikatności, która oznacza rasowość, bije z rysów jakaś nieznana siła i stanowczość. Głos ma przyjemny i wdzięczny, lecz ton jego rozkazujący. A że cały ten manewr był zrobiony dla mnie—chodźmy do teatru po bilet naprzeciw szóstego numeru loży parterowej. Dlaczego dziś pragnie mnie jeszcze zobaczyć — to tajemnica, która ciągnie ku niej.

Poszedł wolno ku operze.

— Czy mógłbyś ją pokochać i zostać mężem tej cudzoziemki, z którą rozdzielają cię światy pojęć, bogactwa, zwyczajów i upodobań? — nagle zadał sobie pytanie:

— Ależ to zabawne, chwilową rozrywkę milionerki traktować seryo! Zaczyna ci flirt ten pochlebiać, upajasz się nim i lecisz do teatru po bilet, aby patrzyć na nią godzinę i — i cóż? Wrócisz spać, po śnie wytrzeźwisz się, wzruszysz ramionami i pójdziesz do pracy...

Broniąc się w ten sposób, dotarł do teatru Coventgarden, przypatrzył się planowi budynku, wybierając dla siebie fotel w najdoskonalszem miejscu, płacąc za niego dwa funty, czyli pięćdziesiąt franków.

— Loże parterowe wszystkie abonowane?—zapytał.

— Wszystkie.

— Numer szósty kto?

— Lord Devonschire.

— Będzie dziś w teatrze?

— Prawdopodobnie. Starsza jego córka, jadąc do parku, zamówiła lożę.

— Nie brat?

— Lord Devonschire niema syna, dwie tylko córki.

— Niezawodnie znasz, ser, imię starszej córki lorda?

— Ada Devonschire; oto jej bilet, młodszej — Dora.

— Dziękuję—odrzekł Władysław, bilet schował i odszedł.

— Córka lorda Devonschire?! Stary lord połowę dochodu z majoratu chowa na posag dla córek i otnie, ile będzie mógł, przyszłego swego dziedzica, dodawszy do tego cały posag matki, a ty głupcze, ha, ha! — zaśmiał się — wydałeś na jeden bilet pięćdziesiąt franków, sumę, wystarczającą ci na cały tydzień twego utrzymania. Konkury drogo kosztują.

Wskoczył na przejeżdżający omnibus, umyślnie siadł na wierzch, chciał, żeby go widziała lordówna, gdyż rad był sprawdzić, jakieby to na niej zrobiło wrażenie. Lecz lordówny o tej porze nie jeżdżą po ulicach Londynu, a szczególniej po dzielnicach handlu i przemysłu.

Wpadł do Zenobii.

— Co za szczęście, żeś pani nie pojechała do Paryża! mam właśnie zamówienia na kilkanaście funtów.

— Będzie na drogę. Jedzie i mój stary, bo dał słowo, że tylko jeden dzień zabawi i pojedzie do Fontainebleau, tam może przyjmować swych przyjaciół.

Władysław podał notatkę.

— A gdzież róże i liście?

— Liście kupimy, róże wybierzesz pani u mnie w mieszkaniu. Cóż Zini?

— Wyobraź pan sobie, była u mnie wczoraj rano w nowej sukni. Niespokojna, zdenerwowana, zabawiła chwilę, pożegnała się ze mną serdecznie i wybiegła szybko. Pomyślałam sobie: niezawodnie mężczyzna czeka na nią i za chwilę wybiegłam na

ulicę. Patrzę, a moja Zini pod ramię, jestem pewna, z młodym człowiekiem, chociaż widziałam tylko jego plecy. Szli szybko zajęci sobą, jakby zakochani. A teraz, co pan powie o paryżankach i miłości Zini dla ciebie?... Poświęciła ci dwa dni nie dałeś się wziąć, żałowała czasu Dla jej karyery potrzebne były: nowy kapelusz, świeża sukienka, rękawiczki i parasolka—resztę sama sobie znalazła.

— A jednak zdawało się, że to uczciwa i dobra dziewczyna.

— Czyż ona jest zła? tylko rozumie życie inaczej, niż my — i to wszystko. Ona waży szczęście po paryzku, na ilość kochanków, a my po naszemu, na wierność naszą. Ostrzegałam pana, lecz z początku nie wierzyłeś, myślałeś, że ciebie nie jest w stanie zdradzić żadna kobieta. Zarozumiałość was oślepia, a ładna buzia, zgrabna figurka i młodość — bierze. I gdyby Zini nie była paryżanką, to jest tak głupią, a miała więcej wytrwałości i sprytu, wzięłaby cię. Możebyś się z nią nie ożenił, aleby ci zaciężyła w życiu dyabelnie.

— Prawda, mogłaby wziąć, brała się bardzo zręcznie i bardzo serdecznie, a przytem dosyś energicznie.

— Paryżanka, one się rodzą takie! A najlepiej wtedy potrafią brać, gdy mają na myśli zdradę, gdy już zdradzają.

— Pocóż wtedy pracują? Mogą przecie swobodnie odejść.

— Nie rozumiesz pan rozkoszy zdrady w chwili, gdy się udaje zakochaną; za mało pan znasz Francuzki i za powierzchownie. Gdyby Zini nie mogła cię zdradzić, być może, żeby się nie zajęła nieznajomym, z którym prawdopodobnie dziś opuściła Londyn. Zobaczyła cię zdaleka, uciekała przed tobą, kryła się w domu—co za radość dla paryżanki. Za tydzień z rozkoszą zdradzać będzie nieznajomego

nam, dla ciebie. Wtedy wygrasz pan dobry los na stawce przyjemności życia.

Zaśmiała się, kładąc kapelusz na głowę.

— Zini i Ada, paryzka robotnica i córka lorda Devonschire — nieprawdopobne, a jednak prawdziwe. Dwa dni temu mógłbym być przykuty do roboty, a za dwa dni, przy szczęśliwym trafie, mogę rozmawiać z lordówną i powiedzieć jej, że ją kocham. Któż mi zabroni? Żadna kobieta nie obrazi się o wyznanie miłości.

— Chodźmy—rzekła Zenobia, zapinając rękawiczki—lecz musisz mi pan podać rękę, przyzwyczajona jestem chodzić z moim starym pod rękę. A zresztą, szedłeś z Zini i nie wstydziłeś się.

Władysław się roześmiał.

— Wstydzić? Pani mi będziesz zaszczyt robić. Wyglądasz, jak lady, ludzie nam z drogi będą schodzić, robić miejsca.

Kebem zajechali przed dom Sary, przyjęci grzecznie, lecz zimno, gdyż Sara domyślała się w Francuzce starszej dyablicy.

W kilka minut później Władysław, niosąc pudła pełne róż, odprowadził dyablicę do keba i pożegnał.

Gdy wrócił, zastał Sarę w swym pokoju z biletem wizytowym w ręku Ady Devonschire.

— Widzisz, ser — mówiła wesoło — obeszło się bez mego współudziału, bez mego szpiegostwa, sam dałeś sobie radę, albo pewno sama miss Ada pomogła ci. Nasze młode ladies umieją sobie radzić, gdy chcą. Może ci sama rzuciła swoją kartę. W naszej Anglii kobieta rządzi, kobieta panuje, kobieta jest panią. My o tem wiemy. Przecież to ja pierwsza ośmieliłam mistera Cooka do wyznania mi swej miłości. I twoja duma nie pozwoliłaby, abyś się oświadczył córce lorda Devonschire.

— I nigdy nie pozwoli—zawołał Władysław — nigdy.

— Zobaczymy — szepnęła Sara z siłą i energią.—A teraz muszę ci powinszować szczęścia w biznesie, sezon martwy zacznie się za dwa tygodnie, niema już wielkich bali, a ty jeszcze masz dostawy.

— I trzeba się biznesu trzymać, a nie zawracać sobie głowy lordównami i głupieć. Co my, biedacy, możemy poradzić przeciw przeznaczeniu?

— Moja pani, każdy jest panem swej przyszłości.

— Kłamstwo—krzyknęła Sara—każdy jest niewolnikiem swego przeznaczenia. Jest to prawda, postanowiona przez nasz kościół i broniona specyalnie przez jego kaznodzieję, pana Cooka i mnie!

Oburzona na człowieka, który nie wierzył w przeznaczenie, cofnęła się ku drzwiom.

— A kto ciebie tu przygnał z pólnocy do Anglii, do Londynu, jeśli nie Bóg, który kieruje twojemi krokami i sprowadza na ścieżki twego przeznaczenia, ty niedowiarku, farmazonie! A jeśli On zechce, to i tak cię zbawi mimo twej woli.

Tryumfująca wyszła.

Rzucił się na sofkę i rozmarzył.

— Kto mnie tu przygnał z pólnocy, kto mi kazał najmować półdzikiego konia i nim zwrócić na siebie uwagę jednej z najbogatszych dziedziczek starej Anglii? Kto sprowadził do parku czarnooką miss i kazał jej zaczepić mnie? Kto mi kazał iść dziś do Hyde-parku i tam czekać na nią? Kto jej kazał przyjechać? Kto kazał podać mi jej kartę? kto? Są jakieś siły u nas i po za nami tajemnicze, nie znamy ich, lecz ulegamy im. A gdy się chcemy im oprzeć, walczą z nami i często łamią nas. Co mnie tu przygnało? Los, fantazya moja, czy jakaś nieznana siła, nazwana przez Sarę przeznaczeniem?

Zerwał się i zawołał:

— Kochane przeznaczenie, spróbujmy się. Cokolwiek się stanie, zawsze to przecie będzie mojem przeznaczeniem. Niech będzie, co chce, jeżeli prze_

znaczenie moje ma być pospolite i banalne, nie dam mu się.

Położył dłoń na papierze, na którym rysował, i rzekł z entuzyazmem:

— To jest moje przeznaczenie, a rozkoszą życia—tworzyć. Niechaj cała ludzkość mnie naśladuje, a stworzy miliony innych światów, które w całości dadzą świat inny, piękniejszy, aniżeli ten, który jest.

Schwycił ołówek, zapomniał w tej chwili o Londynie, wszystkich Angielkach i własnem przeznaczeniu. Cieszył się, że może być w pracy swego mózgu—w niej czuł się szczęśliwym.

Przed wieczorem ołówek wypadł mu z ręki, natchnienie zastygło, zdrętwiało, a myśl jego zaczęła snuć niepodobieństwa co do przyszłości w stosunku pięknej lordówny. Te niepodobieństwa brały go, pochłaniały; nie mógł się im oprzeć — ubrał się i wyszedł.

— Frak i krawat biały? Czy nie do pałacu Devonschire — mówiła Sara, patrząc mu badawczo w oczy.

— Nie, piękna narzeczono kościoła przeznaczenia, do teatru.

— A... a... kazała ci przyjść i lecisz zobaczyć ją w balowej sukni, z odkrytemi ramionami i marmurowym biustem. Ona tego chciała.

— Co pani nie wygadujesz?

— Przysięgnij, jako nie wiesz, że będzie w teatrze, że ją zobaczysz i daj na to szlacheckie słowo.

— Może wiem, lecz ona o tem nie wie, na to mogę przysiądz.

— Ale się domyśla i dlatego będzie ubrana, jak nigdy. Zobaczysz białe ramiona i alabastrowy biust taki, jaki tylko nasze ladies, jedyne na całym świecie, mają. Nie tłómacz się, a miej rozum!

— Po co? jeżeli przeznaczenie ma go za nas?...

— Ach, prawda, los twój będzie go miał za ciebie.

— Los mój będzie go miał za mnie—powtarzał Władysław, idąc przez ulicę.—Gdzież ten los, co za jeden, czego chce, gdzie mnie prowadzi? W każdym razie jest to wielka zagadka życia i nie rozwiążę jej na drodze do teatru.

Skoczył do keba, w garderobie oddał paltot, włosy i wąsy poprawił przed lustrem i wszedł do widowni, napełnionej możnymi i bogatymi Londynu. Orkiestra zaczęła uwerturę, przyśpieszył kroku, siadł na swem miejscu i pchany nieprzepartą siłą, rzucił okiem na parterową lożę. W szóstej zobaczył ją z siostrą. W głębi siedziała dama do towarzystwa i podparty, zamyślony, ten sam mężczyzna, który towarzyszył jej konno w Hyde-parku, nie ulega wątpliwości — ojciec. Spojrzenia ich skrzyżowały się, uśmiech tryumfu przemknął nieznacznie przez usta pięknej, dostrzegł go i zrozumiał. Miss pochyliła się do siostry, szepcząc jej; ciemnowłose dziewczę, o wielkich czarnych oczach, zwróciło lornetkę na Władysława, za chwilę odłożyła ją i odpowiedziała, uśmiechając się czarownie. Uśmiech ten wydawał się młodemu człowiekowi szczerym, ciepłym i serdecznym.

— Za nim — pomyślał sobie — poszedłbym w piekło.

Uczucie to zbudziło się w nim raptownie, lecz za chwilę zamarło, gdy przeniósł wzrok na jej towarzyszkę, jaśniejącą w całym blasku. Elektryczne światła migotaly po jej ramionach spadzistych, przedziwnie zaokrąglonych i po dziewiczem łonie, od którego, tak mu się zdawało, łuna biła. Spokojna, pewna siebie, zadziwiająco dumna królewskością, patrzyła łagodnie na swą ofiarę, pozwalając jej żyć uwielbieniem dla niej. Tak myślał, widząc tę postać pełną pogody i majestatu. Długa jej szyja, rasowa angielska, dźwigała głowę starego rodu, piękną i ukształtowaną modelowo.

Na to wszystko, gdy ją widział na koniu, nie

zwracał uwagi, nie widział, nie mógł widzieć. Kobiety rasowe i stare rody, dopiero w salonie, w którym pokoleniami żyją, przedstawiają się tem, czem są. Zresztą z początku myślał, że jest bogatą mieszczanką i patrzył, jak na mieszczankę. Świadomość dopiero każe zwracać uwagę na szczegóły, które nam ona nasuwa. Lordówna Devonschire w tej chwili odmiennie się przedstawiała, bijąc tamtą, na koniu i w powozie.

Pewno wiedziała o tem i dlatego kazała mu przyjść do teatru.

Światło przyćmiono, podniesiono kurtynę, heroldzi zatrąbili, król rozpoczął roki w „Lohengrinie."

— To moja Elza—szepnął Władysław—nie jest zdolna słuchać i zachwycać się śpiewem słowika, póki się nie dowie, zkąd on się wziął i kto on. One wszystkie Elzy, legenda ma wielką prawdę życiową i dziś w całej pełni się objawia Lohengrini odepchnięci zostaną, jeśli się Elzy nie dowiedzą, kto oni są, czem są i ile mają. Elzy, wszystkie dokoła Elzy!

Podniósł głowę i mimowoli spojrzał na lożę szóstą—lornetowała go w tej chwili, powoli lornetkę odłożyła i zdawało mu się, że jest zadowolona, że jej kąciki ust drgają, że się uśmiecha.

— Elzo, ty się uśmiechasz z Lohengrina i masz do tego prawo. Pocom ja tu, biedak, przyszedł i czego chcę od tych ludzi, panów, połowy całego świata?

Smutno mu się zrobiło, chciał wstać i wyjść, muzyka go denerwowała i, zamiast upajać, dręczyła...

Bawi się biedakiem, a ja pozwalam na to, abym był dla nie rozrywką, okrywał się śmiesznością. Zanurzył się w marzeniu i odrętwiał psychicznie—muzyka przechodziła nad nim, jak fale morza.

Kurtyna spadła, rozjaśniło się, w widowni zrobił się ruch, szmer rozmów i ogólne odetchnienia.

Mężczyźni z krzeseł wychodzili, wyszedł i Władysław, nie śmiejąc spojrzeć na lożę.

— Dosyć śmieszności — powtarzał — nie wrócę już wiecej.

We wspaniałym foyer zmęczony usiadł na fotelu, zmrużył oczy i marzył o rodzinnym kraju i rozpoczętej pracy, jedno z drugiem łączył i splatał w całość.

Tuż obok niego zaszeleściała suknia jedwabna, otworzył oczy, przed nim stała „ona“ z siostrą i czterdziestoletnim mężczyzną. Chciał się zerwać i uciec, lecz nie miał odwagi i sił. Siedział, milczał i słuchał.

Mówiono o śpiewaku, nowym tenorze w roli Lohengrina. Ada zbliżyła się do lustra, odpięła z włosów białą, świeżą różę i rzuciła ją na przyległy fotel.

— Cięży mi dziś we włosach—powiedziała.

Mężczyzna chciał ją wziąć.

— Niech zostanie—zawołała—tam ma wielkie przeznaczenie.

— Tak?...—zapytał zdziwiony.

— Jest ona w tej chwili zwycięztwem i nadzieją—dodała zalotnie i odeszła pośpiesznie z siostrą, zabierając z sobą towarzysza.

Władysław patrzył oniemiały na przesuwającą się majestatycznie postać dziewczyny i na różę, jako widomy znak łaski, zwycięztwa i nadziei. Wziął ją, podniósł do ust, zdawało mu się, że pachnie zapachem jej włosów. Pocałował, rozciął scyzorykiem wykład fraka i różę włożył.

— Czy to jest wyzwanie, czy wyznanie? Zawsze oryginalne, śmiałe. Piękna jest, nietylko w swym majestacie, lecz i w tej odwadze wielkiej pani. Jest pewna, że to, co ona robi, musi być dobre, dlatego jedynie, że to ona robi. Zaczyna panować nad mojem jestestwem, obejmując je w jakieś tajemnicze

sieci. Czuję, że jeszcze mogę się z nich wyrwać, lecz zaczynam być sennym, leniwym i nie chcę...

Zadzwoniono na rozpoczęcie drugiego aktu. Spojrzał na różę tak oryginalnie wpiętą i zawstydził się, chciał ją wyjąć.

— Jeżeli ona miała odwagę ją rzucić, ja mogę ją w ten sposób nosić. I czyż mi nie wolno?

Poszedł, zdawało mu się, że patrzą na niego i różę. Ada zobaczyła, uśmiechnęła się zadowolona i nieznacznie, jakby na podziękowanie, głowę pochyliła.

W drugim antrakcie wyszedł pośpiesznie na foyer, oparł się o marmurową konsolę lustra, w którem przeglądała się, wyjmując z włosów różę — i czekał.

Ukazała się, prowadząc pod ramię ojca. Gdy go mijała, powiedziała:

— Lubię tych, co mają odwagę robić to, co chcą i to, co drugim jest przyjemne.

Zrozumiał powiedzenie — nie popatrzyła na niego, mógł więc śmiało objąć jej całą postać i spojrzeć na biust marmurowy i o przedziwnych liniach szyję i ramiona.

— Czy ja śnię, co to jest? co to znaczy? Nadto poważna, nadto wyniosła, a zdaje się za szlachetna, żeby żartowała, lub wszystko to robiła dla marnego flirtu, lub niesmacznej zabawy. Córka lorda Devonschire—to nieprawdopodobne.

Lordówna z ojcem i siostrą znów przeszła obok niego tak blizko, że suknia jej dotknęła się jego ręki. Patrzyła się na niego serdecznie, pogodnie, rada ze zwycięztwa.

Młodzieniec pochylił głowę, nie mógł znieść jej wzroku.

— Mówisz dziś samemi aforyzmami — rzekł lord.

— Bo dziś...

Nie dosłyszał więcej

— Aforyzmy dla mnie — pomyślał. — Jest coś w niej, zaczynam wierzyć w przeznaczenie. Czy ja ją kocham? Czy ją będę mógł kochać? Czy to ta, mówiąca do mnie językiem Słowackiego?

Utajony głos w głębi serca nic mu nie mówił. Smutny i zamyślony wrócił na trzeci akt Lohengrina; przywitano go uśmichem. Patrzył na nią, podziwiając jej królewskość.

Po trzecim akcie nie opuściła loży, został i on Odwiedzali ją młodzi ludzie z pewną etykietą nieśmiałości. Przyjmowała ich z odcieniem wyniosłej dumy.

Tymczasem Władysław patrzył na jej siostrę i mimowoli lgnął do dziewczęcia młodziutkiego, o ciemnych, zdziwionych oczach i usteczkach, w których kącikach mieszkały marzenie i dobroć.

— Przeczuwam i wierzę, że dziewczę to mogłoby mówić do mnie językiem Słowackiego. Ma lat szesnaście i jest młodszą siostrą.

W tej chwili spojrzała na niego starsza, coś mu w sercu zagrało, zrozumiał, że jest niewolnikiem starszej.

Po skończonem przedstawieniu wyszedł na ulicę. Turkot odjeżdżających karet umilkł, zapanowała cisza, przerywana odgłosem kroków policyantów. Na ciemnem niebie świeciły wyiskrzone gwiazdy, na ulicach prostych i długich niekończące się szeregi latarni migotały wesoło. Zdjął kapelusz, szedł wolno, zadając sobie co chwila pytanie: co dalej?

Wypadki w przeciągu dwóch dni tak niespodziewanie zwaliły się na niego, że nie umiał zdać z nich sobie sprawy, otrząść się z pod wrażenia, myśleć logicznie. Ambicya własna, dobre trzymanie o sobie i uczucie, zaciemniają horyzont, nie pozwalając na trzeźwy sąd.

Na Strandzie spotkał wracającego keba, siadł, pojechał do domu, rozebrał się pociemku, wsunął pod kołdrę i, marząc o obu siostrach, zasnął.

We śnie młodsza zwyciężyła starszą, szeptał przez sen: to ty, to ty, wybrana, jedyna.

Rano weszła do pokoju Sara, spojrzała na frak i różę, zatkniętą w umyślnie rozciętym wykładzie. Wzruszyła głową, różę wyjęła i włożyła ją do kieliszka napełnionego wodą.

— To od niej—szeptała—inaczej nie ciąłby fraka. Poznali się i zwyciężył. A teraz na ciebie kolej: wystąp, kończ rozpoczęte dzieło i buduj kościół.

Postawiła herbatę na stoliku przy łóżku, kieliszek z różą obok filiżanki.

— Gdy się zbudzisz, spojrzysz, ona stanie ci przed oczyma—szepnęła i wyszła na palcach.

Oczy otworzył, zobaczył różę i obie jednocześnie stanęły przed nim. Obie—starsza napawała go dumą i obiecywała rozkosz, młodsza ciągnęła go swemi czarami poezyi, płynącej z jej ciemnych oczu i kącików ust.

— To dziecko—zawołał—nosiłbym je, tulił, całował, klękał i modlił się do niej. To dziecko, dajcie mi je, a oddam wam za nie wszystko, siebie samego, życie i przyszłość.

Zerwał się, otworzył okno, fale ciepłego powietrza płynęły. Okrył się, pochwycił pióro i pisał.

„Ciemne twoje oczy patrzą zdziwione głębiami serca.“

Rzucił pióro.

— Napiszę po angielsku białym wierszem i wydrukuję!

Rad z siebie, pił herbatę i marzył głośno.

— Cały ten romans skończy się literacko, przybędzie parę strof poezyi i dużo obserwacyi. Będę marzył o przepysznych ramionach i marmurowym biuście Ady, a tęsknił za uśmiechem, kryjącym się w kącikach ust młodszej i za jej czarem tęsknoty.

Uspokoił się, wrócił do równowagi umysłowej i nerwowej.

— Najlepiej — powtarzał—na wiele rzeczy patrzeć się ze stanowiska literackiego, ze stanowiska sztuki. Naprzykład, gdy będę oceniał wczorajszą zabawę pięknej Ady, powiem, że grała dobrze, w niektórych chwilach artystycznie.

Rola widza i obserwatora w grze, w której sam był aktorem, bardzo mi się podobała.

Pracował długo, rysując, mimo, że zdziwione czarne oczy dzieweczki, patrzące głębiami serca, pruły mu nerwy, a białe ramiona i królewska postać paliły krew. O czwartej poszedł do Zenobii, odebrał umontowane kwiaty i odwiózł je. Czarnooka miss sklepowa przyjęła go lodowato. Gdy ją chciał pocałować w rękę, nie pozwoliła, oświadczając, że jest za młoda na całowanie ręki i również za młoda, abym mogła przedstawić Anglię.

Przyszedł mister Clark, odebrał kwiaty, napisał czek na dziesięć funtów, podał go młodzieńcowi i, nie rzekłszy słowa, zniknął, jak duch kwakra, za ciemną portyerą.

Nazajutrz o godzinie drugiej po południu stanęła w drzwiach pokoju Władysława mistres Sara, czarno ubraną, w czarnej mantyli i czarnym, wysokim kapeluszu z piórami; strój uroczysto kościelny. Włosy gładko zaczesane na uszy i mantyla czyniły ją postacią z epoki czterdziestego piątego roku naszego wieku.

— Czuwam, ser—rzekła—myślę o Bogu i kościele, a działam dla ciebie.

— Jakto dla mnie?—zawołał zawstydzony.

— Dla ciebie—powtórzyła.

Weszła do pokoju, siadła na stołku i dalej spokojnie mówiła:

— Posłałam jej bilet mój z określeniem mego stanowiska i urzędu w kościele.

Pokazała mu bilet narzeczona drugiego kaznodziei.

— Komu?— pytał, blady ze strachu.

— Starszej córce lorda Devonschire.

— Jak pani śmiałaś?

Sara wstała.

— Mój panie, stanowisko moje w kościele otwiera mi wszystkie drzwi w Anglii.

— Kto panią upoważnił?—wrzasnął.

Sara zamknęła okno, aby nie dawać zgorszenia na ulicy i najspokojniej usiadła.

— Czekaj końca — rzekła poważnie — posłałam jej bilet, jako narzeczona kaznodziei. Odesłano mi bilet i dwie korony.

Władysław odetchnął.

— Odesłałam korony z biletem i oświadczyłam, że nie wyjdę, aż po rozmowie z młodą lady. Wprowadzają mnie do buduaru; miss Ada Devonschire pisała list i odwrócona odezwała się: Mów pani, tylko prędko. Wtedy powiedziałam poważnie: przychodzę, aby mówić o nim.

Miss Devonschire wstała.

— O kim?

— O tym młodym Polaku, co miał różę w rozciętym fraku w teatrze.

— Przysłał panią?—przerwała.

— Broń Boże, nic nie wie, przychodzę z popędu własnego serca — i zaczęłam... Po chwili miss siadła naprzeciwko mnie, wzięła olówek i coś nim smarowała, a ja mówiłam z zapałem. Gdym doszła do francuskiej dyablicy, ktora z płaczem żebrała, żebyś ją kochał (słuchałam wtedy pode drzwiami), zbladła, ołówek silnie położyła na stole. Widocznie jest zazdrosna.

— Dalej—wołał Władysław.

— Gdym skończyła, a mówiłam dobre pół godziny, włożyła do koperty papier i oddała mi, mówiąc, że to dla ciebie, ser. Skłoniła mi się grzecznie i wstała, co oznaczało, że audencya skończona.

— List, list — szeptał gorączkowo Władysław wyciągając rękę.

Sara otworzyła torebkę, wyjmując dużych rozmiarów kopertę z pieczątką herbową, podała ją i dyskretnie wyszła.

Rozdarł nerwowo, spojrzał i roześmiał się. Na ćwiartce papieru narysowana była karykatura Sary z podniesioną w górę ręką, otwartemi ustami i spadającą mantylą. Podpis: pańska spikerka — na pamiątkę posyła „Ada.”

— A więc nie obraziła się, nie kazała wyprowadzić Sary i jeszcze dała mi dowód swego dobrego humoru i swej łaski.

— Co robić z tym fantem?

Stała przed nim piękna, rasowa, ze złotawemi włosami, patrząca pogodnie wzrokiem królowej, czyniąc łaskę, jeśli rozkazywać raczy. Niebieskie oczy łagodziły siłę i pewność, czyniąc ją łagodną królową, nie mniej przeto silną. Oczy zamykał, usiłując przywołać siłą duszy młodszą siostrę, lecz napróżno.

Starsza była silniejsza, stała przed nim w ciemnościach i świeciła białością ramion i blaskiem niebieskich oczu, które mówiły mu: „chodź, patrz i kochaj...“

Chcąc się uwolnić od tego prześladowania, pochwycił pióro i pisał:

„Przysłaniem portretu mistres Sary złagodziłaś pani grozę i komizm mej pozycyi. Mistres Sara, jak się pani domyślasz, jako narzeczona drugiego kaznodziei bez kościoła, stara się go wydobywać wszystkiemi możliwemi drogami. Oto wyjaśnienie wizyty jej, która przyniosła mi w darze tak przyjemną pamiątkę. Serdecznie za nią dziękuję. Za artyzm odpłacam się na co mnie stać. Strofę tę racz pani wręczyć, jeżeli to będziesz uważać za stosowne, siostrze.“

Na osobnej ćwiartce napisał:

„Ciemne twoje oczy patrzą zdziwione głębiami serca.

„Kąciki ust drgają dobrocią i litością.

„Z całej postaci biją blaski uśmiechu odchylonego nieba.

„Cieszysz się życiem, a tęsknisz za nieznanem, lepszem.

„Marzysz o niem i pragniesz go...

„I to są czary, któremi robisz niawolników."

List wsunął do koperty bez żadnych heraldycznych znaków, wysłał i wrócił do ulubionej swej pracy.

Wieczorem poszedł z pękiem róż robionych na Barensburg-street, do czarnookiej miss i jej siostry, przepraszać i godzić się, prosić o litość, o łaskę, o względy.

Przebaczyła mu, przywróciła do łask, gdyż wierzyła w siłę czarów swych ciemnych oczu, matowej cery, zgrabnej figury i wesołego szczebiotu.

Trzeciego dnia odebrał pocztą świeży numer arystokratycznego dziennika „Pal Mall Gazette," a w nim na trzeciej stronie rozstawionemi literami swój biały wiersz z dedykacyą jej lordowskiej wysokości Adzie Devonschire — ze zmianą czarnych oczów na niebieskie.

— Uprzejmość ze strony lordowskiej mości nadzwyczajna. Jeżeli flirt, to wyrafinowany, a jeżeli nie—to co? Krok naprzód stanowczy! A jeżeli zabawka, w każdym razie zręczna...

Odczytywał wiersze z lubością młodego autora, pierwszy raz drukowanego w obcym języku.

— Co się teraz dzieje w jej świecie? Co mówią młodzi lordowie, a głównie młodzi ich bracia? Szukają pośród siebie autora, lub pocieszają się tem, że je pisał początkujący poeta, któremu Ada posłała czek na dwadzieścia pięć funtów i wszystko skończone.

— To prawda! — zawołał, zrywając się—wszy-

stko skończone. Nie śmiem więcej się pokazywać. Nie pójdę do teatru, nie pojadę konno do Hyde parku, nie pokażę się w tamtej stronie miasta. Po tem wszystkiem, co zaszło, spotkanie nasze byłoby ambarasujące. Mnie nie wolno się witać, co bardzo dobrze, a gdy ona nie zechce przemówić—przykre rozczarowanie i upokorzenie. A więc niech wszystko zawiśnie w krainie fantazyi. Kochajmy się na niewidzianego.

— Na niewidzianego — powtórzył — najprzyjemniejsza dla mnie rola i jedynie możliwa. Gdybym ją zobaczył i przypomniał sobie karykaturę, spaliłbym się ze wstydu. Gdyby do mnie przemówiła, nie umiałbym odpowiedzieć. Może zdobyłbym się powiedzieć jej to jedno:

— Piękna Ado, ten biały wiersz, to istotnie do twej siostry pisany. Patrząc na ciebie, nie odczuwa się, że istotnie możesz tęsknić za tajemniczem, nieznanem, lepszem.

Przetarł ręką czoło.

— Dlaczego ja lgnę do tego o czarnych oczach dziewczęcia, a boję się starszej siostry, chociaż mnie jej okazała piękność ciągnie nieprzeparcie? Dlaczego? Dlatego, że lgnę do tajemniczo budzącej się duszy, a piękność i powaby ciała w pełni rozkwitu biorą mnie — i zwalają z nóg. Oto odpowiedź. Nareszcie dajmy pokój tym fantazyom, niema na nie czasu.

— Dosyć już tego! rozsądku, przychodź i bierz rządy!

Wrócił do pracy, oddawał się jej z rozkoszą. Był wzruszony, rozradowany wewnętrznie, myśli tłoczyły się do mózgu, szły jakimś dziwnym porządkiem i ładem, promieniały i rwały się do wyżyn.

Po paru godzinach pracy odpoczywał. Wracała znów do jego myśli piękna lordówna z alabastrowemi ramionami, spojrzeniem i uśmiechem królowej, a uśmiech ten był dla niego jedynie. Z po za alabastrowych ramion wysuwało się dziewczę, patrzące

na niego oczyma pełnemi tęsknoty za lepszem i nieznanem. Uciekał od tych obrazów—wracały, nęciły go, drażniąc.

— Już ich nigdy w życiu nie zobaczę, nowe wrażenia będą powoli zacierać siłę tych widzeń — . przejdzie.

·— Co teraz Zini robi ze swym kochankiem, gdzie jest? Zini również jest młoda, ponętna i pełna uroków, chociaż jej nie zdobi lordowska korona!... Lordównom do piękności pomagają korony, pewność siebie i ten rodzaj rozkazu uwielbiania. Każą się uwielbiać, słuchają ich bałwochwalcy i czczą, jak bóstwa. Nie jestem bałwochwalcą. Nie widziałem ramion Zini i dlatego przed oczyma stoją mi nieustannie ramiona Ady. Cała tajemnica!...

Trwał w opozycyi, wzywając w wyobraźni na pomoc wszystkie widziane w życiu ładne kobiety.

XXX.

W kilka tygodni później dostał drukowane zaproszenie na raut do pałacu Devonschire, podpisane przez lorda Devonschire. Na kopercie i zaproszeniu umieszczono tytuł: Counte.

— Nie, nie pojadę—zawołał wystraszony.—Co ja tam będę robił sam, nikogo nie znam? Mam się błąkać po salonach i ziewać lub patrzeć, jak młodzi lordowie i ich siostry będą się patrzeć na mnie, jak na zwierzę.

Lecz uszczęśliwiona Sara innego była zdania.

— Jakto, nie rozumiesz ser tego, że lordówna umyślnie chce cię mieć w swoim domu, pragnie cię zapoznać z ojcem, pokazać znajomym, pochwalić się przed przyjaciółkami... Ty sobie nie wyobrażaj, że jesteś byle kto, lubo komisant sztucznych kwiatów. Pamiętaj, że masz wzięcie się wielkiego pana, mrużysz oczy i śmiejesz się, jak lord, jesteś zgrabny

bardzo przystojny. Mój panie, jeżeli córka lordowska wyróżniła cię, to ona się na tem musi znać lepiej od pana. Byłoby grubiaństwem, gdybyś nie poszedł, byłoby tchórzostwem i wielkiem „szoking.“ Cóż to, chociaż kwiaty sprzedajesz, tyś taki dobry, jak i oni, a pewno lepszy od wielu z tych, którzy tam będą.

— Piękna Saro, przekonałaś mnie — przerwał Władysław — i jeżeli chcesz, abym pojechał, musisz biedz do krawca, aby mi dał nowy wykład na frak, w mieście kup mi świeży krawat.

— Tak, to co innego; tak, to cię kocham, bo czuję, że jestem bliżej kościoła — jak myślisz? — wybiegła.

— Zaczyna się historya gmatwać — myślał. — Ciekawość we mnie rośnie. Będę z niemi mówił, będę patrzył w głębie czarnych oczu, poznam filozofa ojca, będę z niemi tańczył. Ach, jak ja lubię tańczyć w salonie, przy dobrej muzyce, trzymając w objęciach piękne, pachnące młodością kobiety. Muszę dziś być przystojny, a będę swobodny, jak gdybym był u siebie w domu, wśród swoich...

Zaśmiał się radośnie, młodość i życie brały go.

O godzinie dziewiątej kamerdyner wywołał głośno: counte Dowmunt—wszedł wzruszony.

Lord siedział w fotelu w pierwszym salonie; na widok młodego człowieka, chcąc mu dać dowód swej wielkiej uprzejmości, wstał i, wyciągając na przywitanie rękę, powiedział:

— Kochany hrabio, dziękuję ci, że cię poznać mogę, a również i za biały wiersz dla mej córki. Tęsknota za nieznanem lepszem, co tkwi w nas, czy czasem nie jest tajemnicą ludzkości... Było to głęboko powiedziane.

Zbliżyła się Ada.

— Oddaję ci — mówił lord — twego poetę pod opiekę — zwrócił się do Władysława: — O tęsknocie

za nieznanem lepszem pomówimy; dziś mamy malutkie kółko przyjaciół, lecz dobranych. Nie lubię tłumu.

Ada, wsuwając rękę pod ramię Władysława, zabrała go jak ofiarę.

— Jestem tak sam — szepnął — nikogo prócz pań...

— Nie obawiaj się—odpowiedziała—i zostaniesz z nami. A ci, którzy są z nami, używają na splendorze. Oto moja siostra Dora.

— Znamy się już — powiedziało zarumienione dziewczę — z parku i teatru. Zupełnie nie jesteś mi pan obcy—dodała wyraźnie.

Ada odeszła witać kobiety.

— I mnie się zdaje — mówił wzruszony Władysław — że panią znam oddawna. W wiejskim dworze mego kraju, lub może widziałem ją w naszych górach. A w tych dniach nieraz zdaje mi się, że czasem dusza pani przychodzi do mnie.

— Być może—odpowiedziała serdecznie—myślę o panu często, sama nie wiem dlaczego, dość, że myślę. Może dlatego, że pan umiesz patrzeć pogodnie i głęboko.

Zakryła oczy rzęsami.

— Musisz pan tęsknić za swym krajem. Czy możesz do niego wrócić?

— Jeszcze nie.

— Lecz nie tracisz nadziei?

— Cóżby życie było warte, gdybym ją stracił?

— Prawda — wygnanie bez nadziei, to piekło dantejskie. Lecz masz pan jedną wygraną.

Władysław patrzył i słuchał.

— Nieszczęśliwi mają sympatyę wszystkich dobrych dusz.

— Przeczuwam, że dusza pani należy do najlepszych.

— Pod tym względem—być może.

Muzyka przegrywką zapowiedziała taniec.

— Tańczmy razem kadryla, poznamy się bliżej; umyślnie dla pana go zatrzymałam. Nietylko zaprosić, lecz i umieć przyjąć należy. Nie znasz pan nikogo, nudziłbyś się.

Walc pieszczotliwy, marzący, czarował.

— Lubisz pan walca?

— Jak każdy marzyciel.

— I ja; proszę pana—podała mu ramię. Tańczyli w dwie pary tylko — drugą był lord o ruchach wielbłąda, suwał się ciężko po posadzce z młoda markizą.

— Rozkoszny taniec, upaja—szepnęło dziewczę

— Tańczmy do zmęczenia — odparł Władysław.

— Dobrze, powiem panu, kiedy skończyć.

Tańczyli długo, patrzyła na nich Ada.

— Dosyć—szepnęła, usiedli obok siebie. Zbliżył się do nich lord, ojciec.

— Tańczysz pan, jak gdybyś był rodowitym saksończykiem, a zrobiłeś prawdziwą przyjemność memu dziecku; przepada za tym poetycznym tańcem. Dziwię się, że Niemców stać było na taki taniec i taką muzykę.

— Kiedy się u nich wyłonił rytm walca, Niemcy nie byli jeszcze pruskimi żandarmami, ani nie znali Bismarka.

— Prawda—lord, ojciec objawił uśmiechem zgodę na opinię młodzieńca.

Zbliżyła się Ada.

— Z egoistycznych tylko celów—odezwała się wesoło—zamawiam sobie u pana kotyliona.

— Zabrałam mu już pierwszego kadryla — dodała Dora.

— Tak być powinno. Pierwszy raz w naszym domu posiadamy pana i dlatego przeznaczyłam mu również drugiego kadryla.

— Jesteś pan poetą—szpnęła Dora, gdy zostali sami.

— Pierwszy to wiersz, jaki napisałem w życiu.

— Czary piękności mej siostry wydobyły go— zarumieniła się i zamilkła.

Patrzył na nią z rozkoszą i z tem wyradzającem się w sercu przeczuciem—że to może ona.

Wielkie lordowe, widząc grzeczność lorda i nadzwyczajną uprzejmość jego córek dla młodego Polaka, kazały go sobie przedstawiać. Margrabina Cantenbury, paryżanka, rozmawiała z nim po francusku, flirtując zawzięcie, a że była ładna i zręczna— Ada go odebrała dla siebie.

— Za bardzo się, ser, podobasz — i to byłoby utrapieniem dla pańskiej żony, jeśliby cię kochała i chciała wyłącznie posiadać dla siebie.

— Ponieważ jej nie będę miał...

— Nie wyrzekaj się pan, bo kto wie — pogroziła mu.

Przed kotylionem zjadł dobrą wieczerzę i wypił parę kieliszków szampana, był oczarowany przyjęciem, upojony serdecznością Dory, dobrocią Ady, czuł, że po szampanie jest nieco rozzuchwalony. Na alabastrowy biust Ady patrzył łakomie, piękną markizę obejmował wzrokiem — odgadła i ciągnęła go uśmiechem i wzrokiem.

— Żyjmy—szeptał—chociażby dwie godziny.

Do kotyliona stanęło dwanaście par, lordowe z małego podniesienia patrzyły.

Objął Adę silnie jak w kleszcze, przytulił, że musiała ręką odgrodzić się od niego, lecz nic nie powiedziała.

Tańczyli oszołomieni.

— Walc denerwuje i obezwładnia — mówiła Ada.

— Oprzyj się pani o mnie, a zaprowadzę cię na koniec świata.

Był cięty i dlatego tak odważny.

Markiza tańczyła w pierwszą parę i zaraz przy pierwszej figurze wybrała go.

— Mieszkamy na Portland, pałac nasz łatwo znajdziesz.

Delikatnie, lecz silnie uścisnął ją i przyciągnął...

— O czwartej jestem zwykle po wizytach, a przed wyjazdem do parku — nie zapomnij, my kobiety nie lubimy długo czekać.

— Markiza gwałtem go bierze — szepnęła Ada do Dory.

— To jej się nie uda — odparła wzruszona Dora — on taki dobry...

Szedł w tej chwili do Dory zabrać ją do tańca.

— I ty go bierzesz...

Dora nie miała czasu odpowiedzieć siostrze.

W tańcu obchodził się z Dorą, jak gdyby to była przyszła jego żona.

Kotylion rozmarzył kobiety i rozbawił je, oczy im błyszczały, odchylone usta zmieniały się w kielichy kwiatów do całowania.

Polak był brany — przy końcu tańca gładkie czoło Ady zasępiło się, patrzyła na Władysława pałąco i łzawo, na Dorę chmurno.

Dziewczę przelękło się wzroku starszej siostry i już ani razu go nie wybrało; za to on, tańcząc z Adą, nikogo innego nie wybierał, prócz Dory i markizy — z markizą w tańcu szeptał nieustannie. Był coraz śmielszy i coraz więcej rozmarzony.

XL.

Drugiego dnia rzucił kartę w pałacu Devonschire — a w tydzień później odebrał list:

„Nie zjawiasz się, ser, ani w Hyde parku, ani w operze, ani w pałacu Devonschire. Dziś o godzinie 6 ej konno wjadę od zachodu główną drogą

do Regents parku, aby cię tam spotkać. Do widzenia.

Ada Devonschire."

— Niema rady, trzeba jechać — mówił do siebie — chociaż się wstydzę i boję. Widocznie nie jestem człowiekiem czynu! Ależ nie! tylko nie znoszę fałszywych pozycyi, te mnie dręczą, onieśmielają, irytują. Bóg wie, co naplotła Sara, i Bóg wie, jakie zrobiła sobie o mnie pojęcie dziewczyna. Trzeba to raz przerwać, powiedzieć bezwzględną prawdę i skończyć tę historyę z godnością człowieka, który się szanuje...

O godzinie piątej udał się do tattersalu, wybrał najspokojniejszego konia i pojechał znanemi sobie ulicami do Regents-parku, i tam, ukryty w cieniu drzew, czekał. Serce mu bilo, a smutne myśli tłoczyły umysl.

Punkt o szóstej, nie spóźniła się ani minuty, wjechała Angielka do parku, za nią groom, oddalony o sześćdziesiąt kroków. Władysław zbladł, lecz pocisnął konia, wypadł z cieniu drzew i w małym galopie przybliżył się. Lordówna przywitała go pochyleniem głowy, zdjął kapelusz, podała mu rękę — pojechali razem.

— Domyślam się — mówiła pełnym głosem, lecz sympatycznie — dlaczego pan od nas stronisz. Zdaje się panu, że zostałeś ośmieszony swą landlady. Lecz my w naszej starej Anglii jesteśmy przyzwyczajone do ekscentryczności naszegu ludu... Jest to oryginalna jego cecha i niech zostanie takim...

— Boję się, abyś mnie pani nie wzięła za śmiesznego zuchwalca, lub dziecinnego marzyciela... Zaczynała się wywiązywać nierówna gra, w której traciłem spokój, a panią mógł ten rodzaj rozrywki nudzić...

— I postanowiłeś pan pozbawić mnie jej.

— A uratować, jeśli to już jest możliwe, własny spokój.

— I uciekłeś...

— Nie nazywam tego ucieczką, nie zdobyłem żadnej pozycyi, abym z niej uciekał.

— Tylko ratunkiem swego spokoju.

— I jeszcze czegoś—powiedział cicho.

— Czegóż? powiedz pan śmiało.

— Śmieszności...

— Tak się pan jej obawiasz?

— Być śmiesznym w oczach kobiety, która robi wrażenie, nie jest do pozazdroszczenia...

— W czem śmieszność—zawołała niecierpliwie.

— Widząc cię pierwszy raz w parku...

— Podobałam się panu?

— Bardzo?

— Nie wiedziałeś kto jestem, a pewno się panu zdawało, żem córką bogatego mieszczanina. Zapewniam pana, że z niemi trudniejsza, niż z nami, sprawa. Mieszczanki owe wyszły z pieniądza i zostały w pieniądzu. Myśmy wyszły z chwały Anglii, a że mamy pieniądze, to dlatego, aby módz panować i rządzić! Sądzę, że pan, jako szlachcic, odczuwasz wybornie tę różnicę. Zresztą, gdybyś pan był angielskim szlachcicem, mógłbyś być dla nich użytecznym...

— Nie wyobrażałem sobie, kto pani jesteś; zrobiłaś na mnie wrażenie zjawiska, na które z rozkoszą się patrzy, lecz się niczego nie pożąda. Wiedziony jakąś nieokreśloną tęsknotą, poszedłem do Hyde-parku, usłyszałem, że będziesz w teatrze — poszedłem.

— Umyślnie mówiłam głośno, abyś usłyszał i poszedł.

— Dziękuję pani, lecz radbym, jeśli to możliwe, wiedzieć, w jakim celu?

— W tym samym, w jakim pan dnia tego przyszedłeś do Hyde-parku.

Jechali wolno w milczeniu.

— Nie przemówisz pan?—zagadnęła.

— Są chwile — szepnął — w których milczenie jest złotem.

— A mowa srebrem. Dla siebie zatrzymujesz złoto, a mnie każesz kontentować się srebrem. Niech i tak będzie — spojrzała serdecznie na Władysława i mówiła wzruszona:

— Sportem naszym, a specyalnie moim, bo tylko za siebie odpowiadam, nie jest flirt. Ta gra w uczucie, jak w krokieta, męczy mnie, często irytuje. Jest to poniewieranie prawdziwej sympatyi, poniewieranie uczuć i nareszcie jałowe marnowanie czasu. We wszystkich moich czynnościach przedewszystkiem staram się mieć cel.

Władysław drgnął, dziewczyna urwała, ściągając cugle koniowi.

Stanęli.

— Czy pan wiesz, jaki miałam cel, żegnając się z panem po ujarzmieniu przez ciebie konia, a dalej zapraszając go do teatru? Zgadnij pan. Lecz wy mężczyźni jesteście mało domyślni. Poznać pana bliżej, przedstawić go ojcu i jeżelibyś zyskał na bliższem poznaniu...

Młodzieniec źrenice szeroko roztworzył.

— Widzę, że jesteś zdziwiony. Więc cóżbym z panem robić innego mogła?! Zanim przyszła pańska opiekunka do mnie, detektywi na mój rozkaz, nazajutrz po spotkaniu się z nim w Hyde-parku, odszukali pana i śledzili go, donosząc mi o każdym jego kroku. Pańska landlady była zapraszana przez tych poczciwców, udających adeptów przyszłego kościoła, na porter, i badana. Przy porterze była szczera, mówiła dużo i wesoło. Dowiedziałam się wszystkiego, co mi było potrzeba, i wtedy miałam odwagę rzucić panu różę z mych włosów. Kobiety z rodu Devonschire nie rzucają róż przechodniom.

— Dziekuję pani za różę — szepnął wzruszony.

— I za nic więcej?

Patrzył na nią miłosiernie.

— Wzrokiem swym prosisz mnie o litość...

— Nie wiem—powiedział—co jest we wzroku moim, lecz w myślach moich tworzy się prośba...

— A więc, słucham jej. Może się porozumiemy.

— Detektywi pani i moja Sara musieli podać niedokładne wiadomości. Wyrzucony z mych rodzinnych stosunków, ciężko pracuję na kawałek chleba.

— Jesteś pan pośrednikiem w sprzedaży sztucznych kwiatów paryzkich?

— W wolnych chwilach oddaję się literaturze, wynalazkom.

— I poezyi?

— Ubóstwo moje...

— Co mnie ono obchodzi? Jesteś pan szlachcicem?

Poświadczył skinieniem głowy.

— A więc wszystko, czego potrzeba.

Zatrzymał konia, patrząc na piękną dziewczynę, jak gdyby odlaną z bronzu. Wzruszenie tamowało mu oddech.

— Ubóstwo pańskie — mówiła -- nie egzystuje dla mnie, bo wszystko mi jedno, czy masz sto tysięcy franków majątku, czy sto tysięcy franków rocznego dochodu, gdyż ja mam dochodu 50 tysięcy funtów, co stanowi milion dwakroć pięćdziesiąt tysięcy franków. A zatem cztery tysiące funtów majątku, czy dochodu, jest to drobnostka, o której my nie mówimy.

— Droga pani, powiedz, co to wszystko ma znaczyć i dlaczego to wszystko mówisz?... Biedny cudzoziemiec powinien wzbudzać...

— Sympatyę. Masz ją pan. O cóż panu idzie?

— Nic nie rozumiem. Dlaczego na Boga, dlaczego? Znam moją wartość.

— A ja pańskiej się domyślam. Nazwisko pańskie dobrze po angielsku wychodzi — *double ve?...*

Skinął głową.

— Dowmond, to bardzo pomyślne dla mnie. Jesteś pan wzruszony niespodzianką, do której nie byłeś przygotowany. Zsiądźmy z koni, będziemy swobodnie rozmawiali.

Skinęła na grooma.

Władysław zeskoczył z konia, podsunął rękę pod stopę dziewczyny, groom konie odebrał. Na twardym gruncie ziemi czuł się pewniejszym.

Po prawej stronie mieli staw, po którym przemykały łódki, wiosłowane przez młode kobiety — po lewej cienistą aleję lip.

— Siadajmy—rzekła—jesteś pan wzruszony, ja trochę zmęczona. Aby uniknąć niespodzianych zapytań i zagadkowych odpowiedzi, muszę się wyspowiadać przed panem szczerze i otwarcie.

Władysław odetchnął, siadł, obok niego Ada; zdjął kapelusz, oparł na ławce rękę, głowę na dłoni, palce zanurzył we włosy, które czasami targał i zwrócony twarzą do dziewczęcia, słuchał, wpatrując się w jej profil.

Dziewczyna, kreśląc zygzaki pejczem, nie odwracając się, mówiła:

— Jestem sierota bez matki, wychowana przez filozofa ojca. Osoba moja, a pewno i charakter, rozwijały się samodzielnie z domieszką ekscentryczności i samowoli. Ojciec mój przymioty te moje, czy wady podsycał i rozwijał. Nareszcie pewno mało zostało samodzielności, a za to dużo samowoli. Nie krępuję się żadnemi względami, w czem dowód, że jestem tu i siedzę z panem w tem odludnem miejscu. Zresztą to mi, jako pannie i Angielce, wolno.

Zatrzymała się, kreśląc na piasku figurę geometryczną.

— Nie wlepiaj pan tak we mnie swego wzroku, to mnie onieśmiela i drażni.

Odwrócił głowę, patrząc na wody stawu.

— Teraz znów zdaje mi się, żeś pan myślą odbiegł odemnie i nie będziesz słyszał, co powiem.

Zaczął uważnie wpatrywać się w figury, kreślone ręką dziewczyny na piasku.

— Czy dobrze tak?—zapytał.

— Dobrze — powiedziała wesoło. — Powtarzam, że od pierwszego rzutu oka zrobiłeś pan na mnie wrażenie. Czułam, żeś pan również patrzył na mnie sympatycznie, szukałeś mnie. Pokazałam pana ojcu— powiedział:

— Twarz ta ciągnie, za melancholijna na angielską, ruchy dużo mają wdzięku, z oczu wygląda umysł głębszy. Ojciec w sądach o ludziach prawie nigdy się nie myli.

Przestała; milczeli oboje; on, zapatrzony w rękę, rysującą hieroglify na piasku.

— Tego samego dnia był u mnie detektyw, a nazajutrz zdał mi raport. Między innemi mówił, że proteguje pana czarnooka dziewczyna z magazynu na Piccadylli i gniewa się na pana, że jesteś za mało wdzięczny za protekcyę. Byłam w magazynie i kazałam sobie podać róże, dostawiane przez młodego Polaka. Gdy mi je pokazano, powiedziałam: tylko te. Pomagam panu... Widocznie jesteś pan w łaskach u kobiet...

— Jeżeli—szepnął Władysław.

— Chcesz mi pan odpowiedzieć banalnym komplementem. To zbyteczne w tej chwili.

— Cóż mam robić?

— Słuchać.

Spojrzał na jej twarz, widać było, że jest wzruszona.

— Obawiam się dwóch rzeczy: to jest dźwięku głosu pańskiego i sposobu obejścia przy bliższem zetknięciu. Na raucie podbiłeś pan kobiety, zwycię-

żyłeś mężczyźn. Ojciec radby pana widywać co dzień. A teraz najważniejsza...

Wytężył słuch, wzrok utopił w twarz Angielki.

— Charakter mój, który przyniosłam z sobą na świat, spotęgowany wychowaniem, zrobił mnie samowładną i samowolną. Znoszę tylko absolutną wolność...

— Wzajemnie pozwalasz pani...

— Nie pozwolę — dodała z mocą. — Pan, poznawszy bliżej moją dumę, uwierzysz, że ona nie da mi nigdy zdradzić męża. Lecz u mężów dumy tej niema, owszem, jest duma zdrady.

— Podziałów nie zniosłabym. Muszę być kochaną do ostateczności, ja — tylko ja jedna. Po za mną nikt, cały świat we mnie. Taką tylko miłość rozumiem, takiej pragnę i takiej szukam. Zespolenie wszystkich uczuć, wszystkich pragnień, namiętności, nawet ambicyi—we mnie!...

Odetchnęła głęboko, zarumieniła się i spojrzała śmiało w oczy towarzyszowi.

— Dlaczego pani nie szukasz tego rodzaju miłości w swem otoczeniu?...

— Anglicy są hipokryci, cenią tylko formy i pozory uczciwości; naród, wychowany w rozlicznych sektach, nauczony jest obłudy, a złożony przeważnie z kupców i zaborców, przyzwyczajony jest do okrucieństw i samowoli. Na każdego Anglika, czy lorda, czy mieszczanina, trzeba patrzeć, jak na kupca lub tyrana... Uciemiężenie słabych i okrucieństwa, to cała nasza historya zewnętrzna. Tak utrzymuje mój ojciec. Pojmujesz pan, że ja, ze swoją szczerością i otwartością, nie zniosłabym obok siebie hipokryzyi i obłudy, a pewno i tyraństwa. Być może, że mąż mój zostawiłby mi wolność, lecz tylko dlatego, aby mógł mnie nazajutrz zdradzać. Pan, nie wiem dlaczego, lecz wierzę w to, że nie jesteś z rodu hipokrytów, z rodu kupców i z rodu ciemię-

życieli. Szlachectwo twoje jest rycerskie, jesteś biedny i wykolejony—tacy kochają szczerze, nie kłamią i nie zdradzają. Takim pana zrobiła moja wyobraźnia, detektywi poświadczyli, a pańska landlady utwierdziła.

Zamilkła i zarumieniona zamyśliła się głęboko, czekając na odpowiedź.

Lecz gdy młody człowiek, wpatrzony w nią, milczał, poruszyła się nerwowo i mówiła szybko:

— Zapomniałam o jednej rzeczy ważnej: mimo to, co powiedziałam, jestem Angielką z krwi i kości, wierzę w siłę rasy, w jej energię, w czystość błękitnej krwi — i mój mąż musi się wyrzec wszystkiego dla Anglii i zostać Anglikiem, nikim innym, tylko Anglikiem! Do nazwiska dodamy Devonschire, a w drugiem pokoleniu przeniesiemy je na pierwsze miejsce Devonschire-Dowmond powstanie nowa linia lordów nie zbyt bogata, lecz zawsze z półtora milionem franków dochodu.

— Już wszystko — spojrzała bystro w oczy, czekając na odpowiedź.

— Wszystko, co tu usłyszałem, zdaje mi się jakimś snem uroczym i zarazem ciężkim. Widzę przed sobą śliczną kobietę, za którą oddałbym życie...

— Dziękuję—szepnęła.

— Lecz ona — mówił dalej — wymaga czegoś więcej jeszcze, bo życia bez przeszłości, bez miłości tego, co kochałem całe życie, każe mi przestać być sobą, każe mi sprzedać swój cień za pięćdziesiąt tysięcy funtów rocznego dochodu... pragnie mieć męża bez swego cienia, jedynie do poprawy rasy rycerskością i odrobiną uczucia. Pani, jestem zdecydowany oddać życie, lecz na sprzedaż swego cienia, na zagładę przeszłości, nie byłem przygotowany. Pozwól mi pani wejść w siebie, ocenić ofiarę. W tej chwili nie jestem w stanie zdecydować.

— Ależ za polski cień będziesz pan miał wspaniały i wielki angielski.

— Lecz kupiony, nabyty, pożyczony, nie mój, obcy...

— Przecież lepiej i dumniej być Anglikiem, aniżeli Polakiem.

— Lecz dlatego cień polski jest droższy; prawdziwie kocha się.

Niebieskie żyłki wystąpiły na skroniach Angielki, usta zacisnęła, ręka jej drżała.

— Niech pan nie powtarza, że oddałbyś życie; to zręczny komunał i nic więcej. Więc chcesz, abym ja została Polką?...

— Tak być powinno — powiedział cicho — lecz ja nic nie żądam, nic nie śmiem żądać i nic nie chcę żądać, gdyż mam za mało ze swej strony do zaofiarowania. Przedemną stoi córka lordów, a ja biedak, żyjący z pracy rąk, marzyciel, niezdolny do czynu, nieumiejący ocenić ofiary, jej ogromu...

— Dosyć — szepnęła — nie mówiłam o ogromie mych ofiar. Moja ofiara jest żadna, jeśli pan sobie przypomni, że czynię to z własnej woli i ochoty, i z własnego wyboru. To ja raczej żądam od pana ofiary, może zbyt wielkiej?!...

Kąciki jej ust zadrżały, towarzyszowi się zdawało, że szyderstwem uśmiechu. Uczuł odrazu chłód, zimno go przeszło, spoważniał.

— W każdym razie — odpowiedział wolno — stoję na przełomie życia; przyszłości, chociaż się potężnie rysuje, nie znam, przeszłości mi żal.

Córka lordów wstała.

— Myślałam, lecz zwykle myśli młodej dziewczyny są marzeniami upojeń. A więc marzyłam i upajałam się... — urwała.

Stali chwilę zamyśleni.

— Dziwi się pani? — zaczął.

— Nie dziwię się — przerwała — ludzie po-

ważni zastanawiają się. Marzyłam tylko o zapale radości.

— Rozczarowała się pani?

— Nie, jeszcze nie, przekonywam się, że masz pan więcej spokoju, niż ja, tylko tyle. A zatem daję panu trzy dni do powzięcia decyzyi w tem strasznem dziele.

— Pani!

— Na litość, nie o oddaniu życia! pan wiesz, że wolę pana żywego. Za trzy dni, o 12 tej, czekam go u siebie, tak wesołego, jak na raucie. W tej chwili jesteś pan przygnieciony moją ofiarą, a może milionem franków renty. — I znów kąciki jej ust zadrżały.

— Wszystkiem — odpowiedział cicho — nawet pięknością pani. Przyszło to wszystko niespodzianie, jak czarowny sen, nie mogę się jeszcze przebudzić.

— A więc do widzenia za trzy dni w pałacu Devcnschire, wprost do mnie.

Podała mu rękę, uścisnęli się po przyjacielsku, lecz ręce im, jak przy powitaniu, nie drżały.

Szli obok siebie, Władysław wpatrywał się w twarz dziewczyny z ukrytym bólem, nie broniła mu. Groom podał im konie; wsiedli i jechali wolno.

Raptownie z po za szczytów drzew błysnęło słońce, rozlewając purpurową smugę dokoła. Park zapłonął dziwnem światłem, szmaragd liści tonął w purpurze słońca...

Władysław mimowolnie zatrzymał konia i szepnął:

— Patrz pani!

Dziewczyna obrzuciła go wzrokiem; była pewna, że tylko na nią w tej chwili patrzeć jest zdolny, o niej myśleć i nią się zachwycać.

— Pan kochasz naturę...

— Kocham — odpowiedział cicho. — Szmaragd liści to ja, tonę w purpurze słońca i niema na to rady, słońce zawsze jest słońcem.

Lordówna przyjęła to powiedzenie za hołd i przebaczyła.

Na końcu parku zatrzymała konia.

— Jestem zmęczona, konia oddam, siądę do powozu siostry i wrócę do domu. Szmaragdy na purpurze bywają prześliczne, błyszczą.

— Kolorem purpury — dokończył.

— Purpura jest tylko na to, aby ze szmaragdu wydobywać blaski.

Podała mu rękę, uścisnęła go serdecznie i nie powiedziawszy więcej słowa, odjechała.

Patrzył za nią długo i gdy zniknęła wśród drzew, odwrócił konia, wracał stępa...

— Dziwny sen, powtarzał, nadzwyczajny! Z małego flirtu i przyjemnej zabawy wywiązuje się kwestya przyszłości mej. Dziewczyna była pewna, że jej padnę do nóg, że będę całował kraj jej szaty, bała się, czy nie zwaryuję z radości... Na wszystko była przygotowana, tylko nie na rozwagę z mej strony.

— Propozycya nie jest do odrzucenia. Ale za jaką cenę — powtarzał — za jaką cenę?

Wszedł do domu, Sara przywitała go głębokim ukłonem, jak lorda, i podrażniła mu nerwy.

W pokoiku spojrzał na swoje książki, na rysunki, na rzuconych na komodzie Mickiewicza, Słowackiego, Asnyka.

— Będę miał miliony, a dla mego kraju nic, dla mego społeczeństwa nic, ucieknę od niego. Czuję, że mam wielkie pomysły, lecz ich nie oddam memu społeczeństwu, nie wolno mi! Umieram dla przeszłości, a na przyszłość będę się snuł jak lunatyk wśród obcych mi ludzi, natur twardych i egoistycznych! I cóż mnie z nimi może wiązać, mnie, człowieka o miedzianem czole, który dla gotówki sprzedał swój cień, wyrzekł się siebie, wyparł się swych zadań... Poeci moi, będę musiał się kryć, żeby was czytać: języku mój, będę musiał z domu uciekać, aby twoim dźwiękiem mówić... Synu mój, czem ja

będę wobec ciebie?... Gdy się kiedyś dowiesz, pogardzisz mną. Ona tego nie rozumiała, nie miała pojęcia, że mi krzywdę wyrządza, a ja marzyłem, że ją nauczę języka Słowackiego i będę się nim upajał, słuchając go z jej ust...

— Nie wyżyłbym w atmosferze kłamstwa, obłudy, upokorzenia przed samym sobą i tęsknoty za utraconem... Otóż będę sobą! niczem innem, tylko samym sobą, będę prawdą! I co mi z miliona dochodu przyjdzie, jeżeli, z góry skrępowany budżetem, nie będę mógł tysiąca użyć dla własnych celów... Ten milion będzie należał do lokai mej żony, jej koni, powozów, groomów, pałaców, tualet i... Ona także niewolnica i dla niej bardzo mało się zostanie.

— Wolę ja mój pokoik i moją wolność, moje marzenia i moje rozkoszne prace, wynalazki!

— Wolę, wolę — powtarzał; pochwycił pióro i pisał szybko.

„Olśniony pięknością pani i Jej dobrocią, nie byłem w stanie odpowiedzieć Ci, nie miałem czasu, ani siły zmierzyć całego niepodobieństwa.

„Nie jestem w stanie przestać być sobą za wszystkie skarby świata, nawet za rozkosz posiadania Ciebie. Zostaw mnie pracującego na chleb powszedni, a jednocześnie pozwól mi rozwijać w mej duszy te skarby, które stanowią nierozerwalną moją cząstkę, są moją własnością i nareszcie są mną, ja ich, tworzymy całość. Dziękuję Ci za wybór, za wiarę, za sympatyę; będę Ci wdzięczny całe życie, nigdy i nikt nie wydrze Cię z mej pamięci, lecz nie chcę Cię widzieć w mem życiu. Walka jest ciężka, a pokusy wielkie, zbyt wielkie!...“

Bojąc się, aby go pokusy nie zwyciężyły, list wsunął do koperty, zakleił go, zaadresował i sam rzucił do puszki pocztowej.

Odetchnął, ręce złożył i dziękując Bogu, siadł do omnibusu, jadącego w stronę pałacu Devonschire. Był oświetlony, szwajcar w jedwabnych białych poń-

czochach, w kapeluszu trójgraniastym, otwierał drzwiczki zajeżdżających karet i powozów. Garstka ciekawych przypatrywała się, stojąc z boku. Wtłoczył się w nią i patrzył.

Piękne kobiety w balowych sukniach, które widział na raucie, panowie w uniformach wysiadali, ginąc w wielkim portyku...

— Gdybym chciał, jabym was przyjmował, przedemną schylalibyście czoła, wyciągali ręce, usta stroili do uśmiechów. Gdybym chciał...

Odszedł, spojrzał w okna pierwszego piętra, na balkonie zobaczył młodszą siostrę, stała zapatrzona w przestrzeń.

Rozkosznie mu było patrzeć na to dziewczę dobre i serdeczne, z głębiami w ciemnych oczach. Nie widział ich, lecz je odczuwał. Blade światło księżyca i czerwone latarni oświetlało ją. Zdawało mu się, że go zobaczyła, mimowolnie pochwycił za kapelusz, odkłoniła się ruchem głowy, a na dowód swej łaski serdecznie go witała rozpiętym wachlarzem.

Miał ochotę wpaść, rzucić się jej do nóg i szeptać:

— Ty mi pozwolisz być sobą. A ja cię za to będę kochał, czcił i słuchał, gdy mnie będziesz upajać melodyą języka moich poetów.

Ktoś ją zawołał, wybiegła, posyłając na pożegnanie ukłon przechyleniem główki i ręki.

— Już jej pewno w życiu nie zobaczę więcej. Dlaczego tamta, a nie ta; dlaczego los, nazwany przypadkiem, a przypadek losem, jest wściekły swą ślepotą. Przysięgam, że to dziewczę, dając mi serce, nie zabierałoby mi mego cienia, nie wydzierałoby mi z serca przeszłości, nie zabijało mnie za życia. Czuję, że nie!

Odwrócił się w stronę pałacu. Zdawało mu się, że na balkonie ukazała się Ada.

— A i ty mi nie zabierzesz, słyszysz? Moja

istność jest moją własnością i nie oddam jej za pięćdziesięciu w białych perukach lokai.

Po tym wykrzykniku uspokoił się, szedł żywo, uśmiechał się, myśląc, jakie piorunujące wrażenie zrobi jego list.

Ale jak sobie wytłómaczy moje szybkie przyjście pod pałac zaraz po napisaniu listu. Może żal za uczynionem postanowieniem, może chęć cofnięcia się, pożegnania, ujrzenia jej jeszcze raz w życiu?... Ha! niech myśli co chce! Ale jak mi się uprzejmie kłaniało młodziutkie to dziewczę... Zmrok i brudne światło gazu nie pozwalały mi zobaczyć głębi jej czarnych oczu.

Szedł szybko, przed nim biegło młodziutkie dziewczę, patrzące na niego.

— Dlaczego nie ona? — powtarzał. — Tamta królowa, Wenus, dama, pani, ta kobieta. Kobiecość jej bierze mnie, ciągnie i więzi. Boże, Boże! jedno życie mamy, w niem jedną młodość, i jesteśmy tacy idyoci, ślepi, nieszczęśliwi!

Długo błąkał się po pustem nadbrzeżu Tamizy, wrócił do domu, zasnął snem młodości, snem pokrzepienia i siły.

Trzeciego dnia rano, obstawiony książkami, rysując w swoim pokoiku, nie słyszał, jak przed dom zajechał zgrabny koczyk, ciągniony parą ponów.

Sara widziała z okna swej kuchni, wybiegła, kłaniała się ostentacyjnie, rozczulona i wzruszona.

Piękna miss oddała lejce młodemu chłopcu, siedzącemu z tyłu na wyplatanym koziołku, podała rękę Sarze, wyskoczyła. Drzwi się za niemi zamknęły, rozmawiały chwilę po cichu na korytarzu i również po cichu poszły na piętro.

Sara otworzyła drzwi, Władysław nie odrywał oczu.

Stały we drzwiach chwilę, zapierając oddech.

— Ser — odezwała się nareszcie Sara.

— Mów pani, lecz krótko...

— Spojrzyj!

Podniósł głowę i spojrzał.

W progu stała Ada, nie śmiała wejść, w głębi stojące łóżko nie pozwalało. Obejmowała wzrokiem małą przestrzeń pokoiku i rozrzucone książki.

Zerwał się, zarumienił i stał, jak student, złapany na zakazanej rzeczy.

— Tak ci, ser, dobrze z myślami swemi, że oczu nawet nie chcesz podnieść. Jakże żałuję, że nie znam twego języka...

— Niespodzianka — odparł wzruszony — odbiera mi przytomność.

Zbliżył się, ujął rękę pięknej i pocałował.

— Niech wasza lordowska mość raczy wejść do salonu — przerwała Sara. — Ser ze szczęścia nie sypia po nocach, tylko jęczy — mówiła rozpromieniona, otwierając drzwi.

— Moja tualeta... — odezwał się Władysław.

— Ależ wyborna, jest ci w niej do twarzy, i musisz być z natury kokiet — przerwała Ada.

Weszła, zdjęła kapelusz, ściągnęła rękawiczki, poprawiła włosy przed lustrem.

— Jakoś tu tak dobrze, cicho, że gdybym nie była Devonschire, zostałabym...

— Zostań — szepnął Władysław — zostań. Pozwól mi pracować na ciebie i być sobą.

— Ojciec staruszek, siostra, ród, cały układ społeczny mówią:—wracaj—muszę.

Położyła mu rękę na ramieniu, on drugą jej ujął i cisnął do ust.

— Dałam ojcu twój list.

Patrzył na nią i słuchał.

— Szczęśliwie trafiłaś — powiedział, oddając mi go — jest w nim szczerość i prawda. Natura dzielna. Anglika podobnego do niego nie znajdziesz. Jesteśmy nadto praktyczni, nadto obojętni i zamało dbamy o zobowiązania na przyszłość. My handluje-

my wszystkiem. Anglikby wszystko przyrzekł, lecz nic nie dotrzymał, i cóżbyś mu zrobiła?

— Wypędziłabym go — zawołam.

— Odszedłby gwiżdżąc, lecz zarazem zabrałby ci czwartą część twych dochodów. Tylko nieszczęśliwi kochają tak swoją ziemię. Nieszczęście to także siła, dla szlachetnych potęga, często wielkość. Młodzieniec ten zaimponował mi. Strzał twój był bardzo szczęśliwy.

— To słowa mego ojca, nie zmieniłam ani jednego wyrazu.

Buchnęły na nią płomienie.

— Czy chcesz — szepnęła — ojciec mój przyjedzie tu, będzie cię prosił i zawiezie cię do pałacu Devonschire.

Ręka jej, którą trzymał Władysław, drżała.

— Niezawodnieby to zrobił z miłości dla córki, może nawet przebaczyłby mi moją słabość, lecz szacunek, jaki ma dla mnie, zamarłby w nim.

Zmęczona, zsunęła się na kozetkę, ukląkł przed nią na dywanie i całował jej dłoń, którą pieszczotliwie gładziła mu twarz.

Czuł ciepło, które od niej szło i zapach młodości jej pięknej postaci. Ujęła w dłonie jego twarz i patrząc mu w oczy, mówiła:

— Strzał był trafny z mej strony, znalazłam uczciwego człowieka, niech rysy twe wbiją mi się w pamięć. Usiądź przy mnie.

Usiadł i prawie bezwiednie objął ręką jej kibić, nie broniła się.

— Nie pojmuję, dlaczego, lecz mam wrażenie, jak gdybym cię znała oddawna... Pocałuj mnie w czoło.

Pocałował.

— A te kąciki ust — szeptał, tuląc się — które wtedy drżały delikatnem odcieniem szyderstwa, czy mogę przeprosić za zawód?

— Twoje są — powiedziała cicho.

Ukląkł na kozetce i z pewną czcią zbliżył usta do kącików ust, które w tej chwili drżały rozkoszą. Bezwiednie dłoń położyła na jego twarzy. Usta swe wlepił w jej usta i pił rozkosz, póki mu tchu stało...

— Dosyć — szeptala — wypijesz duszę mą i weźmiesz z sobą... dosyć.

Westchnęła ciężko, oddech zamierał w jej piersiach, blada była, z rozwartemi szeroko źrenicami.

— Umiesz całować — rzekła — i zaczynam ciebie się bać. Tyś pierwszy dotknął się mych ust dziewiczych i nie żałuję tego. Wybrałam cię sama, nie zawiodłeś moich oczekiwań, lecz je przewyższyłeś i dlatego dziewicze moje usta tobie oddałam.

Powstała.

— No i zemściłam się. Pocałunku tego nigdy nie zapomnisz, będzie cię całe życie budził wspomnieniami, będziesz o nim marzył i śnił. Pocałunkiem tym zostałeś moim niewolnikiem. Gdziekolwiekbądź będziesz, gdy cię zawołam, przyjdziesz! Tyś moim, rozumiesz mnie? tyś moim na całe życie. Zmąciłam ciszę i równowagę twego umysłu, zabrałam ci myśl. Ona pójdzie za mną. Zdobyłam zaklęcie nad tobą, mam je i biorę z sobą. Z kobietami Devonschire nie łatwa sprawa, one raz w życiu wybierają, raz w życiu mówią, czego chcą. A czego one chcą, tego chce Bóg, czy szatan, to się musi stać. Tyś mój, bo ja tak chcę! Do widzenia, mój panie. Chciałeś być panem, pragnąłeś wolności, nie chciałeś sprzedać cienia swego za miliony, a po jednym pocałunku zostałeś niewolnikiem.

Wzrokiem sięgała w tajniki jego duszy, ujęła pałającą twarz młodzieńca w aksamitne, zimne dłonie i do ust jego przyłożyla swoje. Całowała gorąco, pieszczotliwie, jakby chciała wszystko wchłonąć w siebie i uciec.

— Tyś mój na zawsze! — szepnęla — przekonasz się!

Wybiegła. Władysław poszedł do okna, otwo

rzył je i patrzył zmęczony, zahypnotyżowany, gotów za nią lecieć na koniec świata.

— Cóż kościół? — spytała Ada, kładąc kapelusz w pokoju Sary.

— Żarliwość wielka!

— Lecz gotówki mało — dokończyła dziewczyna.

Wyjęła z portmonetki papier na pięćdziesiąt funtów i położyła na stole.

— Pamiętaj pani o nim — pokazała wzrokiem.

— Kocham go jak syna — zawołała Sara. — Jeżeli się pozbył francuskiej dyablicy, to już mu włos z głowy nie spadnie.

Rozłożyła wielką księgę kościelną.

— Skromność nie pozwala mi na rozgłos — odezwała się filuternie Ada.

— Błogosławieni skromni.

— Przed nim ani słowa.

— Przysięgam!

— Ani przed narzeczonym.

— Przysięgam!

— Bądź pani zdrowa, pamiętaj o nim!

— Będę odpędzać od niego dyablice z całego francuskiego piekła.

Ada otworzyła drzwi, zbiegła ze schodów, pochwyciła bat, spojrzała na okno pierwszego piętra, skłoniła się, czarownie uśmiechnęła, i odjechała.

Zniknęła, jak sen jaki złoty...

Sara stała zapatrzona, z na pół otwartemi ustami.

— Pięćdziesiąt funtów — szeptała. — Możnaby za nie wynająć lichą, żelazną kościelinę na rok, a ja pragnę mieć własny murowany! i muszę go mieć!...

Weszla do pokoju Władysława, zatrzymując się na progu.

— Dobrze jest usłuchać rozumnej i uczciwej kobiety.

Patrzył na nią zamyślony.

— Już ja cię nie wypuszczę ze swej opieki — powiedziała uroczyście — póki cię nie oddam w ręce jej lordowskiej mości.

Skłoniła się wielkim dygiem i wyszła.

Władysław stał zaczarowany.

Pocałunek lordówny palił go, a wyrazy jej szumiały mu w uszach.

— A może jest przeznaczenie — zawołał, zatoczył się, padł na łóżko zmęczony i, śniąc o drgających rozkoszą kącikach ust, zasnął.

We śnie już nie przyszło do niego młode dziewczę z głębiami w oczach, które tak ciepło i serdecznie witało go z balkonu, nie ukazało się.

Wyrwana z myśli, utonęła.

Siła namiętności, energia, zwyciężyły. Idealizm przyczaił się na dnie serca i czekał szczęśliwszej dla siebie chwili.

XXX.

Pusto się zrobiło w Londynie. Teatra Coventgarden i Drury Leane zamknięte, w Hydeparku pustki, na wielkiej przestrzeni, napełnionej niedawno tysiącami koni amazonek, dziś zaledwie parę niedobitków siwowłosych, pod parasolami, na wielkich koniach, w zamyśleniu stępa przejeżdżało.

Pustka wielkiego miasta przerażała, ruch powozów topniał z każdym dniem, aż znikł zupełnie. Panny sklepowe i kupczycy drzemali za ladami wielkich magazynów.

Parlament, sądy i z niemi wiele instytucyj zamknięto. Nawet w City ruch o połowę zmniejszony. Jakiś smutek przejmował tych, którzy musieli zostać.

Londyn robił wrażenie gwałtownego zamierania, koleje przepełniały się uciekającymi.

— Na *country*, na *country!* — przebiegało z ust do ust, jak podawane hasło.

Pałac Devonschire opustoszał, jak i cała arystokratyczna dzielnica.

Władysławowi ciężko było w Londynie, nerwy nim szarpały, pchając go w świat.

Sara, pewna, że został zaproszony do letniej rezydencyi lordów Devonschire, przy pożegnaniu błogosławiła go, rozkoszując się nadziejami murowanego kościoła.

Pojechał wprost do Brighton, umieścił się w pokoiku na górze w znanej karczmie i poszedł odwiedzić Maud.

Patryk odpływał, jako majtek, na małym dwumasztowcu, wiozącym mąkę na Jersey. Sternik ofiarował Władysławowi miejsce w jednej z dwóch kabin, żona jego obiecała świeże ryby i herbatę, wino i mięso zabrał z sobą.

Maud odprowadziła narzeczonego do przystani.

— Nasza łódź — mówiła do Władysława — jest w naprawie, dlatego Patryk przyjął służbę na przejazd do Jersey. Pierwszy raz jedzie tak daleko, pierwszy raz jest pierwszym po sterniku majtkiem, pierwszy raz opuszcza mnie na dziesięć dni, pierwszy raz nie będę go widziałą tak długo. Ser, proszę cię, pilnuj go i mów mu ciągle o mnie, że zostałam sama, że tęsknię za nim, myślę...

— I że kochasz go?

— Podobno — szepnęła.

— I jeśli miałby cię zdradzić dla jednej z dziewczyn na Jersey, zabiłabyś go.

— Udusiła! — zawołała i łzy zabłysły w jej oczach.

— Powiem mu, gdy go zobaczę z inną: twoja jest Maud, ona cię kocha, tęskni i czeka.

— Gdy go zobaczysz z inną, nie mów mu nic, tylko daj mu takiego boksa pod trzecie żebro, ażeby runął na ziemię, a tamta uciekła. Wtedy mu mówić

że tęsknię za nim, hańba. Wolę śmierć, ty, ser, tego nie uczynisz.

— Nie zrobię, lecz niepotrzebnie się boisz. Patryk dobry chłopak, nieśmiały, cichy.

— Ależ to łajdak! Cicha woda brzegi rwie. Widziałeś go z tą Francuzką?

— Ależ to ona!

— Ależ to on!

Na pokładzie ukazał się sternik, jego żona na miedziano opalona. Patryk, jako pierwszy majtek, nadzwyczaj dumny ze swego stanowiska, i dwóch wesołych chłopaków.

— No, ser — zaczęła pani sternikowa z wielką dystynkcyą — będziesz mieszkał, jak lord na swoim jachcie. Gdy wydobędziemy się na pełne morze, siadamy do obiadu. Beczułka piwa jest z nami.

— Hura!—krzyknęli chłopcy.

— Cicho, kundle! — odparła dama. — Wam się zdaje, że będziecie zawijać do każdego portu i zmieniać beczułki.

— Yes—nam się tak zdaje!—zawołali.

— Omyliliście się.

— I będzie komedya omyłek—dokończył Władysław.

— Wściekła dla tych moczypysków.

Patryk zbiegł po rzuconym pomoście do Maud, całował ją i w ucho szeptał zaklęcia.

— Dosyć tych czułości — zakomendrowała dama—resztę schowajcie na po weselu—wracaj!... Ser zajmij swoje miejsce, moczypyski ściągać liny, żagle w górę.

Kapitanem statku była żona sternika.

Patryk pochwycił Maud w objęcia, uniósł ją, pocałował, postawił na ziemi i uciekł na pokład. Sternik ujął rudel, Patryk ściągnął pomost i zabrał się do żagli, moczypyski ciągnęli w górę na kołowrocie łańcuchy kotwicy.

Maud blada, zamyślona, stała na brzegu, łzy jej płynęły z oczu, co oburzyło kapitana w spódnicy.

— Głupia—zawołała — czyż jedziemy do Kaliforni albo Japonii?

Uwolniony statek z kotwicy zaczął się chwiać, wiatr wydymał żagle; Patryk nim kierował. Władysław kłaniał się kapeluszem płaczącej Maud, moczypyski wołali, że Patryk zostanie na Jersey, statek zręcznie kierowany powoli wysunął się z przystani i zawrócił, wiatr uderzył gwałtownie w żagle i wydął je, statek się zakołysał, fale zaczęły bić o burty, posuwano się na zachód.

Maud wyjęła chustkę i powiewała nią. Chustka malała, Maud malała, malały domki nadbrzeżne, niebieska mgła otulała skały, ciemny pas lądu i wszystko na nim. Znikła Maud z białą chustką, lud uciekał na północ, kryjąc się za niebieskiem przezroczem, smutno się zrobiło.

Wiatr się dźwigał, wody się piętrzyły, bijąc coraz głośniej o burty statku.

— Nareszcie jesteśmy na pełnem morzu—oznajmiła mama-kapitan, na głównym gościńcu drogi; z jednej strony: Braiton, Londyn, Calais, Antwerpia, Rotterdam, Hamburg; z drugiej — ocean i Ameryka. Statki latają, jak parowozy.

— Moczypyski! jeden na wschód, drugi na zachód, wytrzeszczać ślepie, bo śmierć! Chodź, ser, obiad gotów, tylko befsztyki rzucę na patelnię. Wrócimy, ja stanę przy rudlu, a wtedy mój stary z chłopakami pójdzie jeść.

W malutkiej kuchence zasiedli do obiadu. Naprzód ugotowana wielka flondra, do niej masło, befsztyki z ziemniakami, porter. Władysław wystąpił z winem.

Po trzeciej szklance:

— Dosyć—rzekła dama—ani kropli więcej. Na

morzu musi się mieć przytomność, inaczej idzie się na dno. A i tobie oczy się śmieją, a policzki palą.

Wyszli na pokład, mama kapitan stanęła przy rudlu, Władysława umieściła przy sobie, każąc mu patrzyć na wschód i oczy wytrzeszczać.

— Najwyżej po litrze na głowę! słyszysz stary!—zawołała za odchodzącym mężem.

Zostali sami.

— Ser, lubisz morze?—spytała.

— Namiętnie.

— Pokochasz je, gdy całą noc pozostaniesz na pokładzie, a statek nasz wypłynie na szeroki kanał. Nie zobaczyłeś czego?

— Dymy i dwa sterczące z morza kominy.

Obejrzała się.

— Jeden to nic, ale gdy po przeciwnej stronie ukaże się drugi, a trzeci dogania się w środku...

Władysława przeszły dreszcze.

— Raz tylko w życiu, i to w nocy, miałam taki bal; byłam sama przy rudlu, chłopak przy żaglu. I przez te pół godziny dostałam dwa pasy siwych włosów.

Pokazała.

— A przecież nie mam jeszcze trzydziestu czterech lat skończonych. Pośliznęłam się. Wszystko się działo na szerokości trzystu kroków. Potem się zaśmiałam, ale tak serdecznie, jak nigdy w życiu. Czułam duszę na ramieniu, śmierć szła do mnie, widziałam Boga, nieskończoność, i w tej chwili pewno błyskawica nieśmiertelności osrebrzyła mi włosy.

Władysław patrzył wzruszony

— Tak, tak, mój panie, my, co śmierci patrzymy w oczy, spotykamy się i z nieśmiertelnością. Wielki to widok stać u wrót wieczności.

Obejrzała się.

— Leć do żagla, schwyć za sznur i ciągnij go wolno ku mnie. Odbijemy od tego smoka o jakie dwa węzły.

Władysław pobiegł, pochwycił sznur i ciągnął go wolno a silnie ku sterowi.

— Trzymaj go tak z całej siły — komenderowała mama. — Dobrze! Uciekamy wściekle, byle od północy nie pokazał się drugi potwór.

Na pokładzie przyświecało srebrne światło, po falach, jak oko dosięgnąć mogło. Dwukominowy potwór przeleciał. Mama rudlem skręciła, mknąc na zachód za czarnym potworem.

Wrócili: sternik, Patryk i chłopcy.

— Cóż? — spytała, patrząc bacznie na Patryka i chłopców.

— Jak kazałaś—odpowiedział sternik, zajmując swoje miejsce. Chłopcy i Patryk trzymali się w pewnej odległości.

— Dwie godziny do zachodu słońca, naciągnąć wszystkie żagle i jazda!

— Hep! hep! — zawołali chłopcy, rzucając się do sznurów.

— Wolno, spokojnie—komenderowała mama— raz, dwa, sznury okręcić o haki burt.

Wiatr wydął po bokach małe żagielki, statek zrobił się podobny do łabędzia z podniesionemi skrzydłami i mknął tak lekko, jak gdyby go skrzydła podnosiły w górę. Na niebie jasne, białe słońce, morze w zagięciach fal migotało srebrem, łagodny wietrzyk popychał statek, woda pieszczotliwie, delikatnie biła o jego burty, cisza dokoła, przelatujące mewy białemi skrzydłami rozweselały. Woda i niebo, słońce i blaski; mama - kapitan z założonemi w tył rękoma, patrzyła dumnie, sternik siedział przy rudlu, Patryk stał na przodzie statku, chłopcy obok masztów.

Powoli słońce coraz szybciej zniżało się do morza, czerwone blaski oblały świat, na zachodzie smugi granatowych chmur wystąpiły.

Czerwona, wielka kula zanurzyła się, rozlewając krew po brzegach granatowych chmur, morze ciemniało.

Jakaś głucha pieśń wydobywała się z jego głębin na pożegnanie słońcu. Gwiazdy jedna po drugiej zasłuchane wychodziły.

Powoli słońce tonęło w morzu, krew po niem rozlewała się szeroko i gasła, zostawiając po sobie smugę biało-seledynowego światła.

Na zachodzie gasła jasność, granat nieba wyskoczył, przetykany milionami gwiazd, i objął w posiadanie morze, rozmarzone nieustającą melodyą tęsknoty.

Władysław stał zapatrzony w przestrzeń. Raptownie całą przeszłość swoją streścił w jedną chwilę i uczuł, że się niebo przed nim roztwiera. Ocenił swój czyn, zrozumiał, że się przezeń odrodził, zbliżył do Boga i do swych ideałów...

— Przysięgam — szeptał oparty o burt, wzrok wgłębiając w nieskończoność—że wszystkie siły swe, wszystkie myśli oddam mu na usługi. Czuję, że tylko tą drogą zbliżam się do Boga i odradzam na ziemi. Czuję, że uratowałem swoją istność, przyszłość, nieśmiertelność. Jestem sobą i takim mnie poznają w mej ziemi ludzie dobrej woli — i takim stanę tam po za kręgami tego świata. Boże! w tę tajemniczą, rozkoszną noc, nieskończoność staje przedemną, słyszę głosy z po za świata.

Wytężył słuch.

Plusk wody o burty statku i daleki, niedościgły szum morza, wydawały mu się chórem aniołów, śpiewających: hosanna!

Niebo się dla mego ducha otwiera. Coś jest we mnie i czuwa nademną. Czy to moc mego biednego ducha, czy odziedziczona po ojcu pogoda jego umysłu? Jest coś we mnie z tradycyi, krwi i ducha i to coś pomogło mi do zwycięztwa.

Zwyciężyłem! miałem wielką chwilę w życiu, w niej zobaczyłem nieskończoność.

Gwiazdy wesoło świeciły, w górze słyszał deli-

katny szum, podobny do szelestu niewidzialnych skrzydeł.

— Hosanna — szeptał — czuję się silnym, patrzę śmiało w wieczność i słuch wytężam na głos z nieba.

Wyciągnął się na pokładzie i wzrok utkwił w granatowe, ciemne niebo, przetykane gromadami gwiazd...

Na wschodzie powoli wyłaniała się blado-zielonawa jasność, tło jej zarumieniło się delikatnie. Jasność szła w górę, rozlewała się wesoło, mroki uciekały, dziewiczy rumieniec nieba skupiał się, rósł, zmieniał w szkarłat...

Stary pracował przy rudlu, chłopcy przy żaglach, dokoła morze, a na jego środku statek, jak łabędź z podniesionemi skrzydłami. Jedyny hałas, przerywający tę wielką ciszę — rytmiczny plusk wody o burty statku.

Słońce zaczęło dogrzewać, bezsenna noc rozmarzała go, powieki mu ciężyły; zszedł pod pokład; mama - kapitan dała mu czarkę ciepłej polewki winnej, wypił, runął w swej kajucie na hamak i zasnął.

Śniła mu się młodsza lordówna. Patrzyła na niego głębiami czarnych oczu i szeptała mu do ucha:

— Będę mówić do ciebie językiem twych poetów i kochać twój kraj, tyle co ciebie, a wzamian nic nie żądam, prócz twej miłości...

Ponad głową dziewczynki wyjrzały niebieskie oczy i rozkosznie rozwinięte kształty. Wyrzeźbiona twarz uśmiechnęła się, białe jak perły zęby z po za różowych warg świeciły. Słyszał szept: „Tyś mój."

Zbudził się, zerwał, słuchał. Rytmiczny plusk wody o burty statku, kajuta, hamak, oprzytomniły go. Przyłożył głowę do poduszki i zasnął.

— Ser—szeptała mu do ucha sternikowa—dosyć już tego snu, przespałeś śniadanie, obiad czeka.

Słońce już po drugiej stronie horyzontu. Chodź na pokład, na morzu ruch jak w mieście. Przylądek Hague wysunięty śmieje się do nas, za nim wielki Cherbourg.

Zerwał się, oczy przetarł, wybiegł na pokład.

Ruch był na morzu ożywiony, flotylla rybaków normandzkich wracała do brzegów Francyi, wśród niej parowe statki o wielkich kitach dymu mknęły, przecinając sobie drogi.

— Hague! — zawołał sternik, wyciągając rękę w stronę południowo-zachodnią.

Na wysuniętym cyplu, owiane tajemniczą mgłą, bieliły się mury rozrzuconych budynków.

— Przemkniemy koło Hague, tak blizko — mówiła mama — że nas celnicy będą śledzić, skrócimy drogę o dwie godziny.

— Chłopcy, uważać! Stary, bierz komendę — ja idę do rudla.

Stary kiwnął głową i reześmiał się. Zawsze w wielkich i ciężkich wypadkach brał władzę i dlatego nie bał się o jej utratę.

Pędzili ku brzegom Francyi, ozłoconym krwawo promieniami słońca.

— Zawsze tak Bóg krwawi tę nieszczęśliwą ziemię za to, że się Go wyparła bezbożnica — rzekła uroczyście mama; nikt nie odpowiedział.

Weselej się zrobiło na statku, jak zwykle ludziom, którzy z bezdnia morza zobaczyli ląd.

— Pędźmy co sił, byle przed nocą dobić do Jersey. Dopiero wtedy będziemy mogli odpocząć.

Żagle, wydęte jak banie, unosiły statek. Leciał jak rwany w górę. Stary się śmiał, chłopcy za nim, wiatr szumiał, woda odskakiwała od burt statku, ląd rósł, nabierał kształtów, barw i życia.

XL.

Jersey, rozkoszna wyspa, ukradziona Francyi przez Anglików, śmiała się wesoło do słońca.

Była niedziela, garść ludzi, wśród nich młode dziewczęta świątecznie ubrane, stały w porcie, przyglądając się manewrom statku, przybijającego do kamiennego bulwaru.

Jedna z nich pokazała ręką szeroką, ogorzałą twarz mamy-kapitana, jej obcisły, otwarty kaftan, z pod którego wysuwał się jak moździerz brzuch. Śmiech buchnął w powietrze, mama rzuciła przekleństwo na francuskie dyablice, śmiech obejmował coraz większe warstwy, śmiał się cały tłum.

Władysław zwrócił się do Patryka i pogroził mu.

— Pamiętaj, przysiągłeś Maud.

— A cóż to, czy ja się z nią nie ożenię?—odpowiedział.—Co innego zabawa, co innego obrywka, jeśli z nieba spadnie, a co innego Maud?

— Cóż jest Maud?

— Maud żona, Maud będzie matką moich dzieci, Maud właścicielka łodzi.

— I dlatego chcesz hulać, łajdaku.

— Zabawić się—szepnął.

— A jeżeliby i Maud również się w tej chwili bawiła?

— Goddam! — chłopak ścisnął pięści, oczy mu krwią zaszły.

— Nie czyń bliźniemu twemu, co tobie niemiło—wyskoczył z sentencyą Władysław.

Patryk wzruszył pogardliwie ramionami, rzucając linę chłopcu, stojącemu na brzegu. Widocznie sentencya ta przerastała jego kulturę, nie rozumiał jej...

Władysław z mamą, kapitanem i sternikiem uścisnęli się za ręce. Przyrzekli za trzy tygodnie odwieźć go z powrotem do Brighton.

Stanął na brzegu, otoczyli go wysłancy z hoteli, zachwalając swoje pensyonaty, z jednej strony Francuzi, z drugiej Anglicy.

—„Willa w cieniu drzew, od morza dwadzieścia kroków, pensya dziesięć franków"—wpadło mu w ucho.

Dziesięć franków była to suma najodpowiedniejsza na jego kieszeń. Zgodził się na willę i za piętnaście minut był w niej zagospodarowany.

Koncert w parku, wycieczki powozami i konno w głąb wyspy, dawała dziś francuska połowa Jersey—angielska zas polowanie i wyścigi łodziami żaglowemi na morzu. Stęskniony za muzyką, wybrał koncert wieczorny.

Wśród rozstawionych stolików i stołów szedł wolno, akompaniując szeptem muzyce... Promienie jego oczu raptem skrzyżowały się — stanął. Młoda kobieta oczy spuściła, lecz je zaraz podniosła, wargi jej drżały wytworzoną myślą, lecz nie wypowiedzianą ustami

Patrzył—wytwornie ubrana, zmieniona w kilku tygodniach z robotnicy w damę

Naprzeciwko niej siedział mężczyzna, zwrócony plecami do Władysława; widocznie bała się go, nie chcąc się zdradzić żadnym ruchem.

Władysław domyślił się i zatrzymał, dając Zini czas do schwycenia mogącej się nadarzyć sposobności. Podziękowała mu za to wzrokiem.

Sposobność się nadarzyła. Towarzysz zapalał cygaro, Zini błyskawicznym ruchem rąk pokazała ośm palców, na zakończenie dłoń odzianą w rękawiczkę z pewnym naciskiem położyła na stole i już więcej nie patrzyła na Władysława.

— A więc jutro o ósmej rano tu—szepnął, patrząc z pewną rozkoszą na Zini.

— Ależ to śliczna kobieta — myślał — a ja głupiec nie widziałem tego. Francuzka otoczona kom-

fortem, robi się piękną. One potrzebują ram wytwornych, aby mogła wyjść delikatna robota ich rysów.

Zini spojrzała i uśmiechnęła się uroczo, wstala, podała ramię mężczyźnie. Przechodząc koło Władysława, mrugnęła tak, że aż mu oddech zamarł w piersiach. Oglądano się za nią, Władysławowi zdawała się wyższą, rozrosłą, zgrabniejszą. Szła jak markiza, patrzyła jak królowa.

Nazajutrz o ósmej usiadł przy tym samym stoliku, przy którym siedziała wczoraj Zini, i czekał niecierpliwie.

W kilkanaście minut wbiegła Zini, rozglądając się więcej z przyzwyczajenia aniżeli ze strachu; Władysław powstał,przypadła do niego, uściskali się.

— Przeczuwałam, że przyjedziesz, wyglądałam cię codzień, co godzina; jesteś, jakże się cieszę!

— A nie dłużej, jak miesiąc zdradziłaś. Uciekałaś przedemną na ulicach Londynu.

— Bo się bałam. Masz wzrok, którym ciągniesz kobiety. Tego właśnie wzroku się bałam.

— I zdradziłaś!

Roześmiał się, roześmiała się i Zini.

— Jakto zdradziłam? Po odpędzeniu nas przez starą wiedźmę od gniazdka, które sama wybrałam, nie chciałeś innego szukać.

— Dałaś mi schadzkę.

— Lecz on na nią pierwej przyszedł. Jak wiesz, chodził za mną, jak cień.

— I...—przerwał Władyslaw.

— I powiedział: Tamten ma gładszą gębę od mojej i pewno gładziej mówi, aniżeli ja, ale za to jest węższy w plecach i biedak, gdy ja mam dwa tysiące funtów renty i dobry interes w rękach.

— Pomyślałaś, że dwa tysiące renty, to pięćdziesiąt tysięcy franków rocznego dochodu.

— To samo—zawołała—wtedy biedna robotnica całego majątku miałam sześć funtów. Tamten

się z tobą nie ożeni, mówił dalej, a ja może?! ze mną masz rozkosz, wesołość, z nim bieda...

— I jesteś szczęśliwa.

— Ależ to gbur—zawołała—zazdrosny, chciwy, głupi, nudny, ponury. Nie wiem, czy przemówi dwadzieścia wyrazów na dzień. Ziewa przy mnie, łotr, czyta gazety, jeździ konno i śpi. Muszę być ciągle z nim i przy nim. Czuję, że jestem w więzieniu, że młodość odemnie ucieka, przykrzy mi się strasznie, starzeję się, tetryczeję, z rozpaczy czytam romanse francuskie—i—i...

— Dokończ śmiało!

— Panie Władysławie, wybaw mnie z tego piekła, ratuj!

— Przenoś się tymczasem do mnie.

Zaśmiała się.

— Naprzód zabiłby mnie, tobie żebra połamał, odebrałby mi całą garderobę. Pragnę, ale nie można, nie można, nie można!

Zapanowało milczenie, Zini złożyła ręce:

— Ty jeden możesz mnie wyratować, ty jeden! oddaję ci się cała. Kieruj, prowadź i wyprowadź... Gdybym się tylko mogła dostać do mego ukochanego Paryża?...

Serce jej, myśli, pragnienia, wielkie nadzieje, pędziły ją do Paryża?...

— Cóż myślisz tam robić?

— Znaleźć sobie uczciwego chłopaka na męża i dalej pracować. Mogę być w Paryżu młodą wdową—nie jestem brzydka, mam trochę uciułanego grosza... Otworzę pracownię kapeluszy, kwiatów, lub co się trafi. Zostanę panią u siebie, panią swoich czynów, nie będę się tak wściekle nudziła... Wiesz co, jedź ze mną do Paryża, będziemy razem pracować, żyć, bawić się.

Zini spuściła oczy i z kokieteryjną minką zamilkła.

— Ciebie jednego kochałam w mem życiu i zdaje mi się, kocham!

— A Patryk?

Wzruszyła ramionami.

— Ładny chłopak, w oczach miał iskry, które zapalały ogień.

— Jest tutaj.

Zini się zerwała.

— Łodzią?

— Zgrabniutkim trzymasztowcem.

— Uciekam trzymasztowcem! Jak, gdzie, kiedy, mów?—zaczęła drżeć z niecierpliwości.—Uciekam, ty mi pomożesz, wysiądę na ląd Francyi, jako twoja żona. Choćby puścił za mną telegramy do wszystkich portów, nie złapie. Patryk wyrzuci nas na brzeg malutkiej przystani.

— Na jakiej zasadzie miałby cię ścigać?

— Powiedział mi, że jeżeli się ośmielę uciec, oskarży mnie, że go okradłam.

Załamała ręce, potoki łez płynęły po jej twarzy.

— I zrobi to z pewnością! Patrz, w jakiem jestem więzieniu, i teraz rozumiesz, jak mnie dręczy moja niewola!... Patryk, trzymasztowiec, można odpłynąć w nocy, uciec, skryć się—morze takie wielkie!..

— Gotów nająć parowiec i dogonić nas.

— Będziemy się bronić, weźmiemy broń.

— Zatopi nasz malutki statek.

— Zatopi—powtórzyła smutno.—Lecz czy nas znajdzie?... morze takie wielkie.

— Jest sposób—rzekł Władysław.

— Mów—szeptała—jestem twoją niewolnicą.

— W nocy dostać się na statek, omylić czujność celników, objechać wyspę i wylądować na przeciwnej stronie wyspy—na zachodzie.

— Cudownie! drżę z niecierpliwości.

— A więc kiedy?

— Jutro o tej samej godzinie tu. Codzień rano chodzę do kąpieli. Będę dla niego czuła, dobra

serdeczna, uciszę, ułagodzę, udobrucham tego brytana. To potwór! Wszystko ułóż,, pieniędzy nie żałuj, pozdrów odemnie Patryka.

Na drugą noc po dwunastej otworzyło się okno hotelu. Patryk oparł się rękami o ścianę, po nim wlazł chłopak ze statku, po nich dwóch, trzeci dostał się do pokoju i wyniósł kufer. Dwóch przy murze obróciło się plecami do ściany, odebrali kufer, torbę, zawiniątko i samą Zini, którą pochwycił w ramiona Władysław.

Chlopiec cicho zamknął okno i zsunął się jak kot, razem wymaszerowano do statku. Sternik wydźwignął kotwicę, odwinął linę i czekał na ostatnie jej odwiązanie.

Celnicy, spojeni porterem, do którego dolała mama koniaku, spali tuż przy statku. Rewizya już się odbyła, formalności załatwione do odjazdu.

Pochód dopadł do brzegu, rzeczy i ludzie w dwóch susach znaleźli się na pokładzie, linę ściągnięto.

— Moczypyski do haków, statek odepchnąć, żagiel do połowy rozpiąć, stary do rudla!—wydawała rozkazy mama.

Spełniono je cicho i szybko.

Statek się zakołysał, Zini nerwowo ściskała rękę Władysława.

— Jeszcze pięć minut—szeptała, drżąc—jeszcze trzy, dwie.

Patryk oświetlił lampkami maszt i pociągnął liny żagla, stary zręcznie zawrócił. Statek powoli wysuwał się z portu.

— Jeszcze minuta—liczyła Zini.

Wiatr zimny dmuchnął, fale pełnego morza objęły statek i zakołysały nim. Zini zarzucila ręce na ramiona Władysława i rozpłakała się.

Sternikowa podniosła w górę rękę i zawołała trzykroć:

— Hura! hura! hura!

Zawtórowała jej mała załoga.

Zini się śmiała, tańczyła dziga, dziękując Bogu za wybawienie z niewoli egipskiej.

— Ja, córka wolnej Francyi, trzymana w więzieniu form i głupiej etykiety, murów, wściekłych nudów i samotności z głupcem, który mówi po francusku jak krowa hiszpańska, żre jak wilk, pije jak smok, śpi jak... bo ja wiem jak kto?... a chrapie, jak tuba okrętowa!

— Ale wy się pobierzcie, dzieci — przerwała mama.

— Szkoda, że pani nie masz patentu kapitana okrętowego, bo w tej chwili dałabyś nam ślub — zawołał, śmiejąc się, Władysław.

— No to chodźcie na wieczerzę tymczasem.

— Dla moczypysków po garncu na głowę porteru — oświadczył Władysław.

— Na noc? oszalałeś?! po przybyciu do brzegu, co innego.

Zini szalała z radości.

— Co za pomysł, co za wielki pomysł! — powtarzała — skryć się na tej samej wyspie i przeczekać pościg! Tyś powinien być jakimś wielkim generałem — zwróciła się do Władysława.

— A tymczasem jestem głupcem — odpowiedział — wodzonym za nos przez kobiety.

Roześmiała się czarownie.

— Nie głupcem, jesteś tylko kobieciarzem. Kobiety odczuwają, że je lubisz i lgną do ciebie. Dlaczego ja tak lgnęłam? Gdyby nie ta czarownica, pamiętasz? Nie ożeniłbyś się ze mną, ale byłabym panią u siebie w tym czarownym domku.

— Pókibyś nie uciekła.

— Jesteś głupi.

— Wtedy strzeliłbym sobie w łeb z rozpaczy i tęsknoty.

— Wiesz, blaga ta zakrawa na szyderstwo Ale niech co chce będzie, jestem wolną, tyś mój

Nie byłeś nigdy w więzieniu i nie rozumiesz wolności.

— Wolności, ty nad poziomy wylatuj i okiem słońca ogarniaj ludzkości całe ogromy z końca do końca—wydeklamował prozą po francusku.

— Ślicznie powiedziałeś, to mnie upaja.

Wyszli na pokład. Miliony gwiazd, niebo ciemne, milczące i woda pełna tajemniczych szmerów.

. . . .

Ukryci na pięterku w małej karczemce rybackiej, przeżyli tydzień, podobni swawolnym dzieciom. Jeździli z rybakami na połów ryb, zbierali, co morze dało, wieczorem muzyka fletu i harmonijki — tańce. Zapomnieli o całym świecie i o tajemniczej przyszłości, wiszącej nad ich głowami...

O wschodzie słońca rozkoszowali się rankiem, w południe skwarem słońca, po zachodzie pięknościami nocy letniej. Życie im płynęło młodością, uciechy mknęły błyskawicami.

Statek parowy, płynący z Kadyksu do Dieppe i Hamburga, zabierał podróżnych z wyspy na swój pokład. Świstem dawał znak, że jedzie, zwalniał bieg i czekał.

Odprowadzeni całą gromadą z wioski rybackiej, siedli do łodzi o jednym żaglu i mknęli prosto na statek.

Zini się bała pościgu, drżała na całem ciele, patrząc rozszerzonemi źrenicami na brzeg wyspy.

Ze statku czekali na nich majtkowie na spuszczonych żelaznych schodkach. Jeden z nich podał rękę Zini i pociągnął ją na górę, Władysław szedł za nią. Podróżni, zgromadzeni na pokładzie, przypatrywali się przybyłym. Kapitan, hiszpan, z brodą wpadającą w granat, przeszył młodą kobietę wzrokiem. Odpowiedziała mu, żeby go ująć, raz tylko, lecz tak dobrze, że hiszpan radby kłaść się przed nią.

— Do Hawru? — zapytał czule kapitan — tylko do Hawru—powtórzył, wzdychając.

— Mój mąż—szeptała Zini—mieszkamy w Paryżu, rue Pigal, piąty. Ci, którzy nas odwiedzają, zawsze serdecznie są witani.

Nadszedł Władysław; rozpromieniony hiszpan podał mu księgę do wpisania nazwiska.

Podpisał siebie z żoną z Jersey.

— Odważyłeś się podać nas z Jersey—odezwała się, gdy zostali sami.

— Nie mogłem inaczej, nie chcąc budzić podejrzeń. Gdy raz staniemy na ziemi francuskiej...

— Jesteśmy wolni—zawołała—mamy nad sobą prawo.

Wjechali w zatokę Sekwany, po obu stronach widać było w oddali brzegi Francyi i wielki port, najeżony masztami. Czuć było, że się zbliżali do stolicy świata, to jej port. Mimo to Zini bała się. Patrzyła trwożliwie dokoła.

— Gdyby się zjawił i chciał cię zabrać — szepnął Władysław.

— Skoczyłabym w morze—odpowiedziała.—Ty nie pojmujesz rozkoszy wolności.

— Nie obawiaj się, gdyby przyszedł, obronię cię.

Spojrzała na niego tak, jak gdyby sie chciała rzucić w jego objęcia.

— Port, port! — wołano, ze statku posypały się sygnały, odpowiedziano na nie z lądu, wszystko, co żyło na statku, wyległo na pokład, Zini nerwowo tuliła się do Władysława.

Celnicy i policya stanęli na pokładzie, komisarz przeczytał listę, celnicy przetrząsali rzeczy. Przeraźliwy świst pary, przybili do brzegu.

Zini podała kapitanowi na pożegnanie rękę i uścisnęła ciepło.

Stanęli na ziemi francuskiej.

— Moja Francya, moja droga Francya, Paryż! za cztery godziny jestem wolna! czy ty to czujesz? Mam trochę oszczędności, garderobę, młodość, pragnienie życia!... Czy ty to rozumiesz?

— Rzeczy na dworzec — wołała do tragarzy — na dworzec, nie wytrzymam dłużej, pali mnie gorączka. Ty ze mną jedziesz!...

Na dworcu powiedziano im, że kuryer odchodzi do Paryża za trzy godziny.

— A więc chodźmy do kawiarni, do najpierwszej na bulwarach Hawru kawiarni. Nie byłam we francuskiej kawiarni dwa lata!... A gdyby przyszedł do mnie on, dam mu w twarz, ty mnie obronisz.

Wsunęła rękę pod ramię Władysława i poszła szczęśliwa, jak młoda pantera, gdy pustynię przeczuwa.

— Wiesz, co ci powiem — mówiła pieszczotliwie—nie jedź ze mną do Paryża.

— Przeczuwałem—odrzekł Władysław.

— Nie rozumiesz mnie — zawołała żywo. — Powiem ci prawdę — zniżyła głos. — Jesteś nadto uczciwy do naszych stosunków paryzkich, przeszkadzałbyś mi w zrobieniu karyery, w ustaleniu się w walce o życie i wygodny byt. Nie masz pojęcia, ile musi przejść pracy młoda, przystojna kobieta, nim się jako tako w Paryżu ustali.

Poprostu nie chcę cię brukać, nie chcę ci ścierać z twarzy, z serca, z twych poczciwie patrzących oczu, tego puszku uczciwości, szlachetności, któremi nas wydziedziczonych bierzecie wy Polacy. Proszę cię, nie jedź.

Nie warta ciebie jestem, wiem to dobrze, i dlatego jadę sama. My już nie widzimy kałuż, w które wchodzimy, zdaje się nam, że to czysta, przezroczysta woda, dopiero w zetknięciu z wami uczciwymi odzyskujemy świadomość.

Lecz cóż, cofnąć się nie można, powiedz sam. Taki już los nasz, mój drogi.

Co innego wy mężczyźni, panowie świata, wam nikt nie zabroni być tem, czem chcecie być.

— Nie zawsze!

— Zawsze! macie kawałek chleba w swych rę-

kach lub w swym mózgu. Podli się tylko podlą, uczciwi zwyciężają.

Pogłaskała go delikatnie po twarzy, z odcieniem wdzięczności i sympatyi.

— Możeś ty mnie uratował i zapewnił przyszłość. Gdyby nie ty, nie miałabym na sobie pierwszej zgrabnej sukienki i tego kapelusza wielkiego, z pod którego wyglądałam jak sowa, młoda sówka z wytrzeszczonemi oczyma. Gdyby nie ty, Anglik nie goniłby za mną, nie zazdrościł i przed tobą nie uciekalibyśmy do Jersey.

Podaj mi rękę, odprowadź, kup bilet pierwszej klasy. Pierwszy raz w życiu sama pojadę kurycrem, pierwszą klasą do Paryża! Wyjechałam robotnicą sztucznych kwiatów za dwa franki dziennej płacy. Tobie zawdzięczam moją karyerę! Odczuwasz to!?

Odprowadził ją na peron, pocałowała go w usta, pociąg ruszył, powiewała chustką.

„Wszystko zniknęło, jak sen jaki złoty"—deklamował, wracając do miasta.

— Gdybym z nią został w najętym domku na Islingtonie wśród winogradu i wody płynącej?!

Odetchnął całą piersią, czuł ciężki kamień, spadający mu z serca.

Przed oczyma jego duszy raptownie stanęło młodziutkie dziewczę, widziane w parku, w loży teatru, na balu, na balkonie pałacu, z głębiami w oczach, z uśmiechem, jak gdyby niebo odchylało brzeżki swoje, z tą lśniącą białością ciała, przez które promienieje symbol dziewiczości. Wyciągnął ręce—zniknęła.

— Cóż to za świat? — zapytał się sam siebie, stanął.

— Robotnica, rzucona na bruk milionowego miasta, broni się przed głodem, nędzą i gorszem jeszcze upodleniem — czem może i jak może? Czy to

jej wina, czy wina jej otoczenia? Czy otoczenie jej i ona mają jakiekolwiek winy?.. Przecież to materyał na dzielną kobietę.

Myśli coraz głębiej nurtowały w jego mózgu. Smutny wrócił na Jersey i tam dowiedział się, że Anglik robił wszelkie wysilenia pościgu..

W dwa tygodnie później, gdy już skwar lata przeminął—powrócił do Londynu.

XXX.

Na Piccadylli zastąpił go u czarnookiej miss, a również i u pana Clarka, Anglik młody, płowy, dobrze zbudowany, milczący, z godnością noszący swoje pudła.

Kwiaty w nich były liche, lecz za to ramiona Anglika szerokie, a milczenie wymowne. Rumienił się na widok czarnookiej aż po białka, a przed panem Clarkiem stał zalękniony Wielkość pana Clarka przygniatała go.

W innych magazynach przyjmowano Władysława z lekceważeniem usług, których się jeszcze nie potrzebuje.

Wrócił do domu zły i oburzony, obliczył kasę: zostało mu całego majątku czterdzieści funtów.

— Przy oszczędności dwa funty na tydzień, dwadzieścia tygodni, pięć miesięcy to dla mnie wiek, cały wiek pracy, studyów i nareszcie dzieło moje skończę, uzyskam patent, sprzedam go—i Anglicy, Angielki, Londyn, Paryż, cały zachód ze swoją cywilizacyą, konkurencyą, walką, upodleniem, bywajcie mi zdrowe.

Na samą myśl, że może niezadługo będzie mógł wrócić do siebie, z pewną niezależnością, wolnością ruchów i pracy, jaka mu się będzie podobać, drżał z radości.

Wynalazek jego stał mu przed oczyma, już go miał, tylko rękę wyciągnąć i pochwycić.

Napisał do Paryża, do Polaków fabrykantów róż i kwiatów, aby przysłali zastępcę, a on odda bez żadnej pretensyi swoją klientelę, zawiezie, przedstawi, pokaże i odda jako berło: pudło i resztę kwiatów.

Odetchnął i zasiadł do pracy ciężkiej, mozolnej

Odleciały od niego wszystkie córy Ewy wszelkich narodowości. Czasami tylko, gdy był zmęczony i ze znużenia zasnąć nie mógł, stawały mu przed oczyma duszy głębie czarnych oczu i uśmiech, brzeżkami warg otwierający niebo.

Praca szła żywo, rysunki się dźwigały i zapadały w wieczność, nie było jeszcze tego, czego pragnął, nie było tego, co miało być. Nie było jeszcze wszystkiego, chociaż małej brakowało rzeczy...

A bez tej maleńkiej rzeczy wynalazek nie był wynalazkiem.

Tymczasem głęboka zima rozpostarła się nad Londynem. Po wielkich mgłach listopadowych przyszły drobne, tygodniami trwające deszcze Ponuro się zrobiło w tem milionowem zbiorowisku ludzi. Funty nikły. W kasie zostało wszystkiego dziesięć sztuk złota.

Nie było rady, należało zaprzestać jadać u Sary, chodził do ludowych garkuchni i tam na grylach piekł kotlety baranie i bifsztyki Wieczorami przynosił do pokoju jaja, gotował je na maszynce, łupiny wrzucał pod piec.

Powoli wyszły funty, z garderoby zaczęły znikać rzeczy, najpierw zbytkowne, później konieczne. Szafa się wypróżniała. Już nie biegał do ludowych garkuchni, za to łupin z jaj przybywało coraz więcej, skóra na twarzy mu pożółkla, oczy zapadły, kości policzkowe wysunęły się naprzód, szafa stała pustką.

W jednym z tych ciężkich dni weszła Sara z tacą, przykrytą serwetą, na niej imbryk z herbatą, dwa jajka, szynka, kieliszek madery Tacę postawiła na stole, otworzyła szafę i podniosła zasłonę z komina.

— Szafa pusta, łupin z jaj od dwóch dni już niema! Co to znaczy? To znaczy, że od dwóch dni umierałeś, ser, z głodu i nie powiedziałeś mi ani słowa. Za co ty mnie masz?!...

Łzy zaświeciły jej w oczach, obtarła je fartuszkiem.

— Wczoraj byłam w pałacu Devonshire.

Władysław zerwał się na równe nogi wściekły.

— Byłaś!

— Wracaj, ser, do łóżka, nieprzyzwoicie stoisz wobec kobiety

Wrócił, oczy wytrzeszczył, słuchał.

— Nieszczęście—nie było nikogo.

— A gdyby byli?

— Poszłabym i powiedziała wszystko — wskazała na pustą szafę i kominek. — Powiedziałabym, że od dwóch dni niema łupin z jaj w kominku.

Władysław odetchnął.

— Jestem uboga, wszystkie moje oszczędności pcham w nowy nasz kościół, a jednak nie pozwolę, aby mój dwuletni lokator umierał z głodu za to, że go pokochała córka lorda i chciała zostać jego żoną...

— Słuchaj — zawołała — a jeżeli cię duma, ta z piekła rodem wiedźma, zbodła — i nie chciałeś?! Widzisz—wskazała na szafę.—Bóg cię karze! Ale ja nie chcę być narzędziem jego pomsty. Ja chcę być jego litością! Może ci Bóg przebaczy, natchnię cię, i gdy lordówna wróci, pójdziesz paść jej do nóg. Nie chcę, ażeby ci oczy głodem świeciły, a kości powleczone skórą sterczały. Tyś był piękny, wesół, szlachetny, dobry. Co się dziś z ciebie zrobiło?...

I ja mam serce i czuję niedolę ludzką—i ja kocham ludzi, a ciebie jak syna.

Wzburzona wyszła—z po za drzwi zawołała:

— Śniadanie, jak zwykle, o dwunastej, obiad o szóstej.

Leżał na łóżku, szepcząc wzruszony:

— Niepodobna odpychać, niepodobna maltretować dobroci tej kobiety, która poprostu ratuje mnie od głodowej śmierci. Kto ją tu przysłał: czy cień mojej matki, czy idea, która wynalazkom nie daje umierać, czy dobroć jej serca?...

Zerwał się z łóżka.

— Cokolwiekbądź — zawołał, podnosząc kielich ma'ery w górę — Saro, uratowałaś mi życie, mój wynalazek, i zasługujesz, abym cię obsypał złotem.

Rzucił się na szynkę, jajka, chleb, popijał herbatą. Podniósł serwetę, na tacy zobaczył funta i pod nim karteczkę.

— „Pożyczam na jaki chcesz procent.”

— Jak na metodystkę bardzo delikatnie—zawołał, ubrał się, wpadł do kuchni, uściskał Sarę, szepcząc jej do ucha:

— Gdy wróci, padnę jej do nóg.

Sara na podziękowanie Bogu podniosła ręce w górę. Władysław wybiegł, skoczył do omnibusu, pędząc do British Muzeum.

I znów rozpoczęły się dnie ciężkiej pracy — w dzień w muzeum i w Kensington, wieczorem przy świetle lamp rysował.

Wynalazek skończony, rachunek odpowiadał zasadom mechaniki. Sprawdzenia wypadły dobrze. Należało zrobić model i przekonać się.

Dnia tego uczuł się szczęśliwym, nie mógł długo z radości usnąć, lecz gdy zasnął, spał smacznie do godziny dziewiątej.

Ze śniadaniem weszła Sara, przywołał ją do siebie palcem.

— Pięć funtów—szepnął jej.—Do szczęścia, do

utrwalenia przyszłości, do rozkoszy życia potrzebuję dziś pięć funtów.

— A więc przyjechała—zawołała Sara.

— Nie—lecz mam nadzieję—przyjedzie.

— Potrzebujesz wykupić resztę zastawionych rzeczy—frak... Gdy jesteś rozsądnym i mówisz rozsądnie, wtedy cię rozumiem i kocham.

Przyniosła dziesięć funtów.

— Nie wiem, czy ci dziesięć wystarczy. Pomyśl, ser, wykupić tyle zastawionej gardereby i jeszcze zostawić parę szylingów w kieszeni na keba, dla służby.

Minęło dwa tygodnie, składowe części wynalazku skończone. Sam model składał dzień cały i ułożył. Model odpowiadał rysunkowi i funkcyonował wybornie.

Zawołał Sarę i pokazał jej.

Oniemiała z podziwu.

— I to sam, ser, wynalazłeś i wszystko zrobiłeś sam?

— Wszystko to mój wynalazek, jak nowa sekta jest twoją. Saro, czy ty rozumiesz, czy ty czujesz moją radość, moje zwycięztwo, mój tryumf?...

— Ser, tyś gotów zapomnieć o lordównie?...— Załamała ręce.

— Ależ teraz dopiero ją kocham! I gdyby tu była, gdyby stanęła przedemną, uściskałbym ją. Patrz — pochwycił Sarę w pół i uniósł ją w górę.

— Ser, ser, miej litość nad biednym Cookiem!

Miał litość nad biednym Cookiem i nie pokazywał na Sarze uścisków, przeznaczonych dla lordówny.

— Model funkcyonuje wybornie, a zatem wynalazek się udał. Telegrafuj pani do Cooka, niech przyjeżdża natychmiast.

Sara wybiegła, Władysław nie mógł usiedzieć,

nerwy nim szarpały. Całą godzinę chodził po ulicach.

Cook uznał wynalazek za wyborny, praktyczny i użyteczny.

Napisali razem podanie o uzyskanie patentu Na oznaczony dzień zebrania się komisyi przedstawił Władysław swój model i opowiedział szczegóły. Rzeczoznawcy winszowali mu, jeden z nich wziął jego adres. Patent wydano mu tego samego dnia.

Dzienniki wieczorne, podając wieść o patencie, ciepło się wyraziły o wynalazku i twórcy jego, młodym Polaku.

W domu Sary na dole odbyła się mała uczta Należało wypić zdrowie wynalazcy i oblać wynalazek. W miarę znikania portweinu, rosły nadzieje i olbrzymiały sumy, które miał otrzymać za wynalazek.

Nazajutrz raniutko zjawił się ten sam rzeczoznawca, który wziął adres Władysława.

— Pomówmy rozsądnie—odezwał się, siadając na łóżku. — Chcąc ciągnąć z pańskiego wynalazku pewne korzyści, należy go zaraz stosować, inaczej ubiegną pana. Wynalazek nie jest już tajemnicą, patent nic nie znaczy, gdyż przy małych poprawkach—ja sam mam gotowe dwie — można otrzymać drugi patent. Tego jednak nie chcę robić jako rzeczoznawca. Mógłbym podstawić wspólnika, lecz i tego nie uczynię, wolę kupić od pana patent.

— To będzie honorowo i uczciwie — odezwał się Władysław.

— Na honorze się nie znam—odparł Anglik— nie jestem szlachcicem, a biznes żartuje sobie z uczciwości. Chcę kupić, bo mi potrzeba pańskiego patentu na Anglię, Francyę i Niemcy—zaraz, i daję na każdy kraj po tysiąc funtów, razem trzy.

— A ja żądam dziesięć.

— Nie dostaniesz pan i możesz nic nie mieć

Wstał, wziął kapelusz.

— *Gudbaj!*

— Pięć!—zawołał Władysław.

Potrząsnął przecząco głową. Schodził po schodach wolno, namyślał się, nasłuchiwał, czy go nie zawoła. Wyszedł na ulicę i, nie oglądając się, bardzo powoli odchodził.

Do pokoju Władysława wpadła Sara.

— Daje trzy tysiące funtów, grozi mi, że zna wynalazek i...

— Tylko trzy?—załamała ręce.—Chcą cię obedrzeć i okraść.

— Twoi ziomkowie, Saro!

— Prawda, lecz ten ziomek wygląda, jak gdyby należał do urzędowego kościoła. Z tymi się, ser, nie wdawaj.

Podejrzany o należenie do urzędowego kościoła wrócił.

— Ser, żal mi cię—klnę się na Boga metodystów.

Zaklęcie tego rodzaju podziałało na młodego człowieka.

— A więc daj pięć tysięcy!

— Dlatego, że mi cię żal, dam cztery i klnę się na Boga metodystów, nie dam ani pena więcej. Czekaj, jeśli chcesz, zacznij z agentami—zobaczysz.

Na wspomnienie agentów dreszcze przeszły młodzieńca.

— Ponieważ Bóg twój jest Bogiem metodystów i straszysz mnie agentami, których się boję, dawaj cztery tysiące, lecz dziś odrazu, tu na stół wszystko, bez czeków i przekazów.

— Za dwie godziny—zawołał metodysta.—Czekaj, nie wychodź.

Wybiegł jak szalony.

— Saro—mistris Saro—wołał Władysław.

Gdy się ukazała, mówił wesoło:

— Jest metodystą, klął się na Boga metody-

stów, daje cztery! A że cztery tysiące funtów to jest to samo, co sto tysięcy franków, zgodziłem się. Saro, twoje dobre serce nie pozwoliło mi z głodu umrzeć i twoje dobre serce zrobiło mnie bogatym.

— To twoja szczęśliwa myśl, ser, twoja zdolność. Ja robiłam tylko to, co mi dyktowało sumienie i przykazanie.

Zniżyła głos:

— Ona mi dała na kościół sto funtów i nie wpisała sumy do książki. lecz powiedziała:

— Chcę, aby mu na niczem nie zbywało, aby nigdy nie cierpiał i nie był głodny.

Władysław siadł na łóżku.

— I dlatego...

— Nie, nie dlatego — i ja jestem czułą na niedolę ludzką i nie dałabym ci upaść z głodu; ja cię, ser, kocham jak syna, tylko chciałam powiedzieć, że i ona, głównie ona—ona wszystko...

— Zawsze ona do stu piorunów—zawołał—zawsze ona, zjawia się jakby na tle ciemnej nocy, straszy mnie, wabi i ciągnie. Byłbym oddawna wyrzucony na ulicę, sypiałbym przez cztery dni pod mostem londyńskim, a piątego, za wielu innymi, rzuciłbym się do Tamizy.

A więc to ona uratowała mi życie i dozwoliła wynalazek mój urzeczywistnić. Sto tysięcy franków mam z jej łaski. Ona wszystko! Niech piorun trzaśnie, nie mogę otrząsnąć się z pod wpływu tej kobiety i uwolnić od jej dobrodziejstw i czarów...

Metodysta wrócił.

— Nie upłynęło dwóch godzin i już jestem. Oto przelanie twego wynalazku i patentu na mnie, na Anglię, Francyę i Niemcy. Wszystkie inne kraje zostawiam tobie, ser, podpisz, daj rysunki, model zostawiam ci na pamiątkę.

Władysław nerwowo podpisał i schował zwój białych jak śnieg papierów z odtłoczonemi na każdym czarnemi cyframi „pięćset funtów.“

Młodemu człowiekowi zaświeciły oczy, zgarnął pieniądze i rzucił je na biurko.

— A teraz ci życzę, ser, pracuj nad drugim wynalazkiem również dobrym, jak ten, i daj mi znać. Gdy zarobię na pierwszym, dam ci za drugi osiem tysięcy funtów.

Pożegnali się uściśnieniem rąk. Władysław stał w oknie i smutno patrzył, jak gdyby się żegnał z wynalazkiem, który mu tyle zabrał nocy bezsennych, tyle pracy mózgu, tyle biedy i głodu.

Na ulicy czekało na metodystę dwóch przyjaciół. Zdaleka pokazywał im papiery. Gdy się złączyli, zaczęli się śmiać głośno i serdecznie.

— Śmieją się z głupca, którego tak łatwo orznęli — zawołał Władysław.

Ubrał się, schował pieniądze, poszedł do lombardu, wykupił rzeczy, odesłał je przez posłańca. Pojechał do krawca, przez drogę patrząc z politowaniem na komiwojażerów, przelatujących ulicą z pudłami na rękach. Jakże los tych ludzi wydał mu się nędzny i mizerny!? Czem oni dziś byli w jego oczach?! Zarumienił się na myśl nędzy swego istnienia.

— Włóczyć się po ulicach, godzinami wystawać, prosić się, łasić, żebrać litości...

Wstyd mu palił twarz, odwracał oczy od tych biedaków, brnących po błocie, bladych, zamyślonych.

Przejeżdżał przez Piccadylli, przed magazynem zatrzymał keba, wszedł do sklepu, zobaczył czarnooką, która na jego widok zmarszczyła brwi.

Zbliżył się z wyszukaną grzecznością wielkiego pana.

— Miss, czy pozwolisz, abym zajechał karetą o 6-tej? Zamówię obiad w British hotelu. Wszystko, co dziś mam, tobie zawdzięczam, chcę ci podziękować.

— Co masz, ser?...

— Dziesięć tysięcy funtów zadatku w kieszeni.

— Zadatku? mówisz zadatku? Jakaż więc jest suma?

— Zadatek jest zwykle dziesiątą częścią całej sumy.

— Naturalnie — zawołała miss. — Czekam niecierpliwie.

Wyszedł ze sklepu, spojrzał na zegarek—12-ta. Nie wiedział, co dalej z sobą robić, niespodzianie opanowała go nuda i jakaś tęsknota, za czem? sam nie wiedział.

— Czy to jest los ludzi bogatych? Czy to takie są rozkosze zwycięztwa?...

Poszedł do kawiarni na śniadanie, przerzucał dzienniki. W „Dailly News“ wyczytał, że towarzystwo mechaniczne wysłało deputacyę do pana Władysława Dowmunta z zaproszeniem go na odczyt, w którym wyjaśni prawa mechaniki, na jakich oparł swój nowy wynalazek.

— Zaczyna się już uznanie, rozgłos, sława. To dopiero początek. Po odczycie zostanę honorowym członkiem towarzystwa. Sala będzie przepełniona, muszę się przygotować, wezmę z sobą model, na wielkiej tablicy wykreślę całą historyę cierpień i nadziei mych prac. Porwę wymową Anglików. Szkoda, że nie będzie na mym odczycie kobiet.

Był w wybornym humorze, jadł z apetytem, pił wyborne wino, śmiał się sam do siebie, układał treść swego odczytu, będąc pewny, że go ogłoszą w dziennikach, a jeden wpadnie do dziewczyny z głębiami w oczach.

O szóstej wieczorem przed wielki magazyn na Piccadylli zajechał karetką. Czarnooka miss, ubrana wykwintnie, wybiegła boczną bramą, wsiadła, drzwiczki zatrzasnął, pojechali.

— Nareszcie jesteśmy razem, sami — szeptała — marzyłam o tej chwili, pragnęłam jej, jak zbawienia.

— I ja — odparł Władysław. — Odepchnięty,

chciałem ci powiedzieć, że odepchnęcie twoje stało się dla mnie źródłem bogactwa.

— Nie odpychałam cię nigdy!—zawołała.

— Tylko nie chciałaś kupować mych róż. Mam umrzeć na różach—pomyślałem—to niechaj róże idą precz, muszę żyć bez nich i walczyć bez nich.

— Cóżeś wywalczył?

— Wynalazek! Sprzedałem patent za sto tysięcy funtów, pojutrze mam o nim odczyt w sali towarzystwa mechanicznego.

— Sto tysięcy—powtórzyła—i jam to zrobila.

— Ty, piękna miss, pogarda twoja była dla mnie szczęściem.

— Żartujesz, ser — przerwała cicho, głos jej drżał.—Ja gardzić?...

— Żartuję, tak żartuję, nie gardzi się biedakami, których skazuje się na głodową śmierć. Zwykle ma się dla nich litość.

Karetka stanęła przed hotelem, portyer otworzył drzwi, Gabinet przyćmiony różowemi abażurami, miękkie dywany, zastawa, szampan w lodzie, szeroka otomana, wielkie lustra czarowały wzrok.

— Rozkosznie — szepnęła miss.—Jak to przyjemnie być bogatym.

— I młodym, dodaj rozkoszo mego życia, a do tego zdrowym Nie jestem wprawdzie ani tak młodym, ani tak zdrowym, jak mój zastępca w dostarczaniu róż, lecz mi jeszcze wystarczy.

— Niegodziwy! czyś po to mnie tu sprowadził, aby się mścić i dokuczać?

Zdjęła zarzutkę, odkryte ramiona, suknia wycięta, biust prześliczny, matowy.

— Nie — zawołał, obejmując jej kibić, tylko uwielbiać.

— Ale zdaleka.

— Na jaką chcesz tylko odległość, na dwa cale lub sto metrów.

— Na jeden łokieć.

— Zgoda!

Dotknął palcem elektrycznego dzwonka. Jakby z pod ziemi ukazał się służący. Zmienił talerze na gorące, przyniósł zupę. Obiad był francuski; odkorkował wino, nalał i znikł.

— Nie wejdzie, chociażby do dwunastej w nocy niezawołany—odezwał się Władysław, patrząc na miss. Zarumieniła się.

Po drugiem daniu, a piątym kieliszku wina, rumieńce wystąpiły na matową twarz, a czarne oczy uśmiechały się rozkosznie.

Czwarte danie szampan. Ach ten szampan wielki psotnik...

— Ser—szeptała—tyś teraz pan, nie ożenisz się ze mną. Czuję, że jestem za głupia i za mało pani. Dla mnie wystarczy głupszy odemnie George. Ale widzisz—jeszcze się bliżej przysunęła—chcąc być żoną George'a, trzeba mieć warsztat do pracy. Warsztat taki nie wiele kosztuje.

— Ile?—spytał cicho Władysław.

Pocałowała go.

— Warsztat taki kosztuje, patrz mi w oczy i pocałuj mnie. Warsztat taki kosztuje dwa tysiące funtów—dokończyła szeptem.

— Za dużo dla mnie—odpowiedział smutno.

— Zostanie ci ośm zadatku.

— Mało.

Miss się zerwała.

— Dzwoń — zawołała — pojadę sama do domu. Czyś się chciał mścić?

— Nie, dziękować. Gdyby nie twoja zeszłoroczna dobroć, gdyby nie twoja protekcya do pana Clarke'a, nie byłbym dziś tem, czem jestem.

Sięgnął do kieszeni paltota, wyjął pudeleczko i podał miss. Otworzyła—śliczna bransoletka wysadzona brylancikami.

— Pamiętałeś.

— I to dowód, że się nie chciałem mścić, lecz dziękować.

Zapięła na ręku, wpatrywała się w nią długo. Powoli przeniosła wzrok na Władysława

— Może—dodała cicho—na skromny warsztat tysiąc funtów wystarczy.

— Może—powiedział.

— Czy jestem dla ciebie zanadto brzydka, ordynarna, niezgrabna?

Oczy zaszły jej łzami.

— Ależ Fanny! jesteś piękna i wytworna, lecz ja całego majątku posiadam pięćset funtów.

— I obiad wyprawiasz w takim hotelu i za dwadzieścia funtów kupujesz prezenta?!...

— Bo cię kocham!

— Ach, jakżeś głupi ze swoją miłością. Każ zawołać mi keba, odjadę sama. Mógłbyś mnie przez drogę chcieć całować. Dosyć mam już tego

— I na męża mnie nie chcesz?

Fanny popatrzyła na niego uważnie i po długiej chwili odpowiedziała:

— I na męża jesteś za głupi. Wołaj keba!...

Władysław zadzwonił, wszedł służący!

— Keb dla lady.

Ubierała się nerwowo, Władysław włożył ręce do kieszeni i patrzył się na nią z litości i wewnętrznego tryumfu.

Służący otworzył drzwi, miss nie spojrzała na swego towarzysza, odeszła szybko.

Władysław padł na kanapę. I w nim grał szampan, jakiś piekielny humor świecił mu z oczu.

— Jakże niepodobna do Zini, choć w swoim rodzaju dobra i oryginalna. Prawdziwa mała mieszczka londyńska. Spryt i namiętność, lecz dobrze hamowane chciwością.

XXX.

Na wykładzie były damy, żony, narzeczone członków. Młody prelegent opowiadał historyę tworzenia wynalazku zajmująco i ciekawie. Rysował na tablicy, pokazywał model.

Dziękowano mu oklaskami, reporterzy z wielkich dzienników pilnie notowali... Wieczorem w klubie towarzystwa odbyła się uczta na cześć prelegenta, a nazajutrz dzienniki podały w streszczeniu jego wykład. Nabywca ogłosił o kupnie wynalazku.

Tymczasem wiosna na falach ciepłego wiatru płynęła z południa. Władysław, przyjęty do klubu, wyrabiał sobie znajomości i stosunki wśród sfer inżyniersko-przemysłowych. Jednego poranku, w którym słońce wesoło świeciło, przyniesiono mu telegram.

„*Neapol — Britishe hotel.* Radziśmy panu osobiście powinszować sukcesów londyńskich w dziedzinie wynalazków.

Ada Devonschire lordowa Berklin.“

— Lordowa Berklin, Ada lordowa Berklin. Już tak rychło... Ta właśnie pozycya była dla niej przeznaczona. Gdybym jej usłuchał, może już dziś wyrzucałaby mi swoje szaleństwo, a moją głupotę. Lord Berklin pan, poważny, dobry mówca, kandydat na ministra w gabinecie Salisburego. Ada niezadługo może rządzić Anglią. Musi się jednak dyabelnie nudzić, kiedy mnie sobie przypomniała.

— Muszę raz w życiu w całej pełni odpocząć i użyć rozkoszy widoków pięknej natury, pięknych kobiet i odczuwać czary ich codziennego towarzystwa. W jej towarzystwie jest i Dora.

Zarumienił się, serce mu zabiło.

— Tęsknię za głębiami oczu i tym dobrym uśmiechem dzieweczki. Być przy niej i razem z nią patrzeć na Wezuwiusz, zatokę, Capri... Razem z nią i przy niej .. wody zatoki będą się przeglądały w głębiach jej czarnych oczu.

Wyskoczył z łóżka, ubrał się, kupił nowe kufry, nowe przybory, drobiazgi, pakował gorączkowo.

— Najkrótsza droga: Belfort, Gotard, Medyolan, Neapol!...

Jadąc na kolej, zatelegrafował:

„Lordowa Berklin— Neapol.

Wdzięczny za pamięć — jadę.

Władysław.“

Leciał jak wściekły, z pociągu na statek, ze statku na pociąg. Zgorączkowany sypiał w wagonach. Obrazy przelatywały mu przez wzrok i mózg, jak w panoramie. Wielkie góry Szwajcaryi, tunele i rozkoszne równiny Adygi. Do Neapolu przyjechał wieczorem, wykąpał się, przy wieczerzy zażądał listy gości przebywających w hotelu.

— Są — szepnął.

— Czy jest lord Berklin—zapytał.

— Pojechał, służba mówiła, do Londynu, na otwarcie parlamentu.

Ciepło ogarnęło jego serce. Z rozkoszą rzucił się na łóżko i zasnął twardo i smacznie, jak śpi młodość. Zbudził się późno i pierwsze pytanie, jakie sobie zadał:

— Po co ja tu przyjechałem?!

Dziwnie smutno mu się po tem pytaniu zrobiło.

Miał ochotę uciec z hotelu i zamieszkać w innej stronie miasta. Bał się śmieszności, bał się upokorzeń, a dumny był i ambitny.

— Spróbujmy; pierwszy z mej strony fałszywy krok, pierwszy cień z ich strony lekceważenia mnie, cicho się cofnę i już ich nigdy nie zobaczę.

Ubrał się, chciał być bardzo wytworny, a jednak skromnie, swobodny, niczem nie rażący.

O godzinie dwunastej zaanonsował się. Po chwili wprowadzono go do salonu. Czekała na niego Dora, wzruszona i zarumieniona. Wyciągnęła do niego obie ręce:

— Ser, przyjechałeś, bardzo ci jestem wdzięczna. To ja przeczytałam w „Daily News“ o twym wykładzie i namówiłam Adę, aby zatelegrafowała.

Władysław wzruszony podniósł obie jej ręce do ust.

Zdziwiła się, ręce jej zadrżały, lecz się nie broniła.

— Tu sobie odpoczniesz. Dopiero z twego wykładu dowiedziałam się, jak to trudno zrobić nowy wynalazek. Jakżeś ciężko pracował. Siadaj. Ada pewno jest w kąpieli, jeżeli za półgodziny nie pokaże się, to cię zabieram z sobą konno na wycieczkę. Znasz Neapol?

— Pierwszy raz w nim jestem.

— Jak to dobrze! będę twoją przewodniczką.

Z po za kotary wyszła cicho, bez żadnego szelestu Ada — nie słyszeli.

— Jeżeli to pierwsze przywitanie, to bardzo serdeczne i długie, lecz jeżeli drugie... — Doro, jeżeli drugie?...

Władysław się zerwał, przed nim stała królowa piękności, budowy i siły, w rozkosznym negliżu — ujął jej rękę i pocałował.

— Jest to zwyczaj w mym kraju, którego z rozkoszą używam w nadzwyczajnych wypadkach. Jej lordowska mość raczy przyjąć wyrazy mego hołdu i życzeń.

— Za późno, należało przysłać telegram.. Powodzenie dobrze wpłynęło na pański organizm, zmężniałeś, masz w sobie, w swej postaci coś, czego dawniej nie posiadałeś, pewność siebie.

Wskazała mu ręką miejsce.

— Zostaniesz z nami na śniadaniu, opowiesz nam o swych walkach i tryumfach, potem oddam ci Dorę na trzy godziny, dziś przyjmuję wizyty. Bądźmy jak dobrzy znajomi. Zapraszamy pana na naszego domownika. Jeżeli kiedy nie będziesz mógł przyjść

na obiad, musisz o tem uprzedzić. Mam lożę w teatrze, miejsce jest zawsze dla ciebie.

Kamerdyner odchylił portyerę.

— Podaj mi rękę—dziś jestem głodna i w dobrym humorze.

Dora pobiegła naprzód, wypogodzona i ożywiona.

Rozmowa toczyła się swobodnie, Władysław rzucał pytania o Neapolu, odpowiadało mu dziewczę.

Ada wpatrywała się w niego z pewną chciwością: czy posiadania go, czy zgniecenia. Coś kryło się demonicznego w jej wzroku.

Czuć było, że brała ją młodość, siła i piękność młodzieńca. Ile razy zwracał się do Dory i słuchał jej szczebiotu z upojeniem, brwi jej nieznacznie ściągały się, usta zaciskały.

— Korzystajmy z pięknego dnia — mówiła Dora — tyle jest do widzenia — jedźmy!

Kazała przyprowadzić dwa konie.

— Udamy się brzegiem morza, wśród zabaw ludu i łodzi rybaków. Siostro, do widzenia.

Władysław zwrócił się do Ady:

— Czy pani mi pozwoli stosować zwyczaj mego kraju?

— Stosuj, ile ci się podoba.

Gdy całował rękę Ady, była zimna, lecz za to w oczach widział blaski i czuł przyśpieszone bicie jej serca.

Wyszła na balkon patrzeć, jak wyglądają razem.

— Teraz pan jesteś pod moją władzą, całe trzy godziny—zawołało dziewczę, siedząc na koniu.

— Na całe życie—odpowiedział Władysław.

Dziewczę udało, że nie słyszy.

Nie miało wprawy w szermierce wyrazów.

Słowa Władysława sprawiły jej niekłamaną radość.

Rada była słuchać, lecz odpowiadać nie umiała,

nie chciała, nadto była szczera, wierząca, bała się zawodów...

— Spojrzyj pan, co za życie u brzegu morza, jak przyjemnie słońce grzeje, dzieci i kobiety, barki i białe żagle nad niebieską tonią świecą od jego promieni.

— Czemże byłyby dla mnie te obrazy, gdybym był sam; myśl nie uwięziona w słowo, leciałaby w nieskończoność.

— Do Boga — dokończyła cicho.

— I dziś w tej chwili płynie do Boga, lecz jaśniejsza, więcej skrystalizowana.

Zatrzymała konia.

— Czem? — podniosła na niego głębie swych czarnych oczu.

— Modlitwą i prośbą — powiedział.

— Jedźmy dalej — szepnęła po długiej chwili.

— Patrzeć na naturę samemu smutno i egoistycznie. Pragniemy mieć przy sobie bratnią duszę, odczucie, podział, wspólnictwo zachwytów — i wtedy nie czujemy się sierotami.

— Sierotami! — zawołało dziewczę. — Zawsze wobec pięknej natury sieroctwo obejmuje mnie i ściska, samotność dręczy. Powiedziałeś pan wielką prawdę!

— W tej chwili nie czuję się sierotą, nie pomyślałem nawet o tem.

— Prawda, ani ja również — rzekła i zawstydziła się.

Jechali dalej zamyśleni, milczący i poważni.

— Pierwszy przystanek tu — odezwała się i wskazując ręką, pokłusowała naprzód. — Odwróć pan konia i patrz.

— Dobrze, lecz wtedy, gdy pani swego zrównasz z moim, będziesz blizko mnie, będę cię czuł, patrzył i odgadywał twoje wrażenia.

— Czy tak dobrze? — spytała, ściągając konia.

— Jeszcze więcej ku mnie. Wybornie!

— Cóż?—szepnęła—bosko!...

Władysław milczał, patrząc, przenosił wzrok na dziewczę i w głębiach jej oczu szukał odbicia widoków i wrażeń. Podał jej rękę.

— Widziałem Neapol, pani jesteś przy mnie, mogę umrzeć...

— Zawcześnie, zobaczymy go jeszcze z drugiego punktu...

— Po drugim punkcie?

— I po powrocie do domu.

— *Po*...—powtórzył — *po* pani odjeździe—dodał cicho.

— Po moim odjeździe wrócisz pan za nami do Londynu.

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie? nie wrócisz pan—dlaczego?

— Po co — „nikt za mną nie tęskni, nie płacze...“ [1])

Dziewczę posmutniało, cicho westchnęło, nie śmiejąc spojrzeć na towarzysza.

— Jedźmy—rzekła cicho.

Władysław ściągnął swego konia. Jechała wolno i nareszcie spojrzała na niego tak, jak gdyby go pierwszy raz zobaczyła—zdziwiona.

— Pojedziemy znacznie wyżej, lecz niech się pan nie obawia, wrócimy lepszą drogą i przyjemniejszą.

— Obok pani niczego się nie obawiam. Mógłbym się tylko obawiać o panią.

— A gdyby mi groziło niebezpieczeństwo?

— Wziąć panią na ręce i bronić, lub poledz za nią...

— Myślałeś pan o rozbójnikach?

— W tej chwili tylko o pani i o rozkoszy oddania za nią życia. Nic więcej nie mam.

---

[1]) Byron.

Zwróciła się ku niemu, wyciągnęła rękę.

— Mówisz prawdę, czuję ją w twym głosie i w twojem spojrzeniu. Nie mówmy więcej o smutnych rzeczach, bądźmy weseli, młodość nasza daje nam do tego prawo.

— Nikt tak jednak nie cierpi, jak młodość...

— Prawda—poświadczyła — lecz i nikt się tak nie raduje, jak młodość. Tak długo było mi smutno, ledwo słońce weszło, mówisz pan o cierpieniu, kiedy dusza rwie się do wiosny i jej uśmiechów.

— Jestem niezręczny, przepraszam. W najszczęśliwszych chwilach przychodzą jakieś zgrzyty, lub szarpania serca. Jesteśmy niewolnikami nerwów i naszego mózgu.

— Brońmy się wesołością i uśmiechem, które sprowadzają nadzieję.

— Brońmy się—powtórzył Władysław—całą siłą woli. Mieć jeden dzień w życiu słoneczny i to zwycięztwo.

— Jeden — powtorzyła — patrząc zdziwionemi oczyma na Władysława.—A cóż jutro? Tutaj wiosna jest prześliczna. Zostaniesz pan?...

— Dopóki panie pozwolicie, lecz gdy się zrobi gorąco, odjedziecie do siebie na północ, ja na wschód — i czy — dokończył cicho — zobaczymy się kiedy?

— To od pana będzie zależeć — odpowiedziała również cicho. — Wszystko od pana. Mówiono mi, że zawsze w życiu raz przychodzą pewne chwile, w których człowiek trzyma w swych rękach przyszłość swoją.

Czuła, że powiedziała dużo, może za wiele.

Po matowej jej twarzy przeszły ledwo dostrzegalne rumieńce, gasnąc na skroniach.

Jechali milcząc, ciszę przerywały uderzenia podków koni o kamienie.

— Nareszcie i drugi punkt obserwacyi!—poskoczyła szybko naprzód, za nią jechał Władysław.

— Stań pan tu i patrz własnemi oczyma, nie deklamuj Bajronowskich wierszy, lecz rozkoszuj się naturą.

Miasto malało, łodzie zmieniły się w łabędzie z rozpostartemi skrzydłami, woda w niebo, przed nimi stał Wezuwiusz z kłębami dymu, w niebieskiej mgle majaczyło Capri.

— Teraz już pan nie powiesz: „On nie miał swego wzroku“ [1]).

— Nie, nie powiem—szepnął.—Tu odnajdę moją duszę, jest we mnie, objawia się.

— Co mówi?—spytała wzruszona.

— Że miłość i piękność to ona, to świat cały, to bezmiar, to Bóg.

Stał obok niej, zapatrzony, skupiony w sobie.

— Wracajmy do życia, póki żyjemy. A gdybyśmy tu skonali?

— Niósłbym cię przez niebieskie kręgi, ponad morza i lądy, ponad gwiazdy, ponad wieczność, do stóp tronu. Tambym cię złożył i...

Zbladła.

— W oczach mi ciemno...

Władysław w jednem mgnieniu zeskoczył z konia, pochwycił ją na ręce i ułożył na kamieniach porosłych mchem.

Obejrzał się dokoła, szukając wytężonym wzrokiem ludzi. Na urwisku stał mały, bosy, pasący cztery kozy chłopczyna. Przywołał go, przybiegł, oddał mu lejce od koni i pytał o wodę.

Chłopiec wskazał ręką i szczebiotał, lecz niepodobna było go zrozumieć.

— *Aqua, aqua!*

— A więc jest źródło! — Zbliżył się do dziewczęcia, wziął je na ręce.

Otworzyła oczy.

---

[1]) Byron.

— Wiosna, wzruszenie. Zawsze na wiosnę miewam chwilowe zawroty głowy. Zimnej wody!

— Niosę panią do źródła, niedaleko już je widzę.

— Dobrze, dziękuję, zasłabłam, mówią, że to anemia, chociaż zdrowa jestem Cierpiałam przez zimę—szepnęła i znów powieki zasłoniły jej oczy.

Woda w wydrążonej skale z gwałtownością wydobywała się po za brzegi.

Dziewczę złożył tuż przy brzegu, umaczał chustkę i zwilżył nią jej skronie i czoło. Odetchnęła głęboko, oczy rozwarła.

— Robi się ciemno, cicho i czegoś rozkosznie. Jestem już dość silna, musisz pan odejść, pragnę nogi w wodzie zanurzyć, jedyne to lekarstwo, potem pójdziemy kawałek piechotą, rozgrzeję się i pojedziemy. Zimne mam, jak lód.

Nic nie odpowiedział, ukląkł, zdjął jej trzewiki. Sama zsunęła jedwabne pończochy, nogi zanurzyła w wodzie.

I klęczał przy niej, wyjęte z wody obcierał chustką, pochylał się, całował, dziewczę wdziewało pończochy—obuwał je.

— Już mi lepiej; sądzę, że zawroty głowy nie wrócą, chodźmy, podaj mi pan ramię; chłopiec niech konie prowadzi. Musisz być dobry, bardzo dobry Czy przez całe życie potrafiłbyś pozostać takim, jakim dziś jesteś?

— Cóż znaczy życie? jedna chwilka.

— Całowałeś moje nogi, Wezuwiusz patrzył, a ja nie miałam sił zakazać ci. Zdawało mi się, że masz prawo, jakaś siła zatykała mi usta, przemówić nie mogłam.

— Całowałem świętą — uczucie to musiało się pani udzielić.

— Uczucie bardzo błogie wiary i pewności. Wiara to potęga; ja ci, ser, wierzę i to mnie robi szczęśliwą.

Szli dalej cicho, zamyśleni, zdawało się dziewczęciu, że Wezuwiusz wzdycha

— Nogi mnie palą z gorąca, już mi dobrze, mogę dosiąść konia.

Zatrzymała się.

Władysław przywołał chłopca, popręgi koniom przyciągnął, wystawił dłoń, dziewczyna na nią położyła nogę — usiadła. Sam skoczył na konia, rzucił chłopcu złotą monetę—odjechali przy śpiewie radości vagazza.

Podczas obiadu dziewczę promieniało radością, czuć było, że jest rozrzewnione, szczęśliwe.

Władysław zamyślony, roztargniony, nie śmiał patrzeć na Adę. Obecność jej dręczyła go. Czegoś się bał i czegoś się wstydził.

Piękna lordowa jednym rzutem oka odgadła tajemnicę. Kazała Władysławowi opowiadać szczegóły wycieczki, bawiąc się jego zakłopotaniem. Wyręczała go Dora, była wymowna i wesoła.

— Wprowadzę cię, ser, w świat — oświadczyła Ada. — Pod moją protekcyą otworzą ci się drzwi wszystkich salonów.

— Będziesz z nami wszędzie bywał — dodała radośnie Dora. — Za trzy dni tańczę z panem w naszej ambasadzie pierwszego kadryla, tak samo, jak u nas w Londynie — pamiętasz?,..

Władysław podziękował ruchem głowy i spojrzeniem.

— Dziś opery niema, za to raut u ambasadora francuskiego. Czy Dora pojedzie ze mną?

— Wycieczka mnie znużyła — odpowiedziała, rumieniąc się — pragnę zostać.

Ada zwróciła się do Władysława.

— Pomówię o panu z naszym ambasadorem. Jutro rzucisz pan kartę i sprawa skończona. Doro, oddaję ci pod opiekę naszego gościa.

— Zrobię wszystko, aby nie był tak roztargniony, jak podczas obiadu.

— Jeżeli tylko zechcesz, to potrafisz. Młode dziewczęta mają czar, którym upajają. Ostrzegam pana, abyś pił ostrożnie: łatwo przychodzi zawrót głowy, który się udziela, wtedy bieda. Idę się przebrać, a potem wypiję z wami filiżankę herbaty.

Wyszła.

— Ada jest śliczna, strzeż się!—szepnęła Dora—to ona ma czar podbijania serc i zwyciężania.

— W walce, lecz są istoty, które biorą bez walki i bez zwycięztw, biorą, bo na to są, aby ludzi brać, i te podobne są do dobrych duchów tej ziemi.

— Chodźmy spojrzeć na Wezuwiusz przy świetle księżyca. Zawsze w nocy muszę spojrzeć na niego.

Wybiegła, za nią poszedł Władysław, chodzili razem po miękkich dywanach salonu.

Zaszeleściała portyera, odsunęła się, w jej ramie stanęła Ada w całym blasku piękności.

Obroża z pereł, spięta brylantową agrafą, otaczała jej szyję; toczone ramiona na pół przezroczyste; deska piersiowa bez żadnego wklęśnięcia i do połowy odchylony biust zakuty w gwiazdy brylantów. Wspaniały tren ciągnął się za nią, jak fala morza szeleszcząc rozkosznie.

— Doro, rzuć okiem i powiedz swe zdanie. Panu wolno tylko podziwiać w milczeniu.

— Będziesz najpiękniejszą, to już kwestyi nie ulega.

Podano herbatę.

Piła ją Ada, rzucając wyzywające spojrzenia na Władysława Biedakowi zapierało oddech ze strachu, aby ich nie dostrzegła Dora.

— Wrócę za dwie godziny, a więc do widzenia—czekajcie na mnie.

Podała mu rękę.

— Pożegnaj mnie pan, jak każę wasz zwyczaj.

Może to ten zwyczaj robi was rycerzami względem kobiet...

Władysław poniósł jej rękę do ust. W tej chwili kamerdyner odchylił portyerę, jedwab wydał rytmiczny chrzęst, drażniący nerwy.

— Jesteśmy sami — mówiła, siląc się na wesołość Dora — ale tak zupełnie sami, że moglibyśmy uciec. Lecz może pan tęsknisz za Adą, w towarzystwie jej byłeś cichy, zamyślony, wzruszony. Ona przygniata swoją wspaniałością.

Usiadł, siadła przy nim, ujął ją za rękę, milczeli, słychać było bicie ich serc.

— Chodźmy na balkon — szepnęła — tu nadto jasno...

Wskazała mu miejsce, aby siadł; stanęła przy nim, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Ja cię znam — mówiła cicho. — Wiedziałam odrazu, że to ty, gdyś patrzył do naszej loży. Ty, to znaczy ten, o którym marzyłam i czekałam na niego. Czytałam biały twój wiersz. Ada wymazała czarne, a napisała niebieskie oczy. — Mówiła, że nie śmiesz napisać niebieskie. Tak mi było dobrze, gdyś tańczył ze mną. Czytałam twój list, ten szlachetny i odważny list. Nie chciałeś sprzedać własnego cienia, ani dla tak pięknej kobiety, jak Ada, ani dla jej milionów i przyszłego stanowiska nie chciałeś... Mężczyzna, który szanuje siebie, za skarby świata nie sprzeda swego cienia. Biednyś, ale masz swój własny cień, swoje *ja* i swą siłę przekonań — jesteś sobą. Tym listem zwyciężyłeś mnie.

Pochyliła się ku niemu. Objął ręką jej kibić i wzruszony tulił się do niej.

— Ja ci wierzę — szeptała — i nie chcę, żebyś dla mnie sprzedawał swój cień. Nie przyjęłabym tej ofiary. Ja raczej będę twoim cieniem i twoją podporą. Nauczysz mnie mowy swych poetów, słodkiej i dźwięcznej jak dzwonek, zawieziesz do swego kra-

ju. Kocham go, bo ciebie kocham i dlatego kocham wszystko, co twoje.

— Marzyłem o podobnej — szeptał. — Ty przerosłaś moje sny i moje marzenia. Biedny sierota, fanatyk miłości swego kraju — ty chcesz pieścić uszy moje językiem poetów mego narodu i kochać biedny mój kraj.

— Pragnę!... Uciekajmy do mojego ojca, do dobrego mego ojca, on nas zrozumie. Jest tu moja bona, dziś towarzyszka, wychowała mnie, zna dzieje mego serca, pojedzie ze mną. Zaczekasz na mnie w Rzymie. Boję się czegoś, radabym dziś jechać, jutro być twoją, tak się lękam, że drżę.

— Długo myślałam, żem cię straciła na zawsze. Było mi ciężko, smutno, pusto, okropnie..

Spojrzała.

— Jak rozkosznie! Wrócimy tu na jesień, sami, wiecznie razem. Zawiozę cię do Pompei, pójdziemy na Wezuwiusz Ty ze mną, obok mnie. Patrz, jak ten świat jest piękny, przecież mi wolno być na nim choć troszkę szczęśliwą.

— A jakie na nim wspaniałe wykwitają idee...

— Miłości — przerwała — opowiesz i nauczysz mnie kochać świat. Słuchać cię, to przecież rozkosz.

Pochyliła się tak, że ustami dotykala jego włosów.

— Powiedz, że będziesz moim, że do mnie będziesz należał, że duma twoja nie zwycięży cię. Ja ci z drogi do mnie usunę wszystko, wszystko, coby mogło zadrasnąć twoją ambicyę, ale mi przysięgnij, że już mnie nie rzucisz. Co jabym już sama sierota na świecie robiła? Błąkała się jak cień. Możeby ci choć troszkę żal było młodości mej, głębi, którą widzisz w mych czarnych oczach, biednego serca, bijącego dla ciebie, i myśli, które krążą nad głową twoją. Widzisz, jestem biedna, nie mam już nic,

wszystko, co było moje, zabrałeś — a więc zabierz i mnie.

Zmrużyła oczy, głowę wsparła na jego piersiach, ustami szukała ust jego. Pocałunek był długi, jak wieczność, i krótki jak mgnienie oczu. Duże, gorące łzy wytrysły mu z oczu i spadły jej na twarz.

— Łzy twoje—szeptała—sprawiają mi rozkosz; czuję, że mnie kochasz, jak własne dziecko. Kochaj mnie jak chcesz, lecz kochaj... Chcę być twoją córką, twoją żoną, twoją kochanką, twojem natchnieniem i miłością świata.

Odgłos kół toczącej się karety po bruku zbudził ich.

— Ada — szepnęła Dora, przechyliła się — tak, to ona, rzuci na mnie wzrokiem i wszystko odgadnie Stało się, niepodobna żyć tajemnicami. Wracajmy.

Zaszeleściała portyera, weszła piękna, majestatyczna, zrzuciła gronostajowe okrycie, zasłaniające jej ramiona i biust. Uśmiechnięta, z błyszczącemi oczyma, idąc naprzód, mówiła.

— Bawiliście się sami wybornie. Doro, przypuszczam, jak nigdy w życiu. Pan, panie Władysławie, jesteś uroczysty.

Władysław chciał odpowiedzieć.

Zaprzeczyła ruchem ręki.

— Nie indaguję, raczej ja będę mówić. Salony ambasady były zapełnione. Lord mnie jedną pod ramię wprowadził, drugą księżnę Etingen, a rywalizowała ze mną tylko księżna Montenuovo.

— Siostrzyczka zwyciężyła!

— Wątpię, bo jakaż ona piękna.

— Zwyciężyłaś, bo inaczej nie byłabyś w tak dobrym humorze, nie uśmiechałabyś się tak rozkosznie.

— Wielkie zwycięztwo upaja, Doro, na to zdanie ja się zgadzam z tobą; — wlepiła wzrok swych wielkich niebieskich oczu w siostrę. Lecz małe zwy-

ciężtwa wprowadzają nas w dobry humor — jestem w dobrym. Bawiłam się wesoło. Przyjemnie ściągać, jak słońce do ogniska, promienie oczu wszystkich zgromadzonych, wtedy się czuje, że jest się słońcem.

— Panowałaś pani—odezwał się Władysław.

— Raczej królowałam. Od królewskości idzie blask. Czułam, że szedł odemnie.

Siadła na fotelu, nogi wyciągnęła, okryte bucikami z tej samej materyi, co suknia, ręce zaplotła i założyła je za głowę. Przepyszne kontury ciała, utoczone ramiona zapierały oddech...

— Stary książę Turntaxis powiedział mi, że gdybym była syreną, wytopiłabym cały ród mężczyzn. Komplement ten podobał mi się. Uśmiechnęłam się do niego tak, jak gdybym jego pierwszego utopić pragnęła.

— Uciekł?—spytał Władysław.

— Przestraszony.

— I mnie nie pozostaje, jak iść w jego ślady.

— Odchodzisz, ser? No, pocałuj na dowód, że szanuję zwyczaje twego kraju.

— Lecz ręki nie wysunęła z po za głowy. Zbliżył się i pocałował wyżej łokcia, oblała go spojrzeniem niebieskich oczu, że zadrżał, stos elektryczny wstrząsnął nim.

Bliżej portyery czekała na niego Dora, podała mu rękę, podniósł ją do ust uściskała go nerwowo, była blada, wzruszona.

Szepnął: przysięgam; zrozumiała go, odpowiedziała uśmiechem, do którego cała jej dusza się zbiegła. Odprowadziła go wzrokiem; odchylając portyerę, zobaczył te głębie oczu utkwione w niego.

Wzruszony, prawie szczęśliwy, chodził po swym pokoju, powtarzając półgłosem:

— To ona, to ta szukana, wymarzona, moja! zniosę wszystkie upokorzenia, gdyż czuję, że nie przestanę być sobą, nie sprzedam swego cienia, ona będzie moją, a nie ja jej.

— Gdybym był mężem Ady, dziś odgrywałbym u ambasadora podrzędną rolę wulgarnego męża pięknej kobiety i wielkiej pani. Jakby mnie tam traktowano? Spaliłbym się ze wstydu, a obrażona moja duma dawałaby mi nieustannie policzki. Dora jest moja dla mnie, powtarzała mi myśli moich marzeń. Dziecko to stworzone zostało dla mnie. Dusze nasze tajemniczą nicią sympatyi szły ku sobie przez lądy i morza, aż się złączyły tu, u stóp Wezuwiusza.

Zastukano do drzwi, wszedł cicho służący, podał na tacy list i odszedł.

Przeczucie ścisnęło mu serce, ręce mu drżały, rozdarł kopertę — czytał:

„Jutro rano jedź do Sorento, ztamtąd statkiem na Capri i czekaj na mnie na prawo od przystani u brzegu oliwkowego lasku. A...“

Rzucił list z wściekłością na ziemię.

— Czego ona odemnie chce? co to znaczy? i to w chwili, gdy się domyśla, że Dora mówiła mi o swych uczuciach. To okropne!

— Nie jechać, jeśli sama kobieta schadzkę naznacza, niepodobna. A jednak nie powinienem. Jeśli pojadę, postąpię nędznie, zdradzę kobietę, którą kocham, którą czczę, zdradzę przyszłą żonę. Nie jadę, nie jadę, nie jadę.

Podniósł list z ziemi.

„Jedź do Sorento“ — rozumiem, nikt nie zobaczy mnie na statku, w Sorento nikogo niema z jej towarzystwa i mnie nikt tam nie zna.

— Nie pojadę, uciekam do Rzymu i ztamtąd zatelegrafuję do byłej bony Dory, że czekam na nią.

Ada wściekła zemści się, powie, żem był jej kochankiem, przed ojcem mnie spotwarzy. Od niej, najpiękniejszej kobiety w Rzymie, uciekać—to hańba. A jednak jechać na Capri nie mogę i nie pojadę, skryję się w chacie rybaka przy porcie i gdy zobaczę, że Ada pojechała na Capri, wrócę i powiem wszystko Dorze.

Stanął.

— Będziesz spotwarzał kobietę? Siostrę przed siostrą? I cóż powiesz, nikczemniku? Czy możesz co powiedzieć, a jeśli powiesz—skłamiesz.

— Do Rzymu, do Rzymu — wołał i zaczął gorączkowo pakować rzeczy.

A jednak ja się muszę z nią widzieć, powiem jej wszystko. Zrozumie moje stanowisko wobec niej—i jako uczciwa kobieta... Cóż, kiedy te wielkie lordowe mają swoją własną uczciwość, tak niepodobną do naszej, do tej ogólno-ludzkiej uczciwości. Będę ją prosił, będę całował jej nogi—kolana.

Zadrżał, potarł ręką czoło — usiadł.

— Całował jej kolana. Ja jej nie powinienem widzieć, ja się z nią nie mogę zobaczyć. Doro, słodka Doro, ratuj mnie! Boję się tej kobiety... Jakiś straszliwy fatalizm rzucił ją na moją drogę. Boże! ulituj się nademną, Doro, ratuj mnie! Do Rzymu, do Rzymu! Jedyna ucieczka, jedyny ratunek, Rzym!

Zmęczony położył się. We śnie stała przed nim Ada z założonemi na głowę rękoma, świdrowała go demonicznym wzrokiem i szeptała: całuj na dowód, że szanuję zwyczaje twego kraju.

Zerwał się o wschodzie słońca, ubrał się i wyszedł.

Wezuwiusz był zasłonięty przezroczystą gazą wiosennej, ciepłej, południowej mgły. I morze przezroczysta mgła pieściła, tuliła świat cały.

— Dlaczego nie może utulić moich nerwów. Dlaczego człowiek nie jest panem swej woli, swych losów, swego przeznaczenia? Dlaczego mam ochotę sztylet wpakować w serce tej kobiety, a jednak idę do niej! Wiem, że idąc, jestem podły, a jednak idę, chociaż gardzę sobą. Czuję, że jej nie cierpię, a jednak idę. Kocham tamtą do szaleństwa, a jednak do tej idę. Wiem, co mnie czeka, a idę. Czem ja jestem jako człowiek? zbrodniarzem, czy bydlęciem?

— Otóż nie pójdę, jadę do Rzymu.

Obtarł chustką zroszone czoło.

— Kłamiesz—ty pojedziesz do Sorento. Gdybym nie pojechał, zgniotłaby mnie, odpędziła od Dory — a jednak powinieneś pojechać do Rzymu. Tak postąpiłby każdy uczciwy człowiek, tecz nie ty... Twoja powinność jechać do Rzymu, a ty pojedziesz do Sorento.

— Do Rzymu, do Rzymu — powtarzał, idąc na północny dworzec, a był pewny, że kupi bilet do Sorento.

Drżał, zdawało mu się, że Ada na jego nerwach, jak na klawiszach, wygrywa jakąś szaloną galopadę.

Stanął w sali dworca, obejrzał się i zapytał portyera, dokąd odchodzi pierwszy pociąg.

— Do Rzymu za pięć minut.

— A do Sorento?

— Kuryer, 12-ta minut 40-ci.

Zadzwoniono, odgłos ten zatargał mu nerwy, skoczył do kasy, rzucił złotą monetę, zawołał: Rzym, schwycił bilet i jak szalony popędził do pociągu.

Siadł w wagonie pierwszej klasy sam, odetchnął głęboko—i zawołał:

— Nareszcie, wygrałem i zwyciężyłem.

KONIEC.